

# Rittner Tadeusz

## NOWELE

tom 1

DORA.

NOWELA

Z KONKURSU LITERACKIEGO CZASU.

Rozweselili się, gdy siedli na oświetlonej werandzie „pod Przepiórką” i wszystkie twarze były uśmiechnięte; działało tak na nich może światło samo po dwugodzinnej wędrówce w ciemności. Ożywione, choć zmęczeniem zamglone jeszcze oczy, wodziły wokoło z jakimś pożądaniem ciepła i blasku. Mimowoli każdy spoglądał co chwilę na Dorę. Matka, kobieta starsza, tuszy pełnej, o siwych jak mleko włosach, oczach niebieskich, które spoczywały z jakimś wyrazem łagodności i słabości na córce, radowała się jej wdziękiem, dziwnym wskutek zmęczenia w twarzy i jakby gorączki w przyćmionych, czarnych oczach. Doktor, mężczyzna zbudowany silnie, o twarzy szerokiej, zarosłej nierówno, oczami widocznymi tylko w kształcie błysków z poza okularów, patrzył na Dorę, jak dawny przyjaciel i lekarz rodziny; czerwone, grube jego wargi uśmiechały się jak do dziecka. Inaczej pan Henryk.

Nazwiska jego nie wymawiano nigdy. Z rodziną przez te trzy lata, które przepracował w komptoarze, zżył się tak, że przyzwyczajono się do niego, jak do czegoś, czego się potrzebuje codziennie, i codziennie ma na zawołanie. Nazywano go dzieckiem, choć wiekiem dawno już był mężczyzną. Dziecinnie szczerą fizjonomią, prawie śmiesznie szczerą; w niebieskich oczach, na gładkiej, różowej twarzy odbijało się wszystko. Rudy był — wada, którą mu jednak, jak utrzymywał doktor, poczytywała panna Dora za przymiot; prześladowano ją tak tem rudem dzieckiem, że cudem zdołała prawie zachować koleżeńską swobodę wobec młodego, niebrzydkiego zresztą człowieka. Ujmujący wyraz nadawała twarzy Henryka prawość, jakaś skrupulatna prawda, łącząca się niekiedy z pewną jakby podejrzliwością; często wśród swobodnej rozmowy milkł nagle i spoglądał na kogoś z podełba.

Teraz patrzył na Dorę. Z natury dość zmysłowy, posiadał pewną skłonność do nadawania wszystkim swoim choćby bardzo ziemskim uczuciom, wobec siebie samego barwy idealnej, nad którą się unosił. Zwykła bladeść twarzy Dory, przechodząca w lekki ton złotawy, a nadająca jej wyraz subtelnej dystynkcji, drażniącej zmysły jak zakazany owoc, działała na jego instynkta, niby słodycz mleczna, mdła a silna; zdawało mu się, że cały ten czar płynie dlań tylko z jej czystości dziewiczej, jej duszy anielskiej. Wierzył, że w oczach jej czarnych zachwyca go tylko melancholijna trochę powaga, nieopuszczająca jej nawet w chwilach wesołości, skutkiem jej niezmiernie wrażliwej, myślącej natury. Kochał jej włosy ciemne i suche; patrząc w rozpromienione nitki na przejrzystej skroni dziewczyny, przypomina! sobie typ Dolorozy, na której czole pukle takie grają jakąś pieśń smutną.. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak silnie pociągają go przy tem wszystkim pełne i miękkie kształty postaci, jej rucy senne, cała ta nieświadoma siebie kokieterya ciała kobiecego.

Dora poczuła wzrok jego i ruszyła nerwowo głowę; po chwili spojrziała mimowoli na niego, po czym zarumienili się oboje.

Zaraz potem poczęła żartować z doktorem, a Henryk schował twarz w wielkim bukiecie dzwonek, bławatków i maków, z których wiała mu jeszcze wieczorna przechadzka. Odurzył się tą zebraną wonią pól i czuł znowu ubiegłe tak niedawno chwile, czuł przedziwny rytm przechadzki w mroku obok ukochanej kobiety; wszystko, co się wznosiło do niego z traw i z ziemi, czuł, jakby

szło od niej, z fałdów jej szeleszczącej sukni. Ze przedstawiała mu się tak ciemno, że odgadywać ją dopiero musiał, czyniło mu ją podwójnie drogą. I czuł znowu, jak barwne wspomnienie, to sine, zgasłe sklepienie nieba, które jak morze działa na duszę, choć się w nie nie patrzy. Przesuwały się przed nim wszystkie gasnące światła owej chwili, puszyste chmurki, gorejące przed nimi, cudaczne kształty wierzb nad drogą, tajemnicze szmery wieczoru, łączące jak wspólna modlitwa wśród głębokiej ciszy.

Podniósł znowu oczy i ujrzał się w wyspie światła płonącej w nocnej czerni lasu. Otaczał go

światek lamp miejskiej cywilizacji; na dole, pod werandą, w improwizowanym ogródku, stoły okryte białym obrusem, przy nich gdzieniegdzie szare gromadki; miejskie fraki kelnerów rażące na zielonym tle, przesuwały się szybko, szklanki dzwoniły, z półmisków wznosiły się ciepłe zapachy w górę, w żywy rozgałęziony dach, którego liście wydawały się sztuczne, papierowe, pod wpływem światła lamp z dołu.

Tak — pomyślał, gdy oprzytomniał — skończyło się coś bardzo słodkiego, i kto wie, czy powróci? Ujrzał koło siebie twarze oblane ciepłym tonem, zadowolone, wypoczywające, a wśród nich znowu twarz Dory. Nigdy nie byłem tak ciębie bliski — mówił do niej myślą, całując niby wzrokiem jej rysy łagodne, rysy Madonny z obrazu Bellini'ego — nigdy nie miałem tak ciębie, jak przed chwilą; szkoda! Przypominał sobie codzienny ich stosunek, który znów zapewne wróci. Nie był to nawet stosunek brata z siostrą; brakło czegoś do tego — może ciepła? — Tak, może ciepła... Darmo, była córką jego przełożonego, przewyższała go zresztą we wszystkim, ona taka mądra, piękna... Przewyższała go zanadto... Powtarzał to sobie nerwowo; naprzód ze smutkiem, potem wpatrując się w jej twarz, powtarzał to już mechanicznie, a ogarniało go jakieś silne, namiętne pragnienie. Czasem myślał; ty moja, ty moja... i rozpałało go to jak wino. które pił, a które nigdy nie działało na niego tak silnie, jak w tej chwili. Gdy się poddawał temu uczuciu, nie myślał już nic.

I zaczął rozmawiać głośno. Aż Dora spytała:

— Czy długo jeszcze do pociągu? Doktor spojrzął na zegarek:

— Dobre pół godziny.

Ojciec umówił się z rodziną, że przybędzie za nimi pociągiem wieczornym, gdy pokończy swoje interesy w mieście. „Przepiórka” drewniany dom szwajcarski, urządzone jak hotel, choć zewsząd otoczony dzikim lasem, służyć im miał za punkt zborny i nocleg. Stał nad samą drogą kolejową, która przerywała las o kilka kroków za domem. Na drugi dzień projektowano stąd wspólną wycieczkę pieszą.

— Za pół godziny! — pomyślał naraz Henryk niechętnie. Wolałby, żeby pozostali tak, jak dotychczas. Wiedział, że potem będzie skrępowany, nie będzie już miał jej tak blisko. Myśl ta była mu jeszcze nieprzyjemniejszą, gdy przypominał sobie, że z ojcem Dory przyjechać ma dawny jego znajomy, jakiś profesor z bardzo znanym nazwiskiem. Każdy nowy mężczyzna, który zbliżał się do Dory, przejmował go nieufnością; ten szczególnie, bo zdawał się być oczekiwany niecierpliwie, z ciekawością. Myśl o tym męczyła go tak, że sam rozpoczął rozmowę o profesorze, udając radosne oczekiwanie. — Erhard? to podobno historyk; czytał o nim tyle razy w dziennikach, tyle razy...

Potem wszyscy mówią o nim; doktor, który go zna, opisuje go, chwali... Chęć zbliżenia się uczonego do rodziny kupieckiej, wydaje się pochlebą

dla wszystkich. Henryk słyszy tylko dźwięki tego wszystkiego i patrzy na Dorę, która oparta i przechylona w tył siedzi ze spuszczonei oczyma, odpowiadając niekiedy, jakby bojaźliwie, pytająco na jego spojrzenia uporczywe i namiętne. Chciałby z nią być przez chwilę, szepnąć jej... powiedzieć.. spytać, sam nie wie co... Naraz przychodzi mu coś do głowy. Z nienaturalnym spokojem pyta Dorę:

— Nie wyjdzie pani naprzeciw ojca? Ona spójrzała na niego wielkimi oczami.

— Wcześniej jeszcze...

— Nim dojdziemy do stacyi...

Doktor robił ruch, jakby chciał pomódz Dorze do wstania. Ale młodzi wstali już, gotowi do nocnej wycieczki.

— Gdyby najbliższym pociągiem nie przyjechał — upomina matka — nie czekajcie, broń Boże, do następnego!

— Nie. Może pójdziecie państwo z nami?

Henryk poparł wezwanie Dory nieszczerym gestem. Ale sędziwa pani, która oburzyła się na samą myśl o chodzeniu, rzekła głosem, pokrywającym ziewanie:

— Idźcie sami, jak będziemy doktora tak mężczyź, nie pójdzie już nigdy z nami.

Młodzi zeszli z werandy. Weszli w szeroką, ciemną aleję, wyciętą w lesie, prowadzącą do dworca. Henryk pomyślał, że idzie z nią całkiem sam, że idzie z nią sam w nocy. Droga wydawała mu się jakąś jedyną drogą, po której się

płynię. Starał się uprzytomnić sobie jaknajwyraźniej ctwilę obecną, aby użyć całej jej słodyczy. Wsłuchiwał się w szmer, który mógł być oddechem Dory. Podał jej ramię, a gdy wsparła się na niem, szepnęła:

— Jaki ja szczęśliwy!

Dora rozmarzona, milczała, nie mając siły na trzeźwy swój śmiech, jakim zwykle witała podobne wylewy uczucia towarzysza. Milczenie to sprawiło na nim nieledwie wrażenie gorącego wyznania. Spokój naokoło śpiewał mu prawie; tam w czarnej gęstwinie, na pustej drodze, wznoszącej się w białym świetle, milczało wszystko, jak Dora. Rytm kroków mówił coś w noc ciemną, co szeptało potem dalej i gubiło się w krzewach, gałęziach powietrza. — Jesteśmy sami i razem — czuł. Czasem zatrzepotało, zaszeleściło coś w liściach, jakiś ptak, albo nietoperz .. Dora opierała się wtedy silniej na nim, schylała głowę, tak, że jej włosy go muskały. Uczuł dreszcz jakiś, który płynął po całym ciele; stawał nogi, jak pijany.

Zielone i czerwone światła zaczęły się już migać przed nimi; ostry zapach kolejowy mieszał się z wyziewami śpiącej zieleni i późnej nocy. Potem słyszeli drgające dzwonięcie z dworca.

Na peronie było pusto. Jakby we mgle świeciły słabym blaskiem dwie latarnie. Usiedli w ciemnym kątku peronu, osłoniętym winem. Za chwilę zbliżył się do nich jakiś człowiek z czapką na oczach i latarnią w ręku, mrużąc niewyraźnie pozdrowienie.

— Piękny czas — zaczął rozmowę.

— Piękny — powtórzył Henryk drżącym głosem; czekał z dziwną niecierpliwością, aż ten człowiek sobie pójdzie.

— Państwo na wycieczce?

— Na wycieczce — odpowiedział szorstko i nerwowo. Zdawało mu się, że i Dora chce być z nim samą, że czekają razem na jakąś dziwną chwilę. To pragnienie ogarnęło go tak, że drżał cały. — Naraz byli sami, a potem on nie wiedział, co robi.

Nachylił się ku ziej i obejmując jej ramię szeptał:

— Gdyby pani wiedziała... Doro, gdybyś wiedziała, co ja...

Nie słyszał nawet i nie rozumiał swych słów. Potem objął ją w pól i przycisnął do siebie.

— Doro!...

Czuł, że ciało jej drga całe, spojrzął na nią i widział jej oczjr, jakby senne, twarz bladą, a usta zaciśnięte.

— Ja ciebie kocham... ty moja...

Ona, jakby cierpiąca, przechyliła głowę w tył, potem schyliła się na jego ramię. Henryk poczuł na piersiach ciężar jej ciała, a gdy zobaczył odsłonięty biały kawałek szyi, począł nagle ustami swemi jej ust szukać...

Naraz Dora spojrzała ku niemu. Oświetlona, mignęła jej na chwilę twarz jego gładka, jakby gorąca twarz dziecka; bez zarostu, otoczona rudym włosom. Wzdrygnęła się raptem i wyrwijąc się szybko, wyprostowała się i wstała.

Jednocześnie prawie rozdarł ciszę przeciągły świst lokomotywy. Zerwał się wiatr i podniósł lekki kapelusz Dory, która poprawiała go odwrócona tyłem do Henryka. Potem posunęła się naprzód, gdy wagony przesuwały się koło niej, a Henryk stał jeszcze oszołomiony, patrząc na nią nieruchomym wzrokiem.

Gdy Henryk po chwili podawał rękę ojcu Dory, drżał jeszcze cały.

— Doro, przedstawiam ci profesora Erharda. Niewielki mężczyzna o czarnych faworytach i wąsach skłonił się jej żywo.

— Cieszę się bardzo, że mogę poznać pana — mówi Dora tonem tak swobodnym, że Henryk pyta się, czy to wszystko, co minęło, nie było snem tylko. Językiem dotyka ust swoich, które są spieczone, jakby były na nich jeszcze ślady szczęścia, które go spotkało.

Profesor idzie naprzód z Dorą, rozmawiając z nią wesoło, Henryk idzie z tyłu ze swym przełożonym, który opowiada mu coś o interesach; na twarzy jego błąka się uśmiech senny. Ma teraz uczucie, że nie użył owej chwili. Trzeba było myśleć wtedy o tem, że to jej usta, że to ona... Ale to był może początek; potem musi przyjść wielkie szczęście. Robi mu się gorąco i napada go wesołość szalona, która mu kipi aż w końcach palców.

Przyszli do restauracyi; nastąpiły witania i przedstawienia. Gdy Henryk siedzi znowu przy oświetlonym stole i wśród ożywionych twarzy, ogarnia go nagle pewność swego szczęścia. Nie boli go to,

że Dora. śmiejąc się, rozmawia z nowym przybyszem. Ma uczucie, jakby ta Dora by ia już jego i jakby zaden w świecie mężczyzna nie mógł mu jej zabrać. Patrzy na profesora i obserwuje go spokojnie, z ciekawym uśmiechem jak wszyscy.

Ten profesor sprawia przedewszystkiem wrażenie człowieka, który chce odpocząć pełną piersią, a który umie to robić tak dobrze, że godzinami może być dzieckiem. Praca, myśl przetrawiona, wryła mu się prawie we wszystkie rysy jego

twarży, leżała chmurą u jego czoła i nadawała trzydziestki. Jako Jetniemu mężczyźnie pozór jakiejś przedwczesnej starości, ale jasne spojrzenie, pogodny uśmiech na ustach oświecały to wszystko świadomą siebie, zadowoloną siłą. Ruszał się dziwnie zamasyście, a wszystko w ruchach tych było ciężkie, szerokie. Gdy siadał przy stole, śmieje się, jakby bez powodu, z samej tylko uciechy, ręką zagarnia włosy, a potem mówi ciągle, prawie ciągle do kobiet i żartobliwie. Ręką małą, wychuchaną suwa szybko po czoło Wysokiem, poprzerywanem wzdłuż i wszerz różnymi kreskami. We wszystkim, co mówi, skacze jakaś wesołość rubaszna, jak wakacyjna pustota szkolnego dzieciaka. Humor jego prawie banalny, prosty, wydaje się tylko śmiechem wyswobodzonym; tkwi w tym jakiś nieświadomy komizm, tem bardziej, że wyrazy wszystkie wymawia prawie rażąco czysto, po książkowemu; ma się niby wrażenie naiwnego prostaczka i uczonego jednocześnie.

o krótkiej chwili stał się punktem środkowym małego towarzystwa. Czar jego był niewysłowiony; polegał może właśnie na kontraście w osobie tego człowieka. Najbliższy żart jego działał jak najpiękniejszy błysk ducha, w rubasznym jego, obcesowem obejściu kryła się dziwna dystynkcyja.

Ojciec Dory narzekał, że profesor zanadto pracuje i że powinno się uważać za cud, że udało się wyciągnąć go z miasta. — E, co tam! — obruszył się uczoney. — Praca rano nie strawi, bo praca to moje życie. Niema jak praca. — I uśmiechał się z chłopską niemal dumą i zacierał ręce; zdawało się, że to mówi człowiek, który przez dziesięć godzin z rzędu ciosał kamienie.

Henryk, rozmarzony, otulony niby w usypiające, ciepłe zadowolenie, przyjmuje w siebie wrażenia łatwiej może niż zwykle, ale z tępszą, zaraz kapitulującą refleksją. Widzi profesora i Dorę, jak harmonizują ze sobą wyrazem twarzy i uśmiechem i nie niepokoi się wcale. Przedewszystkiem zdaje mu się, że Dorę posiada już wyłącznie, a potem sposób, w jaki profesor traktuje jego ukochaną, wydaje mu się śmiesznie ryzykownym, nieprowadzącym do niczego i nieszkodliwym. Sam przyzwyczajony mówić do swego ideału na klęczkach, jak do królowej, nie rozumie wprost sposobu z jakim obchodzi się z nią ten czarny profesor. Mówi on, jak do jakiegoś maleńkiego stworzenia z takim uśmiechem, schylając się przytem, jak matka do dziecka — ledwie że nie zmienia

głosu pieszczotliwie. — Gdy ona coś powie, on śmieje się, jak do szczebiotu ptaka.

Henryka dziwi z początku, że Dora godzi się z tym sposobem traktowania siebie, że przyjmuje to tak mile, z takim poddaniem się. Ale naraz przychodzi mu myśl, że to ona udaje tylko dziecko, aby on był dzieckiem tem większem, bo ją to bawi. I Henryk cieszy się tem spostrzeżeniem; nie spuszcza wzroku z Dory. Wydaje mu się, że na jej ustach leży ten sam wyraz, jak gdy rozmawia z swą małą siostrzyczką. W jej stosowaniu się do „baby” jest wtedy więcej słonecznego uśmiechu, niż w dziecku samem.

Cieszy się Henryk trafnością swego sądu. Oczka jego male już bardzo błyszczą, jak dwa szkiełka, pod rzęsami, na ustach błąka się nic nieznaczący uśmiech; myśli, że jest wcieloną ironią obserwatora.

On sam przecież zna Dorę najlepiej. Chciałby posłać jej spojrzenie, ale to mu się nie wiedzie; Dora nie patrzy na niego, udaje pewnie, że go nie uważa — tak, wobec innych! Nie mogąc porozumieć się z nią wzrokiem, ogarnia okiem całą

jej postać i czuje ją już jako własność. Patrzy na nią, jak na ową poważną Dorę, a jako drażniący kontrast czerwienią mu się jej usta, których wilgotne ciepło czuł jeszcze; wprawia go to w odurzenie zmysłowe. Powszechna rozmowa przechodzi w stan jakiś powolniejszy; usta poruszają się leniwiej, uśmiech przypomina ziewanie. Siedzą już sami prawie; na

dole tylko jakaś para przy kaflu piwa, tuląca się do siebie, usypiająca już samym swym widokiem, szepcze, jak słabo tykający zegarek... Kelnerzy, rozpierający się po próżnych krzesłach, patrzą, jak psy głodne, oczami wzywając prawie gości, aby sobie spać już poszli.

Milcząc, podążyli wreszcie sennym krokiem do hotelu. Na dole rozpoczęło się dzielenie towarzystwa przez portyera, który wyznaczał apartamenta.

Nie wiedząc jak, lub czy wogóle się pożegnał, Henryk znalazł się naraz w przeznaczonym dla siebie pokoiku na poddaszu. Tu, zdejmując suknie, śmiał się głośno ze siebie, bo było mu tak dziwnie. W głowie poczęło mu się naraz kręcić. Na oknie szeleściła i rysowała się gałązka bzu, poruszana wiatrem. Księżyc oświetlał wszystko. Poczul pokusę, aby otworzyć okno i uczynił to z zadowoleniem, jakby gasił pragnienie. Potem rozbierając się dalej, przedsięwziął sobie, że w łóżku do snu myśleć będzie o tej scenie na dworcu.

Ale gdy się położył, zasnął, nie doszedłszy w myślach do dworca. W pokoju było cicho, tylko gałązka bzu szeleściła, poruszana wiatrem i posrebrzona promieniami księżyca.

II.

Zdziwisz się pewnie, moja droga Maryniu, gdy otrzymasz ten list. — Dora! Tak Dora, która ma zapewne lepszą pamięć niż ty... Założyłabym się, że nie wiesz już o czym mówiłyśmy pewnego pie

knego wieczoru przed laty. Myślę o tym wieczorze czerwcowym, ostatnim, jaki przeżyłyśmy razem na pensyi.

Na niebie było dużo gwiazd, w powietrzu wiele zapachu lipowego kwiatu, a my byłyśmy obie w jakimś uroczysto tkliwym usposobieniu. Mówiłyśmy o życiu, które czeka nas za murem klasztornym, mówiłyśmy o naszej przeszłości, lo znaczy: mówiłyśmy o miłości i mężczyznach.

Skąd mi to przyszło na myśl, dlaczego piszę o tem do ciebie? Dlatego, że., Maryniu zdaje mi się, że Kocham...

Opowiem ci wszystko — przedtem jednak przypomnij sobie, com ci mówiła wtedy o moim ideale. Szczycę się tem, że zapatrywania moje nie zmieniły się w niczem. Mówiłam ci, że potrafiłabym tego tylko kochać mężczyznę, którego czułabym wyższość nad sobą pod każdym względem. Trzymam się tego, badam to z bojaźliwą prawie skrupulatnością w człowieku, który kiedyś może być moim mężem. W każdym słowie, które wypowie, w każdym jego spojrzeniu, choćby tem — ciepłem, pieszczącem, miłosnem — a nawet głównie w tym wzroku miłosnym.

Miłość, to rzecz niezbędna w małżeństwie. Wierzę w to, jak w ewangelię, choć urodziłam się w ostatniej części dziewiętnastego wieku, a może właśnie dlatego. Zdaje się, że się teraz przychodzi już z dojrzałą głową na świat i czuje w sobie życie wcześniej, nim się jeszcze żyło naprawdę. Czy dlatego może matki nie chowają już przed

nami książek, prowadzą nas do teatru i t. d. Nie wiem; nie chcę przed tobą pozować na mądrość, ale zdaje mi się, że w tem całym prowadzeniu nas i także w opinii męskiej o nas, leży jakieś niesłychane *qui pro quo*, którego nie umiałabym wyrazić. Ale... mówiłam ci o miłości, i mówiłam ci, że wydaje mi się ona niezbędną.

W tym względzie jednak czuję w sobie dwie siły przeciwne. Nie mogę wyobrazić sobie życia obok człowieka, którego kochać nie byłabym w stanie; jednak ilekroć wyobrazę sobie mężczyznę, klęczącego z poniżeniem u stóp moich, patrzącego na mnie owym wzrokiem, w którym mieści się coś dzikiego prawie, czuję wstręt nieopisany. A propos tego, dam ci dowód zaufania, zwierając ci się z pewnej rzeczy, której nie opowiedziałabym żadnej innej kobiecie. Przedemną klęczał już raz tak mężczyzna i nie tylko patrzył na mnie tym wzrokiem, ale... pocałował mię, objął w swoje ramiona, tak, że czułam jego gorący oddech, drganie jego piersi... Ja sama rzuciłam mu się prawie u szyję; i tym mężczyzną — nie był mężczyzną, tylko nasz Henryk. Przeczytasz to co najmniej z politowaniem dla mnie... Niewiem już, jak się to stało, dosyć, że się stało; i dodam ci tylko tyle, że było to na wycieczce i że było parno, ja byłam odurzona trochę wiosną, oszołomiona zmęczeniem, rozgrzana winem. Przykro mi, że muszę go teraz nie cierpieć, choć nieobecnego. Dostał jakąś posadę w Wiedniu, gdzie ma pono korzystniejsze widoki. Gdy odjeżdżał, miał lży T. Czaszka. Dora.

w oczach, a gdy podawał mi rękę, byłam dla niego na chwilę szczerze dobrą i życzliwą. Oszukuję go mimowoli, nie rozmówiwszy się z nim na seryo; to dziecko myśli, że może się teraz spodziewać więcej, niż przedtem, a nie wie, że dzieli nas teraz więcej, niż świat cały, bo mężczyzna, którego kocham... Na tamtego nie mogłabym nawet patrzeć bez odrazy. Wiele może w tem względem niego niesprawiedliwości, ale dotknął mnie człowiek, którego nie kocham; nienawidzę wstydu mojego, a tem samym Henryka. Jakie szczęście, że sobie pojechał! Lubiłam go do niedawna; był, jak rekreacja po ciężkich myślach i mądrej książce. Teraz wiem, że lekceważyłam go zawsze. Płaszczyl się przedemną; gdybym mu była kazała, leżałby przedemną w błocie.

A teraz powiedz, czy to nie ironia losu, że na tej samej wycieczce, tego samego wieczoru, po owej hańbiącej scenie z Henrykiem, którą czuję tylko jak gorączkowy sen letni, a która gra w życiu mojem mniej więcej taką rolę, jak w wielkiej przyrodzie gnom górski, śmieszny, garbaty — czy to nie dziwne, mówię, że wtedy właśnie poznałam człowieka, który, zdaje się, będzie mi kiedyś wszystkim!

Maryniu, żebyś ty wiedziała, co ja teraz przechodzę, ach, żebym ja sama wiedziała, dokąd mię to uczucie doprowadzi i co w sobie mieści!

Ojciec przywiózł go wtedy ze sobą na wycieczkę. Profesor Erhard... Nie znasz? Ach słyszałaś o nim, proszę cię, któżby nie słyszał! Słyszałaś

nazwisko, albo czytałaś w gazetach, na okładce książki — albo ja wiem,, wszędzie... Bo to jeden z tych, których część duszy ogarnia świat i nim się go pozna osobiście, wie się trochę z tego, co w sobie mieści. A gdybyś go zobaczyła, wyczytałabyś to choćby z jego czoła, z jego oka, z całej osoby. Maryniu, ja żyję teraz tem wrażeniem wielkiem, jakie wywiera na mnie jego osoba, ale gdybym miała ci go opisać, nie potrafiłabym setnej części tego oddać, co w nim widzę i czuję. Gdy ci powiem, że jest średniego wzrostu, że ma czarne oczy, wąsy i faworyty, że nie jest bynajmniej typem profesora, bo nie jest ani suchy, ani łysy, nie używa okularów nawet czytając hebrajskie rękopisraa.... czy wyobrażasz sobie coś w tem wszystkim? A dla mnie wszystko w nim coś mówi, wszystko znaczy, gdy go widzę, albo o nim myślę. Nieraz w myślach twarzy jego nie widzę, ale gest każdy mogłabym opisać, ton jego głosu słyszę jeszcze; różne drobnostki, różne cienie w zachowaniu się dla innych może niewidoczne, a dla mnie tak ważne, że składają jego istotę.

Piękność leży w oczach. Biję z nich siła męska, tak wielka, że choć ma ręce jak pensyonarka, barki nie wiele szersze od moich, czujesz w nim prawie olbrzyma. Jeszcze coś, czego dokładnie wyrazić nie jestem w stanie, a co wypływa, zdaje się, właśnie z tej męskiej budowy jego charakteru. Jest dziwnie nieszczerzy; nie znaczy to, że się maskuje; nie, to znaczy, że nie rozdaje siebie, nie rozdaje wszystkiego, co ma. Czuję

to i kocham w nim. Gdybym została kiedy jego żoną, zrobiłby mię może szczęśliwą połową swej duszy, drugą schowałby dla siebie i kto wie, czy za to nie kochałabym go tem więcej. Taki Henryk, który wy Je wał się cały w swych woduistoniebieskich oczach, był mi co najwyżej tem, co jedna z was, które nosicie wszystko na dłoni; spowiadając mi się z chwilowych uczuć i wrażeń, był tak ckliwo szczerzy, jak ty i ja, gdy zwierzałyśmy sobie wzajemnie nasze niemądre mrzonki.

Inaczej on. AJe on, to wogóJe taka osoba wyjątkowa... Tego, co czuję, opisać ci nie moge.

Opowiem ci, jak to wykluło się, wyrosło, zarosło całą mą duszę. W ów wieczór na wycieczce, taki pachnący, senny, wtedy zastanawiałam się już, kto to taki, dlaczego i czem mię zajął? Potem nastąpiła noc, którą, może dzięki Henrykowi, przepędziłam gorączkowo, na pół we śnie i na pół na jawie. Wszystko grało we mnie i burzyło się; nie mogłam dojść z sobą do ładu.

Zdawało mi się, że dlatego spać nie moge, że w pokoju tłoczy się jakaś mgła księżycowa, przesiąknięta zapachem bzu... Takie to było mdłe, tak rozciągało się koło mnie i nademną, tak dusiło mię, że wstrzymywałam oddech i zdawało mi się, że połykam ciągle coś słodkiego. I czułam pragnienie świeżego powietrza górskiego. Wyobrażałam sobie szczyty alpejskie, sterczące w różowych obłokach, pokryte mchem; czułam zapach jodeł. A potem spostrzegłam naraz, że on trzyma mię za rękę i mówi coś do mnie uspokajająco. Widzę



jego czarne faworyty, ironiczne oczy i z największą dokładnością deseń jego fularowej krawatki. Wszystko, co mówi, prawda... Jaka ja nierozsądna, że nie myślę o tem, że to cały mój spokój, jedyne szczęście, że on tak trzyma mię za rękę, i że ten bez, to tylko mrzonka, i że jestem głupią dziewczyną. On mie nauczy od jutra myśleć, bo dotychczas nie umiałam tego, ale teraz on już zawsze trzymać mię będzie za rękę. Dlaczego boję się jeszcze i cierpię? czy to nie dosyć?

Dobrze — mówię — dobrze — i patrzę na jego fularową krawatkę — tylko niech mnie nie odstąpi. Czy on się na mnie gniewa, że cierpię? Ale ja temu nie winna, tylko Henryk a ta mgła mię męczy... Henryk dziecko? tak, ale stało się i ta mgła i nudność zostanie...

Nie! nie zostanie! gdy mnie weźmie, wszystko będzie dobrze. — A potem mówił coś jeszcze długo aż do rana...

Trzyma! mię za rękę i mówił tak spokojnie, jednostajnie, miło, a mnie zdawało się, że słyszę strumień, płynący po świecących kamykach. — Uśmiechałam się szczęśliwie, a pierś wstrząsała mi sic ciągle, jak po płaczu i drżałam jakby w gorączce.

Na drugi dzień rano, gdy słońce oblało już moją poduszkę i przez zmrużone oczy patrzyłam na tańczące w powietrzu proszki promienne, czułam się, jak po bezsennej nocy. Głowa była próżna, a choć ogarniało mię jakieś leniwe ciepło, zdawało mi sic, że jestem, albo w nocy byłam chorą. Ale zaraz poczułam żywe drganie w sercu, gdy pomy

ślałam, że go zobaczę znowu — tego ze snu. Liczyłam minuty. Ze snu, czy mrzonki nocnej zostało mi coś jeszcze w nerwach i zdawało mi się, że dzisiaj jakiś dzień szczególny, decydujący. Gdy zejdem na dół, on mi coś powie, potem przyjdą rodzice, którzy wiedzą naturalnie wszystko — a potem... Uderzyłam się w czoło i śmiałam się ze siebie; robiło mi to przyjemność, tak się śmiałam. A potem patrzyłam sic w zwierciadło, bez ramr upstrzone przez muchy.

Oglądałam się na wszystkie strony; potem mówiłam, gestykułując... Spuszczałam oczy, uśmiechałam się kątami ust i mówiłam — do niego...

Nie wiem, jak długo to trwało, ale zapewne długo, bo naraz drzwi się otwały i weszła matka \* w kapeluszu i z parasolką w ręku. — Tak się przestraszyłam, nie wiedząc, czy co widziała, czy nie! — „Co ty jeszcze...! Dziecko, wszyscy już na dole. Co za szkaradny śpioch, spiesze się!”

Na dole przywitał mnie powszechny śmiech ; czekali pewnie długo na mnie. Śniadanie, a potem w drogę przez jasne łąki i rosa ubrylantowane, ostro pachnące lasy; ścieżki były wilgotne a ziemia, eyklammany, wszystko frementowało po nocy świeżością. Pośliznęłam sic kilka razy po wilgotnych liściach i żółtych szpilkach, a wtedy Henryk i profesor prawie jednocześnie podali mi ramię. Wyobraż sobie, oparłam się nie na nim, tylko na Henryku. Po kilku krokach, które uszliśmy tak razem, zdawało mi się, że czuję przez chwilę, jak Henryk ramię moje silniej do siebie przyciska.—

Spojrzłam na niego szybko i gwałtownie, uwalniając się nieznacznie. Na kapeluszu miał jeszcze zwiędłe kwiaty,, uzbierane wczoraj, twarz miał nieznośnie rumianą i uśmiechał się, nie wiem dlaczego... Te kwiaty bolały mię prawie, tak mi były niesmaczne. Czy miałaś kiedy to denerwujące uczucie, gdy po balu, w gorące południe, zobaczyłaś przypadkiem na twej toalecie bukiet z wieczoru. Mal des cheveux wtedy najnieznośniej się czuje. On cały był mi takim

bólem, takim niby ostudzeniem. Kiedy nie myślałam o śnie swoim, to czułam go jeszcze w całym ciele i zdaje się, że on mi odebrał wszelką słabość do bzu — i Henryka...

Musiało coś w oczach moich być z tego snu, bo w najobojętniejszych rzeczach, które mówiłam z profesorem, leżało jakieś ciepło serdeczne. W postępowaniu jego ze mną zauważyłam od dnia poprzedniego zmianę, której dokładnie określić nie mogłam. Nieraz, gdy patrzył na mnie swymi wielkimi oczami, zdawało mi się, że go coś zastanawia we mnie, że nad czymś myśli.

Spytałam go, czy jest muzykalny.

Odpowiedział, że nie gra na żadnym instrumencie, ale rozumie, lubi muzykę, a słuch ma bardzo wrażliwy.

— Ach, jeśli tak — pomyślałam sobie — jeśli rozumie muzykę, to wie, co gra mój głos, gdy mówię do niego. I starałam się uważać na ton mego głosu, aby on nie usłyszał w nim jakiegoś kompromitującego nokturnu.

Ale mimowoli byłam ciągle sobą, bo nigdy nie byłam tak silnie sobą. Jeżeli się tak zbadamy uczciwie, moje dziecko, to gramy prawie zawsze jakąś rolę. Ja — pannę Dorę, ty — pannę Maryę, a nigdy nie żyjemy tak naturalnie, jak kwiaty na łące. Jest w tym coś dziwnego, a wydaje mi się to czysto kobiece. Co innego taka nieszczerłość męska. Taki profesor mówiąc do ciebie, zmyśla tylko: pana niema w domu. A wie się dobrze, że jest, tylko nie chce wyjść cały ze swojej nory. Inaczej my. My przebieramy się prędko? a pannę Dorę, albo Maryę, mówimy: pani jest w domu i przyjmujemy w tej masce gości.

Trzeba wyjątkowych chwil, aby się raz było sobą. Zdaje mi się, że kiedy on u mnie patrzy i ze mną mówi, jestem sobą mimowoli i nie mogę być inną.

Jaki on po męsku dziecinny! Nie odstępuje mnie na krok. Wypytuje mnie o tysiąc drobnych szczegółów z mego trybu życia: Kiedy wstajesz? A co potem robisz? Czytam? Dobrze, a co czytam?...

Musi go takie stworzenie z warkoczem intrygować naukowo. Po każdej mej odpowiedzi śmieje się, jak rozbawione dziecko. A potem pędzi mię dalej. — No, a potem, po obiedzie?

I tak aż do wieczora, a rano każe mi znowu wstawać. Dowcipkuje coś o toaletach, pyta się o różne materje, jakby go to interesowało. Kokietuje swą męską niezgrabnością w tych rzeczach.

Ale pana czuć w domu coraz więcej. Jak ten pan mruga z po za poważnych oczów, jak uśmiecha się nieznacznie, kreci wąsa!

— Jak dziś ślicznie marno! — wołam naraz szczęśliwa.

Henryk już dawno niesie dwie zarzutki i parasolkę mamy, sunąc w aryergardzie; profesor już dawno prowadzi mię pod rękę.

— Do najbliższej stacji kolejowej, a tem samem końca wędrówki już niedaleko, a on mie ciągle przesłuchuje. Niechby mie kto inny tak spróbował bawić! A z nim czas leci mi prawie; słońce przesuwają się nad drzewami niby wielka wskazówka na zegarze, mama już ciężko oddycha ze zmęczenia, ojciec udaje zucha i pogwizduje jak zwykle, gdy mu się ciężko idzie, a mnie wydaje się, że wyszłam dopiero z „Przeziórki”. Czy i jemu tak samo?

Zdaleka widzę już dworzec i nagle napada mię odwaga i ochota spróbowania z nim gry odwrotnej; zacznę ja się teraz pytać.

Poprawiam coś koło włosów; bawię się wstążką od parasolki... Hm...

— A pan... pan do późna musi siedzieć pewnie na tym... uniwersytecie?

Patrzy się zdziwiony, jakby nie wiedział o kim mowa. Ja czerwienię się cała. Machnął ręką, jakby odganiał muchę.

— E! proszę pani, co tu mówić o takich nudnych rzeczach.

Jestem zalękniona, nie wiedząc dlaczego, i gniewam się na siebie.

Za chwilę jesteśmy na peronie i czekamy na Henryka, który, jak zwykle, załatwia kupno biletów, tym razem i dla profesora. Profesor studjuje doktorem rozkład jazdy, ojciec kupuje cygara, a ja siedzę w kącie ławki przed poczekalnią, zamyślona i nie swoja, nie słysząc, co mi matka opowiada.

Gniewa mię coś, martwi... Wiem, że tych kilka słów, powiedzianych przez niego, tak mi dokucza, i razem wiem, że nie było w nich nic szorstkiego i obrażającego. Nie gniewam się nawet na niego, tylko jestem smutna. Czuję naraz coś nieprzyjemnego, ciężącego, jak mgła. Powiadam sobie, że odtąd będę inaczej do niego mówiła. Ale zaraz potem wydają się sobie śmieszna; nie wiem, gdzie patrzeć, aby nie spojrzeć na niego. Bez powodu chce mi się prawie płakać. I następuje taka chwila, jak przed burzą; każdy nerw drga we mnie, jakby się stało coś niepowetowanie bolesnego, a zbliżała się noc, w której męczyć się będę wspomnieniem tego smutku.

Przypomina mi się raz jeszcze cała wycieczka i czuję lekki wyrzut z powodu Henryka. On mię tak uwielbia; przecie ja sama zapomniałam się wtedy. Chciałabym, żeby już wrócił z kasy, abym mogła na niego spojrzeć raz poczciwie, ciepłej, przebłagać go jakoś, rozrachować się z nim wzrokiem. Jestem niecierpliwa i zirytowana, skubię niemilosiernie bukiet, który mam na kolanach.

Wreszcie dzwonek zapowiada pociąg, zjawia się sapiący z pośpiechu Henryk. I teraz następuje coś dziwnego. Profesor zbliża się do mnie, podaje mi ramię i pyta po dawnemu:

— No cóż, panno Doro, bolą nas nogi? Biedna panna Dora, biedna...

A we mnie zmienia się wszystko; rozstrojenie rozplywa się tak gwałtownie w jakimś, prawie rzewnie miłym uczuciu, że gdy patrzę na niego, odpowiadając mu uśmiechem, nie wiem, czy oczy moje nie błyszczą dziwnie. W tłumie pasażerów i zamieszaniu mam czas widzieć jeszcze zdziwienie jego.

Potem siedzę w wagonie z tem pewnem mdłym uczuciem koło szyi i serca, jak je się ma wskutek płaczu. Co on sobie pomyśli! W duszy powtarzam nerwowo: — Jesteś głupia dziewczyna — wstydz się — wstydz — podłotek. — A to rzewne uczucie nie opuszcza mnie, jak na złość. Czerwienię się prawie ustawicznie, bo on siedzi koło mnie i swobodnie mię obserwuje. Nie wiem co ma za wyraz twarzy, tylko czuję jego wzrok i patrzę z natężeniem przez okno na przesuwające się słupy telegraficzne i budki kolejowe. Na? raz słyszę za sobą śmiech dziecka. — A już taka moja natura, że kiedy maleństwo takie się pojawi, nie mogę wytrzymać, żeby go sobie nie obejrzyć, więc obracam się żywo i za chwilę jestem w najlepszej komitywie z małym bobem, które nianka za mną trzyma, a które ciągle obraca się i wyciąga łapki do mego kapelusza.

To szczęśliwie zmienia sytuację, zaciera wszystko bez śladu. Napada mię znowu wesołość, w którą miesza się mój sąsiad z widoczną o swoje ubranie obawą, która bawi mię niewymownie.

Profesor odprowadza uas w mieście aż pod dom. Tu rozłączenie powszechne. Henryk najwidoczniej w złym humorze, albo obrażony, żegna się z angielskim chłodem, doktor, jak zwykle, per frłre; profesor chrząka, widzę, że będzie coś dłuższego. Matka podaje mu rękę z stereotypowera: „co piątek jesteśmy w domuu, on zerkając na mnie, mówi do mamy:

— Tak mi było z państwem dobrze! Mój Boże, ja taki dziki, ale z państwem czułem się tak swojsko... Dziękuję serdecznie! Więc państwo tu mieszkają — aha! Nie można tez czasem wstąpić na chwilkę, gdy człowiek wolny? „Piątku ignoruje najwidoczniej. Matka, której podobał się stanowczo, prosi go serdecznie, aby zrobił nam tę przyjemność, kiedykolwiek i o jakiejkolwiek porze dnia będzie miał ochotę.

Możesz sobie wyobrazić, z jakim uczuciem znalazłam się znowu w domu. — Jak się pokazało, „baby" w naszej nieobecności zbiło wielką wazę w salonie, co spowodowało mię do tak gorącego pocałowania go, że dostałam okropną burę od matki, która musiała potem słuchać do północy krzyków z kołyski.

— Jak ja się rozpisałam! — Jedna stronica... dwie... Jeden dzień opisywałam ci tak szczegółowo, a mam pisać o tym całym dziwnym stanie,

w którym się teraz znajduję. Ale właściwie, gdy zastanowię się nad tem, to przez te kilka tygodni czułam to samo, co w ów jeden dzień. To, co wiem dziś, wiedziałam już wieczór po wycieczce.

Był taki naiwny ze swojemi odwiedzinami. Przychodził literalnie, kiedy mu się podobało, a odchodził, kiedy chciał. Należy już prawie do nas. Ja co dzień odkrywam w nim coś nowego, a jak się pokazuje, widziałam to wszystko już dawno od pierwszego wrażenia. Czy ja go kocham? Albo ja wiem, co to znaczy kochać? Na pensyi wiedziałyśmy to, zdaje się lepiej, gdyż rozprawiałyśmy o tem do północy w sypialni.

Co nocy prawie zastanawiam się nad tem i wiesz, kiedy wydaje mi się, że go kocham naprawdę? Gdy pomyślę, że on mnie zapewne nie kocha. Wtedy robi się pusto i zimno w pokoju, cienie sprotów nabierają dla mnie jakichś obcych, pustych zarysów, smutno mi tak, że nawet płakać nie moge.

Najczęściej jednak nie myślę, tylko mam uczucie, że mię to wszystko gdzieś niesie. Mam tylko dziwnie ostry wzrok, gdy go obserwuję; czasem chwytam sic na tem, że chciałabym prawie odkryć w nim jakie błędy i śmieszności.

Czasem znowu napada mie lek niewypowiedziany, gdy mi błyśnie w głowie możliwość tego, co... możliwość, że rai się oświadczy. Potem następuje zwykle ślub i zostaje się czyjąś żoną. Co po za tem, to przedstawia mi się, jak ciemność

tajemnicza, której zanadto się boję, żebym mogła patrzeć w nią dłużej. Gdy w nocy przychodzę do tego punktu, zakrywam kołdrą głowę i liczę do kilku tysięcy, żeby tylko zasnąć i nie myśleć. Z fatalizmem czekam, aż przyjdzie profesor, weźmie mię, jak raz we śnie za rękę, a wtedy... wtedy droga moja, dam się pewnie zaprowadzić, dokąd on zechce.

On przychodzi po południu, a wtedy i dzień zaczyna się dla mnie, a potem już tak toczy się to wszystko samo. Niby rzeka wielka, płynąca z szumem, obłana słońcem. Błyszczą się różne światełka, tu i tam migają się fale. Gdy patrzysz na jedne krople, w głowie ci się mąci wszystko, kropla rozpryska się w tysiące złotych pyłków i płynie z wielką wodą. Przyjście jego czuję już chwilę przedtem, nim słyszę jego kroki po schodach. Zresztą „baba,” cieszące się na cukierki, anonsuje go przy oknie. Mama ucieka regularnie z wielkim pośpiechem ze sofy, na której urządza sobie poobiednią drzemkę, gubiąc przytem szal i pantofle. Potem wchodzi, zawsze w tej samej granatowej bluzce i z krawatką na bakier i przeprasza, że wpada tak „bez żenady” i wcześniej. Potem mówi ze mną samą z pół godziny, poufale, przyciszonym głosem.

Zdziwisz się, gdy ci powiem, że prawie zawsze on mówi, a ja tylko, gdy mnie zapyta. A przecież dobrze mi z tem. Mam mniej więcej takie uczucie, jak gdybym mówiła z moim mistrzem. Zdaje się, że to główny charakterystyczny rys mojej mi

łości dla niego. Kocham, gdy daję się tak prowadzić słowem, wzrokiem i myślą, kocham go, gdy się czuję słabszą od niego, a opierającą na nim. Dlatego nie myślę naprzód, tylko czekam, aż on o mnie pomyśli, poprowadzi mnie. A teraz, gdy się już ze wszystkiego wypowiedziała, powiem ci o męczącej mię nieraz i jak komar kłującej myśli, która mie wśród szczęścia nawiedza.

Jest to myśl o tej — rzeczy z Henrykiem. Żebyś mi sto razy powiedziała, że to było głupstwo, dzieciństwo... Moja droga, czy może mi kto powiedzieć, dlaczego to się stało? Zrozumiej mnie. Wszystko musi mieć przecie jakieś znaczenie; w każdym szczególe piękna, w każdej drobnostce życia... Dajmy na to, że pocałunek ten wówczas był do wytłómaczenia, to nie jest on do wytłómaczenia teraz. Prawda, wtedy nie znałam jeszcze Stefana — prawda, wszystko prawda... A przecież to dyssonans, niezgrabna jakaś kreska w moim życiu i nie mogę dać sobie z nią rady...

A teraz ściska cię milion razy twoja kochająca cię... Dora.

III.

Kiedy skończyło się witanie, przeszła cała burza przy spotkaniu się dwóch osób, niegdyś sobie bliższych, a oddalonych na czas długi, obie kobiety spojrzały na siebie z tą chciwą ciekawością kobiecą, która chce przeniknąć do głębi.

Maryja szczególnie zdawała się pochłaniać wzrokiem każdy rys, najdrobniejszy wyraz w twarzy swej przyjaciółki. Oto mężatka! — myśli, jakby znajdowała się przed wielkim wodospadem i mówiono jej: oto Niagara!

Dora zmieniła się, a raczej może każdy rys jej postaci otrzymał tylko inne znaczenie estetyczne. Jej płeć zawsze blada, pociąga perłowym swym tonem, a to, co gra w tej barwie, rozlewa się miękko w całej postaci, pełnej, wykończonej. Na twarzy, w oczach, coś szczęśliwie skończonego; uśmiech spokojny opowiada o jakimś ostatnim akcie kobiecego życia. Maryja czuje się tem z początku prawie onieśmieloną; przyjaciółka wydaje się jej w pierwszej chwili jakąś obcą kobietą, o wiele starszą, o wiele trudniejszą od tej, którą znała niegdyś. Ale złudzenie powoli znika: to przecie Dora z przed laty, Dora z pensyi.

Mieszka ją jeszcze otoczenie: małżeństwo czuć prawie w powietrzu. W drugim pokoju cicho, ale może w trzecim, czwartym.... Głosem trochę niepewnym pyta: — No, cóż?

Dora odpowiada wesołym skinieniem głowy, które znaczy: wszystko w porządku. A potem mówią o innych rzeczach swobodnie.

Naraz Marynia myśli, że niedługo będzie musiała wrócić do matki, do hotelu, i że wizyta u przyjaciółki dała jej właściwie mało wrażeń... Co to Niagara? trochę wody i nic... wszystko w porządku... hm...

Rozmawiają o drobnostkach. Dora wstaje czasem i patrzy przez okno.

— Patrzę tylko, czy Stefan nie idzie.

— A... tak... — przypomina sobie Marynia, potem rumieni się — ty go musisz bardzo kochać...

— Ależ rozumie się — odpowiada Dora z uśmiechem. — To u was noszą jeszcze te rękawy? Pomyśl, kazałam sobie robić na wiosnę suknię...

I dalej w tym samym tonie. Słońce świeci leniwo, w szmerze ich rozmowy ziewa południe.

Dorę gniewa naturalna mina, z jaką Marynia przyjęła do wiadomości, że „wszystko w porządku”. Jakby to było czemś takim zwykłym. Ach, żeby ta dziewczyna wiedziała!.. Ale jak tu zacząć?

Wstaje i idzie do okna, niby patrzy na ulicę, bawi się sznurem od storów.

— Maryniu!

— Co V..

— Prawda, jak to czas leci?

— Pewnie.

— Hm.... Czy pamiętasz mój list do ciebie... wiesz ?...

Tamtej zabiło serce z ciekawości.

— Pamiętam — mówi i śmieje się neutralnie, Dora siada znowu koło niej, przechyla głowę w tył i, patrząc w sufit, mówi niby do siebie:

— Przed dwoma laty!., pisałam w nim... pe wnie wiele o Stefanie?

— I jak wiele! Wiedziałam już wtedy, co z tego będzie....

— I ja także — wzdycha Dora zamyślona.

T. Czaszka. Dora.

Naraz śmieje się i jakby ze wstydem zakrywa twarz rękami:

— Nie wiedziałam tylko i nie mogłam wiedzieć, co potem z tego będzie...

Marynia spojrzała na nią szybko.

— Jakto... potem? po ślubie?..

— Nie rozumiesz mnie. Chcę tylko powiedzieć, że, kochając, nie wiemy prawie nigdy, co nas czeka; małżeństwo wyobrażamy sobie, jako zakończenie, a ono jest dopiero początkiem życia; dlatego rozczarowanie musi przyjść...

— Rozumiem cię — przerywa Marynia z mądrym uśmiechem. — Przed ślubem kobieta wyobraża sobie ukochanego mężczyznę takim, jakim się go chce, bez błędów, bez słabostek, jakimś rycerzem idealnym.

— Mylisz się. Tego nie wyobrażałam sobie nigdy. Tak kochają zazwyczaj tylko dzieci i mężczyźni. My, kochając, znamy mężczyznę tak, jakbyśmy go nienawidziły; błędy kochamy z nim razem. Takim, jakiego kochałam przed ślubem, okazał się i potem. A przecież, jeśli dziś mówię, że wszystko w porządku, to nie myśl, że mnie to nic nie kosztowało.

Marynia otworzyła szeroko oczy i patrzyła na przyjaciółkę. Dora spojrzała na nią.

— Co mówiłaś?

— Nic

Tego, co błysnęło jej w głowie, nie odważyła się powiedzieć. Byłoby to jak niezręczne uderzenie

nie w delikatny jakiś instrument. Dokoła taki poważny, uroczysty spokój, każdy sprzęt wydawał się symbolem harmonii małżeńskiej. A przecież to nasuwało się tak naturalnie. Nie zawiodła się na swoim mężu, a szczęście i nim przecie czemś okupiła. Może rezygnacją z miłości innego, który zjawił się w jej drodze. Naczytała się już tyle podobnych rzeczy w romansach, że ta kombinacja wydaje jej się czemś powszednim. A jednak w życiu to zawsze bardzo, bardzo ciekawe.

— Nie pojmuję ciebie zupełnie, droga — mówi słodko. — Czyż to trzeba cierpieniem zdobywać sobie szczęście, którego oddawna było się pewną? Nie mogłaś przecie zawieść się na pożyciu z mężem, jeśli na nim samym się nie zawiodłaś.

— Myślisz?

— To jasne. Naturalnie, jeśli nie nastąpiło coś nieprzewidzianego.

— Coś nieprzewidzianego! A czemuż jest wszystko z drugiej strony ołtarza, jeśli nie czemś nieprzewidzianem? Jeśli nie znaliśmy dotychczas prawie życia, możemyż mieć jakieś pojęcie o tem, które nas czeka, choćby z mężczyzną, którego znamy?

Nastąpiła pauza, podczas której Marynia udawała spokój i patrzyła na końce swych trzewików, czując dreszcze ciekawości.

— Jakże ci go opisywałam?... — zaczyna znowu Dora.

— Jako ideał — uśmiecha się z roztargnieniem Marynia.

— Nie; wiem z pewnością, że nie; chyba jako ideał względny, jako mój ideał, a ten miał przede wszystkim ręce i nogi. Opisywałam ci go tylko, jako mężczyznę, o którego przewadze moralnej nad sobą byłam przekonana. To w nim właśnie kochałam; oprócz czegoś jeszcze, to jest — jego.

— W czymże ta przewaga jego się objawiała?

— W czym? W wielkich rzeczach i w drobnostkach — we wszystkim. Czułam ją na każdym kroku, a nie ciążyła mi, lecz owszem była mi tylko źródłem ciągłej i silnej rozkoszy. Jeżeli mi rozkazywał wzrokiem, uśmiechem, przyjmowałam to jak pieszczotę, jak coś słodkiego, czego używam, Kochając. Te nasze pieszczoty...

— To bardzo pięknie — mówi Marynia, uśmiechając się zamyślona — ale wybacź, z tem wszystkim nie mogę sobie wyobrazić na przykład — miodowych miesięcy. Czy nie jest to za uroczyście; czy nie ciąży jednej stronie? Ja inaczej wyobrażałam sobie taki stosunek! Gdy chodziliście pod błękitnem niebem włoskiem...

— Pod tym błękitem nie byliśmy dotychczas — mówi z uśmiechem Dora.

— Jakto? wybieraliście się...

— My? Ja się wybierałam, ale Stefan przekonał mię, że to niepotrzebne.

— Co ty mówisz!

— A żebyś wiedziała, jak łatwo dałam się przekonać! Miał tyle słusznych argumentów; najpierw, że taka podróż poślubna to właściwie rzecz

bardzo banalna i tysiąc razy zużyta, powtóre, że piękniej takie życie we dwoje rozpoczynać we własnym ciepłym kącie... Czy to nie ładnie powiedziane „we własnym ciepłym kącie”? — Mówił mi jeszcze wiele takich rzeczy, które mi szły prosto do serca — nie wiem już co? Ale w końcu rzuciłam mu się na szyję.

— Tak? — hm... Pewnie, że to wszystko... Ale czy nie było w tem trochę, troszeczkę — egoizmu z jego strony? Nie wiem, ale ja kłóciłam się z nim przynajmniej trochę.

— Ja się nie kłóciłam. I potem także nie, gdy wyperswadował mi chodzenie na bale, które, podług jego zdania, robią z nas kameruńskich murzynów, do teatrów, które, jak statystyka wskazuje, po kolei co tyle a tyle lat spalić się muszą...

— Doro, przestań, to okropne! To tyrania!... — Ależ ja spełniałam wtedy tylko moją własną wolę, poddając się woli jego; czy nie rozumiesz tego? Czy nie rozumiesz, że to panowanie siły jego nad moją wolę, było mi prawie wyrafinowaną rozkoszą?

— I to... ty, ty? ta niegdyś kapryśna, samowolna...

— Wiedz moja droga, że przerobił mię zupełnie, że przerobił mię nieznacznie, powoli, nie wiedziałam kiedy i jak. Stałam się inną. Domyśliłam się tego dopiero, gdy się zaczęłam tem martwić...

— A kiedy to nastąpiło? — spytała Marynia spieszenie.

— Kiedy? — powtórzyła zamyślona Dora. — Alboż ja wiem? Zdaje się, że z jesienią; zdaje

się, że gdy lato minęło z każdym liściem żółtym, który spadał na ziemię, traciłam, niby kryształę z duszy... Umilkła, a po chwili zaczęła znowu :



— Byłam czemś w rodzaju duchowej papugi; zajmowałam się wszystkim, co należało do sztuki, poezji, ale ze wszystkiego brałam tylko błyskotki, we wszystkim obracałam się w skrajnościach, miałam duszę przybraną podług ostatniej mody...

— A tak; czytałaś Baudelaire'a ?

— My, kobiety, musimy mieć modne myśli, tak jak suknie i kapelusze, choć ściśle rzeczy biorąc, wierzymy tylko w dwanaście artykułów wiary, a zresztą tylko w to, czego możemy się dotknąć, co możemy schrupać zębami. Zresztą, zdaje się, że w takim papuzim nastroju jest młodość, a w końcu, że trzeba na to i trochę oleju w głowie. Wiesz, moja Maryniu, że teraz, kiedy postarzałam się moralnie o lat kilka i widzę wszystko w właściwym świetle, widzę, jak nieroztropnie postąpił mój mąż, wvrywając mi moje pstre piórka po kolei...

— Dlaczego?

— Dlaczego? Dlatego, że zestarzałam się za prędko, że prędeej, niżby to się stało zresztą, zaczęłam myśleć o rzeczy bardzo niebezpiecznej: o sobie, podczas gdy moje piórka poniosłyby mię były z pewnością gdzieindziej. Dlatego, że., mąż, który chce być jeszcze czemś innym, niż mężem, a więc chciałby swą żonę uszczęśliwić tylko połową swej duszy, powinien jej zostawić przynaj

mniej dowolne rozporządzanie choćby tylko częścią siebie samej, i... choćby w interesie własnym.

— Nie całkiem to wprawdzie rozumiem, lecz zdaje mi się, że wiem mniej więcej, o co chodzi. Ale mówisz przecież, że z początku nie cierpiałaś na to, że owszem sprawiało ci to przyjemność, jakże się to działo?

— Jak? Zdawało mi się, że tracąc coś z siebie, pod jego wpływem rosnę zarazem w tem, na czem mi zbywało dotychczas, że on używa mi coś ze swej siły, że mnie podnosi do siebie, kształci, uszlachetnia. Czasem czułam się, jakby świętą, codzień nowe przyjmującą objawienie. Widząc się co rano w zwierciadle, czytałam najdokładniej, ile mi szlachetności przybyło od wczoraj.

— To zabawne.

— Gdzieżtam! to bardzo poważne. Ty nie znasz tego uczucia spokojnej dumy, z jaką się patrzy z wysokiego stanowiska swego szczęścia na cały świat! Jak tamto wszystko blahe, obojętne! Bo tamto wszystko wydaje się czemś nieskończonym, a my obejmując szczęście stoimy niby u mety. Tamto wszystko: słowa... słowa... Patrzę w jego twarz spokojną i widzę, że właściwie niema ładnych kwestyj. On taki spokojny! A gdy mię weźmie w ramiona, jestem szczęśliwą, jestem u jedynej możliwej konkluzji wszystkich rzeczy.

— A ludzie nie widzieli tej zmiany u ciebie?

— Ludzie... ludzie... Co mnie obchodzili ludzie; albo ja wiem, co o mnie myśleli? Ach prawda!., czekajno!.. znasz naszego doktora? On zna mię

od dziecka i, zdaje się, że mię kocha jak ojciec. Ten doktor... Dziwiłam się nieraz, dlaczego teraz taki poważny, spokojny, zaczął wdawać się ze mną w różne dysputy, broniąc przytem zasad najskrajniejszych, uśmiechając się dziwnie drwiąco, gdy mu odpowiadałam moim, świeżo nauczoną językiem. Musiał się przytem bardzo irytować.

— Wierze; żal mu było, że stałaś się papugą twego męża.

— Z czasem stałam się i jego żoną. Ale to o wiele później... dla mnie o wieki później. Przedtem przyszedł czas, w którym cierpiałam, męczyłam się, czas...

— Gdy lato minęło i przyszła jesień?

— Gdy przyszła jesień — Tak...

Dora umilkła i z dziwnym uśmiechem patrzyła przed siebie.

— Widzisz to okno? — zaczęła znowu — przy którym wyglądam teraz tak niecierpliwie męża? Teraz zieleń je otacza, słońce uśmiecha się i lśni się na szkle. Wyobraź sobie, jak ono wygląda w jesieni, jak za niem smutno, mglisto, nieprzyjaźnie. To okno znam dobrze, bo przepędziłam przy niem samotnie poranki, gdy męża nie było w domu, smutne szare godziny, gdy zostawiając me samą, pracował w drugim pokoju. Ranki były najsmutniejsze. Myśli są najgorszym towarzystwem. A przytem musisz wiedzieć, była szpara w oknie. Taka mała, nieznaczną szparka... Zdaje się, że po części ta mała szpara była powodem burzy, która potem na mnie przyszła...

— Dzieciństwo... Jakże to?

— Widzisz, gdy się ma odczuć jakieś wielkie nieszczęście, poprzedza je zawsze prawie mały rozstrój, drobny ból fizyczny jest ostatnim powodem, że się je odczuwa wogóle. Ze szpary z okna wiało a niedługo przyszedł silny ból w twarzy. Zaczęłam naraz myśleć pod wpływem tego. Mfślałam, że siedzę tu sama i smutna, a na mnie wieje zimno z okna, on zaś stoi teraz na katedrze i opowiada swoim uczniom o rozwoju szczepu słowiańskiego.

— Mogłaś przecie kazać naprawić okno, moja Doro, i byłoby ci w pokoju i ciepło i swojsko. A twój mąż? przecie był profesorem, musiał zajmować się swoją nauką, zostawiając cię samą gospodarstwu? Czy jest coś prostszego nadto?

— Jakaś ty mądra! — szepnęła Dora ironicznie. — Co to znaczy „proste” co „naturalne”? Czułam wtedy tylko sam fakt, który przedstawiał mi się jako sytuacja o tragice najwyższej... Czułam, że cierpię, a on o tem nie wie; logika bólu mówiła mi, że cierpię przez niego! Zresztą stąd tylko poczęły się moje myśli. Myślałam potem ogólniej...

— Zaczęłaś myśleć krytycznie o twoim mężu...

— Nie ; zaczęłam myśleć nad sobą. Poczułam się słabą ; nie wiem, jak przyszła mi świadomość jakiejś własnej nieudolności, która mnie bolała, nad którą poczęłam płakać. — W domu było mi tak dobrze i ciepło — mówiłam, szlochając, podczas gdy czułam denerwujące wianie z okna — w domu

uważano me za pierwszą, w domu byłam mądrą, pewną siebie. Teraz nie moge nawet myśleć. Gdy mi przyjdzie jaka myśl, wiem, że on przyjmie to chyba swym zwyczajnym uśmiechem, że ma me za niedojrzale dziecko...

— Poczęłaś czuć twoją niewolę.

— Nie myślałam wtedy o niewoli, bo myśląc o niej, musiałabym nienawidzić tego, którego jestem niewolnicą; nie, myślałam tylko o własnej niemocy, to mnie gryzło, doprowadzało do rozpaczy. Przytem ciągły ból zębów...

— Więc okna nie dałaś naprawić?

— Nie z niedbalstwa. Tylko w końcu zaczęłam rozkoszować się cierpieniem. Dawniej trzymałam przynajmniej książkę w ręku, choć nie zawsze mogłam czytać; teraz siedziałam z założonymi rękami, z twarzą, szarpaną bólem, opuchniętą, zalewając się łzami, grzebiąc w przykrych myślach...

- Przebacz Doro, ale to już szczyt dzieciństwa, dzieciństwa, o które nie posądziłabym cię nigdy!
- Łatwo ci się śmiać. To było dziecinne? Może być; a wiesz dlaczego byłam dzieckiem? Bo robiono mnie gwałtem starą, i byłam nią, dopóki nie byłam samą. Osamotniona, stawałam się dzieckiem, które cierpi często tragiczniej, wyrafinowaniej, niż starsi.
- A mąż nie spostrzegł tego nigdy? Musiałaś przecie źle wyglądać...
- Ach moja droga, gdy on był przy mnie i zaczął się mną zajmować, stawałam się zdrową,

zapominałam o wszystkim. Mogłabym była męczyć się tak wiecznie, aż przypadkiem przyszedł przewrót. Marynia spojrzała na przyjaciółkę z napięciem.

- Jakżeż to było?
- Zaproszenie na bal.
- A? No i cóż? Mąż wyperswadował ci pewnie znowu tę przyjemność?
- Gdzież tam! Nie dałam się.
- Oho! To był prawdziwy tryumf?
- Rozumie się. Byłam przez dni kilka rozgorączkowaną z radości. Okno kazałam naprawić, nie myśląc iść na bal z opuchniętą twarzą. Przedpołudnia miałam zajęte konferencjami z krawcową...
- Jaką miałaś suknię?
- Białą, dekolowaną, z czerwonymi różami.
- Dajesz ciągle jeszcze robić u...
- Tak, u tej samej, co dawniej. Mówię ci, była śliczna! Rachunek dopiero przed dwoma miesiącami odważyłam się pokazać Stefanowi.
- No i cóż dalej? Wyobrażam sobie, że gdy przeprowadzi się choć jedną rzecz...
- Tak, to mię cieszyło; było mi chwilowym odurzeniem, wyswobodzeniem; wogóle ten cały czas, wiesz, nawet chwila przed bale, różne drobnostki, które mię cieszyły, choćby tylko to, że miałam wyjątkowo uczucie, że obracam się teraz przynajmniej na jednym polu swobodniej, niż mój mąż. Wyobraż sobie, ubierałam się jeszcze,

on pukał już do runie, żeby iść. Chciał wybierać się już o ósmej, bo tak napisane na zaproszeniu.

- Niezłe...
- Gdym mu wytłómaczyła to, co każdy porządny człowiek powinien wiedzieć, to jest, że inaczej się pisze, a inaczej czyta godziny rozpoczęcia, on, śmiejąc się, przyznał, że to są rzeczy, „na których pewnie lepiej się znam od niego.” Nie masz pojęcia, jak mi to cieszyło! Może być, żeś zresztą bardzo mądry — myślałam, uśmiechając się — ale to są naprawdę rzeczy... To rozkoszne uczucie wzrosło naturalnie na sali balowej.
- Naturalnie — twój żywioł. Musiałaś się ucuć, jak ryba w wodzie.
- Albo jak żołnierz, gdy proch poczuje! Teraz na mnie kolej — myślałam ze wzruszeniem uroczystem. Zaczęłam całą piersią żyć w tej atmosferze ciężkiej i ciepłej, przesiąkniętej perfumą i światłem. Moje podniecenie musiało działać i na innych, spotykałam tyle spojrzeń, tyle przyjaznych twarzy!... Naraz... widzę — zgadnij kogo ?...

— Kogo?

— Właściwie nie poznałam go z początku, bo stał odwrócony odemnie, ale zastanowił mię kolor włosów, w całej postaci uderzyło coś znajomego. Dopiero matka mi powiedziała — Henryk.

— Co ten?!

Marynia zerwała się, zelektryzowana. To ogromnie interesujące! Henryk...

Ten Henryk, który cię, wtedy... o którym pisałaś?...

— Ten sam. Wrócił z Wiednia.

Marynia gotową była udzielić przyjaciółce już naprzód absolicy z wszystkiego, co teraz miało się stać z tym... z tym Henrykiem. Przynęła się do niej z ożywieniem i objęła ją w pól.

— Moja droga... Moge sobie wyobrazić to wzruszające uczucie, gdy się po tak przykrych chwilach zniechęcenia zobaczy naraz człowieka, z któ

rym wiąże się wspomnienie ze szczęśliwych czasów! Daremnie, Doro, choć opisywałaś mi to zajście z Henrykiem z pewnem... Nie, nie, to było takie poetyczne! Musiał cię tak kochać! I kto wie, gdybyś nie była poznała twego profesora... Ale cóż dalej? Jakże się znalazł wobec ciebie? czy był obrażony, zimny?

— Nie przyszedł się nawet przywitać. I to mię irytowało niewypowiedzianie. Dowiedziałam się od matki, że wrócił już od kilku tygodni, że się bardzo zmienił, nie czerwieni się, jak dawniej... wogóle nie ten sam. Gdy odwrócił głowę, spostrzegłam, że rysy jego twarzy tak samo niesmaczne, jak po owej scenie na dworcu niegdyś.

— Ależ Doro! — mówi Marynia lekko rozczarowana.

— Błąd był tylko, musiał żyć wesoło w tym Wiedniu ..

— Albo płakać za tobą.

— I oczy te same; gdy patrzę w nie, czuję mdłości, szczególnie, gdy widzę jednocześnie jego

rude włosy\* Ale w tych oczach leży jeszcze coś dla ranie: wspomnienie chwil, w których czułam się silną, panowałam nad obcą wolą; leży w nich jakaś zdolność do uginania karku, niewolnicza uległość słabego lub dziecka.

— Acb, Doro, przysięgłabym, że teraz ten rys właśnie nie odpychał cię, jak dawniej, że owszem po tylu upokorzeniach...

— Tak, tak... masz słuszność... Ale jeśli mie pociągał, to tak jakoś niezdrowo, niejasno, jak coś, co brzydzi, i czego się pożąda zarazem. Gdy patrzyłam na niego, był mi prawie wstrętny, ale obudzały się we mnie jakieś dziwne chętki, prawie barbarzyńskie; chciałabym prawie, aby ten człowiek leżał u stóp moich... Ileż razy czynił on to dawniej, słowem, wzrokiem, całem obejściem! Miałam jakieś łudzące niby pragnienie...

— Kto wie, jakie to było uczucie, które cię naraz ogarnęło z taką siłą?

— Maryniu, jak było, tak było; wiem, że męża mego kochałam i wtedy nad wyraz, nad życie. Czy pojmujesz, że wdychałam mimo to, jak do najprzedziwniejszej rozkoszy, aby ktoś, dajmy na to ten Henryk, którego wzrok mię drażnił, klęczałznowu przedemną...

— Lecz jakżeście się zesзли?

— Ja sama przyszedłam do niego.  
— Jakżeż to się stało?  
— Widzę, jak córka gospodyni zbliża się do niego, mówi mu coś ze słodkim uśmiechem, a on niby sztywnym, obojętnym ruchem bierze jej kar

necik i coś pisze. Czyni to na mnie wrażenie, jakby dziecko udawało dorosłego; miałam ochotę wytłuc go, drapać ze złości, a zarazem łaskotało mię coś, aby pójść do niego, uie zważając na nic, zagadnąć go pierwsza. Zrobiłam to.

— Cóż on?

— Gdybyś go była widziała w tej chwili! Dawny Henryk; mały, zażenowany, czerwony, kłaniał się z kilka razy, nie wiedział, gdzie ma patrzeć, co mówić; rok wychowania w Wiedniu, angielska mina, wszystko wywietrzało mu, zdaje się, w tej jednej chwili. A ja miałam przyjemne uczucie, jakbym męczyła jakie pulchne, tuczony zwierzątko.

— O czym mówiliście ze sobą?

— Czy ja wiem! Nie wydawało mi to się rozmową, ale snem, jak cały wieczór, potem aż do końca. Czułam tylko przez cały czas, że chęć moja szalona nie opuszcza mnie ani chwili; mówiłam z nim o różnych, niemożliwie nudnych rzeczach. On myślał pewnie, że uśmiecham się do niego... ja śmiałam się do mojej myśli. Gdybym chciała, mówiłam mu w duszy, zaprowadziłabym cię tak nieznacznie, słowem, słówkiem, wzrokiem i wolą, jak na sznurku, dokąd tylko zechcę...

— Ale to zachowanie się twoje musiało mu zawrócić głowę, naturalnie jeśli już sam twój widok...

— Wiedziałam o tem. Ale musiałam do końca. Wiem teraz, że my kobiety działamy często niebezpiecznie, bo ślepo, jak żywioly.

— Jakże to się skończyło tego wieczora?

— Nic wiem... Było mi tylko zimno we wszystkich nerwach, gdy siedziałam rankiem obok męża w powozie. Bolała mię po raz pierwszy obecność męża; byłam niby upokorzoną wszystkim: rankiem, mdłym wspomnieniem wieczoru, rzeczywistością dnia. Myślałam o jakimś sza rem jutrze, i czułam się znowu małą i słabą.

— Więc tak szybko nastąpiła reakcja?

— Na drugi dzień zbudziłam się późno po południu... i wiesz z jaką myślą? o Henryku.

— Doro, ależ to... to miłość w najzwyczajniejszej formie!

— Nie! to nie była miłość.

— Cóż więc? Z myślą o nim zasnęłaś pewnie, myśl o nim witała cię na dzień drugi. Ale coż to, jeśli nie namiętność, która rozbudziła się naraz w tobie?

— Namiętność?... bć może, ale jaka? osadz sama. To uczucie wtedy... Niby głód zwodniczy, niby pragnienie...

— Miłość Doro, miłość! Dlaczego ty mi nie ufasz dziecko? To przecie...

— Słuchaj. Moje myśli były naprawdę dziwnego rodzaju; wyobrażałam sobie chwilę, że oszukuję męża z Henrykiem i walcząc ze wstrętem, wykończyłam sobie wszystkie szczegóły tego widziadła w głowie. Ale naraz spostrzegłam się, że

to chęć wczorajsza tak mie męczy. Biłam się z rojem chaotycznych myśli, które rozrywały mi głowę Potem pytałam się z dawnym spokojem, tak, jakby ty teraz: miłość... miłość? Odpowiadałam sobie ze

wstrętem: nie, a skrzywienie pióra w pokoju mego męża powtarzało mi ciągle to samo pytanie.

— To skrzywienie pióra musiało ci być sumieniem?

— Nie poczuwałam się do żadnej winy. Myśl, że mój mąż pisze teraz, denerwowała mnie tylko. Otulając się ciepłem rozgrzanego niem ciałem łóżka, chroniłam się od jakiegoś codziennego chłodu, który mię czeka, gdy tylko wstanę i będę znowu biedną, zahukaną Dorą. Naraz, nie wiem dlaczego, wstałam z łóżka. Światło z drugiego pokoju wołało mię. Zarzuciwszy szlafrok na siebie, weszłam do niego.

— Aby się skryć przed sobą samą?

— Aby... Męczyła mię poprostu wątpliwość, męczyło poprostu niezaspokojenie, które czułam w sobie, a że po spokój, po odpowiedź zwykłam się była zawsze udawać do mego męża, więc nie wiedząc sama, co czynię, mimowoli, sennie...

— Ale czyż nie czułaś, że on właśnie, on jedyny nie mógł ci tu być doradcą, że on...

— Nie czułam niczego. Poszłam tylko do niego. On głaszcze mi rozplatanе włosy i pyta, czym się wyspała? Kiwam głową i czytam tytuł na jego robocie: Wędrowki ludów. Potem ziewam i czuję naraz ochotę do mówienia. —

Opowiadam mu historyjkę o Rózi Lisińskiej.

— Co to za Lisińska?

— Nie wiem sama.

— Jakto? pyta Marynia.

— Czytałam to nazwisko gdzieś w jakiejś gazecie, czy powieści — nie wiem. Opowiadam mu okropną rzecz o mojej koleżance Lisińskiej...

T. Czaszka. Dora.

— Cóż ci wpadło do głowy ?

— Opowiadam mu, jak rok temu, poszła za swego Lisińskiego — do a potem, Jedwie w rok po ślubie, zdradziła go. Słyszałam to niby wczoraj ua balu. Zdradziła go z jakimś oficerem, uciekła.

— Po cóż to wszystko na miłość Boską. Jak mogłaś mieć tyle odwagi, aby tak igrać z niebezpieczeństwem! Jedno spojrzenie, jedno nierozważne słowo, a mógł cię odgadnąć, mógł...

— A gdy skończyłam wszystko, spytałam go, czy to nie okropne ? co on o takiej kobiecie myśli ?

— Ale po cóż to, po cóż?

— Ach! — Jedni przykładają plastry na ranę, drudzy szarpią miejsce, gdzie boli. — Dziecko, czy nie odgadniesz, że ja chciałam, by on o tem mówił? Zabłąkałam się niby w jakąś obcą dla mnie krainę i potrzebowałam tam towarzystwa, aby nie zginąć z trwogi. Opierałam się zawsze na nim, a teraz potrzebowałam go więcej, niż kiedykolwiek ; musiał mi towarzyszyć i w myślach. pytałam go więc, co może usprawiedliwić taką kobietę, która zdradza swego męża?

— A on?

— Przewracał spokojnie w słowniku i powiedział, że nie wie. Szarpie go więc za rękaw, nie daję mu spokoju. Co warta taka kobieta? Jak mogła tak zgrzeszyć wobec tego, który ją kochał. Wpadam w zapał, ciskam gromy, słowem — nie daję mu spokoju... Gryzie pióro nerwowo; przeszkadzam mu najwidoczniej. Wreszcie odkłada pióro i zaczyna mówić. Widzę, że go podrażniła;

jeśli się teraz rozgada, będzie mówił, jak na katedrze.

— Cóż mówił?

— Z początku cieszyłam się tylko tem, że wogóle mówił; słów jego nie rozumiałam. W pokoju zrobiło się ciepło i swojsko, patrzyłam mu w oczy. Ogień w kominku, on przy pracy, a ja przy uim... Mówił o tem, co mię bolało, więc byłam teraz z nim razem. Zauważyłam naraz, że głos ma bardzo miły, że niektóre wyrazy wymawia jakoś szczególnie. A gdy zaczęłam wsłuchiwać się w słowa, uderzył mnie niespodziewanie ich sens... Gdym zrozumiała przeszedł mię dreszcz, chcę mi się śmiać... Wiesz on...

— On?...

— On — bronił jej... tej...

— Która nie istniała wcale?...

— Tak, tej, która nie istniała, ale — bronił kobiety, która zdradziła męża. Powiedz mi, czy to nie umierać ze śmiechu? Czy on wie — mówię sobie w duszy — co ja myślałam przed chwilą w łóżku? Nie, nie wie i nie może wiedzieć — to właśnie tak cudownie śmieszne, że on tego nie może wiedzieć, a wszystkie mądrości...

— Tem zdaniem swoim wypowiedział sąd sam sobie. Musiałaś słyszeć ze słów jego, że jesteś wolną, jeśli kochasz innego! Tem zdaniem...

— Ja słyszałam z tego coś innego, moja droga. Słyszałam z tego — zgadnij Maryniu!

— Nie wiem.

— Słyszałam z tego: jesteś silną! Jesteś moją, godną mnie współzawodniczką! Zdawało mi się,

że rosnę przy nim, a on maleje. I byłam mu wdzięczną za to; czułam, że teraz dopiero patrzę na niego, jak zona na męża.

— Tego nie pojmuję zupełnie...

— Nie pojmujesz? Czy ty to możesz pojąć teraz moja biedna? Gdybyś była wtedy na mojem miejscu... Widzisz, ja czułam wtedy, że pojmuję jasno cały sens życia mego, jako kobiety. Dotychczas czułam się nieszczęśliwą. Dlaczego? Bo czułam się słabą, bo wydawało mi się, że on niema prawie czego kochać, bo on jest wszystkim, a ja niczem. W tej chwili dopiero poznałam siłę, siłę — kobiety.

— A w czemże ta nasza siła?

— A czemże silne jest życie samo? Czy oni, ze swoim rozumem, że swojemi książkami pojmą kiedy to życie? Ono igra z nimi i ich logiką, tak, jak serce nasze, jak turkot z ulicy, zdawało się, że się natrząsa z mego uczonego męża i jego szlafroka, kiedy on bronił kobiety, która, idąc za popędem serca, opuszcza męża.

— Więc myślisz, że jesteśmy silnemi, bo nas nie znają?

— Tak, jak my nie znamy często siebie. Nie mogą wiedzieć, co się dzieje w naszym sercu. Walczą z nami rozumem, a my walczymy z nimi naszym rozumem: sercem. Owego wieczora po balu ja czułam przewagę nad nim, jakiej on nademną mieć nie mógł nigdy. Bo on, czując się silniejszym, okazywał mi to zawsze. A ja — ja, gdym odkryła w sobie władzę, rzuciłam mu się

na szyję. On myślał, że przyznaję mu słusność, a to była tylko radość szalona, radość: „jestem silną, silniejszą tem więcej, że mocy mojej nie widzisz!”

— Jak się nad tem głębiej pomyśli, to to jest cudowne!

— Pewnie, droga moja, chwile, jak ten dzień, który był właściwie pierwszym dniem naszego małżeństwa, powtarzać się teraz będą w mem życiu. Tak, jak wtedy milczałam, tak milczeć będę potem. Cicho krzątać się będę koło niego, cicho słuchać jego rozkazów i mądrości. I będę go kochać. Będę go kochać bez cierpienia, bo będę ko chać w nim nietylko jego, ale i swoją własną siłę. A teraz powiedz mi jeszcze, dziecko... W końcu mego listu do ciebie przed laty, zastanawiałam się, może przypominasz sobie, na co los zesłał mi tego Henryka w drogę...

Dzwonek z przedpokoju przerwał naraz poufałe zwierzenia przyjaciółek. Marynia ruszyła się niespokojnie.

Zostańże — zatrzymuje ją Dora — to tylko on. Ale pamiętaj: wszystko, com ci mówiła...

— Wiem, to naturalnie tajemnica.

— Tak, jak kobiecy sekret toaletowy. Drzwi się otwarły.

— Mój mąż — mówiła po chwili Dora — przedstawiając wchodzącego.

— Io voglio avere piena liberia.

Mówiąc to, nie zwracała się do nikogo. Siedziała w powozie i patrzyła na dwa cylindry lokajów, siedzących na koźle. Była najpiękniejszą kobietą na świecie. Wszyscy o tem wiedzieli. W każdym razie miała niezmiernie długie rękawiczki na czternaście guzików. I twarz bardzo gładką jak z różowego wosku. Zamiast palców miała świecące pierścionki, które całował jeden z czterech panów stojących koło powozu.

Ale nie mówiła do nikogo tylko tak przed siebie.

— Io voglio avere plena liberia.

Dzieci stojące przy balustradzie patrzyły na nią i powtarzały:

— Ella vuol avere...

Dzieci były brudne. Nie wdawali się z niemi, bo ciotka zakazała. Było nas trzech. Ja, mój brat Lolo i jeszcze jeden chłopiec, któremu nie wolno było biegać, bo był słaby. Ten obcy chłopiec był już w Paryżu i na wyspie Wight i w Biarritz i w Skandynawii.

— Co znaczy „liberta ?” — spytałem go, bo umiał po włosku. \_\_\_\_



— Wolność — odpowiedział cicho i uśmiechnął się ze strachem.

Był bardzo głupi.

Ja wiem, co powiedziała najpiękniejsza kobieta. Ją kochają wszyscy, ale ona nie zwraca na nikogo uwagi. Na czterech panów nawet nie patrzy. Chce siedzieć sama w swoim powozie i jechać, dokąd jej się podoba. Była całkiem podobna do panny w powieści Czarodziejka, którą właśnie czytałem.

Ogarnęła mnie wielka dla niej miłość. A kiedy odjechała, patrzyłem się za nią długo i z wielkim żalem. Postanowiłem kochać ją więcej, niż inni i przez całe życie pozostać jej wiernym. Na razie zaproponowałem jednak memu bratu i temu obcemu chłopcu, żeby bawić się w bataille des fleurs. Krzyczeliśmy głośno, biegaliśmy po całym parku i rzucaliśmy kwiaty na ludzi. Ten obcy, słaby chłopiec tak się zmęczył, że zaczął płakać i poszedł do swoich rodziców.

Bardzo nas to ucieszyło. Przyłączyła się do nas biało ubrana dziewczynka, która nie umiała inaczej jak po włosku i tylko dobrze biegła. Znaliśmy ją z Nizy. Ale nagie pocałowała mię w usta i musiałem ją wybić. Nazywała się Ludovica.

Biegaliśmy dalej po ogrodzie i nad morzem i rzucaliśmy na ludzi kwiaty, które znaleźliśmy na ziemi. Przystąpił do nas jakiś wysoki pan w pomarańczowym szalu i gniewał się, że robimy kurz. Na to wytłómaczył mu Lolo, że robimy bataille des fleurs. Ale wysoki pan w szalu poszedł skarżyć do mamy. Śmie

liśmy się bardzo, bo przecież nasza mama już nie żyje.

Tego samego dnia miałem jeszcze jedno spotkanie z tym samym panem. Po table d'hôte wszyscy poszli na górę spać a ja wziąłem sobie książkę p. t. Czarodziejka i poszedłem nad morze czytać. Tam, gdzie mi nie wolno samemu chodzić, bo można wpaść do wody. Ale to nie była taka czarodziejka jak w bajce Trzy życzenia, ale córka hrabiego, w której się wszyscy kochali.

Naraz przyszedł ten pan w szalu, spojrzął na moją książkę i spytał, kto mi to pozwolił czytać. Powiedziałem, że ciocia. Było mi potem bardzo nieprzyjemnie, bo ten pan nie poszedł sobie, tylko siadł przy mnie na ławce i ciągle na mnie spoglądał.

Za chwilę nadszedł drugi Polak, który mieszkał w „Pension San Remo”, tak jak my i przywitał się z panem w szalu. Mówili coś po cichu ze sobą, a ja dalej czytałem.

Z czarodziejką zapoznał się właśnie syn fabrykanta w Reims. Był bardzo bogaty. Miał tyle pieniędzy, że mógłby kupić czarodziejce powóz z lokajami w liberyi. Taki sam, jaki miała najpiękniejsza kobieta.

— Hej, mały, co ty czytasz? — spytał się pan z naszej pensyi.

— Tak — wmieszał się pan w szalu — proszę popatrzeć, co ten młodzieniec czyta.

Udawałem, że nie słyszę i czerwieniłem się coraz więcej.

— Ile masz lat?

— Dziewięć.

Mówili znowu po cichu. Ale słyszałem, jak Polak z naszej pensyi opowiadał, że jestem sierotą. Bardzo się na nich złościłem, że wygadują na mnie takie głupstwa.

— Czem był twój ojciec? — spytał się pan w szalu. Namyslałem się przez chwilę, a potem odpowiedziałem, że fabrykantem w Reims.

Ucieszyłem się bardzo, że mi to wpadło do głowy. Dodałem nawet, że jestem ogromnie bogaty. Ale zaraz potem wstałem i prędko poszedłem.

Wieczór była iluminacya w mieście, chociaż karnawał właściwie się skończył. Ciotka chciała pójść po kolacyi na „Promenadę des Anglais”, ale Lolo i ja zaczęliśmy płakać i ciotka poszła z nami do miasta. Chodziło się po ulicy jak po pokoju. Było tak jasno, jak w teatrze. Szło się pod dachem z różnych kwiatów, w których były światła. Zdawało się nawet, że te kwiaty pachną. Były duże lilie i powój niebieski i tulipany. Długie łańcuchy wiszące nad ulicą, kolorowe i jasne. Ciotka mówiła, że deszcz pada. Ale się nie czuło. Tak, jak na krytej ulicy w Medyolanie. I wozy nie jechały, tylko ludzie spacerowali środkiem ulicy. Szła najpiękniejsza kobieta.

— Widzisz? — powiedziałem do Lola.

Ale on patrzył się na muzykantów, przebranych w iakieś dziwne stroje, żółte i czerwone.

— To banda cittadina.

W oknach wszędzie były światła. Najpiękniejszej kobiecie kłaniali się Anglicy i muzykanci i Włoszki w czarnych szalach. Miała wysoki kapelusz z piórami.

Westchnąłem i bolało mię serce.

— Ja ją kocham — powiedziałem do Lola. Popatrzyłem, czy Lolo się nie śmieje. Ale on się tylko zdziwił i nic nie mówił.

— Ostatni czas, żebyście zaczęli się uczyć — rzekła naraz ciotka markotnym głosem.

Tak nagle, ni stąd ni z owąd. Pomimo, że byliśmy na iluminacyi, że ludzie krzyczeli i że grała muzyka.

— Życie tutaj jak panowie i nic nie robicie — powtórzyła głośniejsze i była coraz smutniejsza.

Wiedziałem, że już nic nie pomoże. Jak ciotka raz zacznie, mówi potem bez końca same nieprzyjemne rzeczy. Nie patrzyła się ani na świecące kwiaty, ani na ludzi w oknach. I nie słuchała muzyki. Tylko kaszłała i była smutna.

Poszliśmy do cukierni na lody, ale i to nawet już mnie nie cieszyło. Bo ciotka mówiła ciągle, że używamy jak panowie i że trzeba nareszcie wyjechać z tego San Remo.

Banda cittadina grała „Vorrei morire”, więc wszyscy ludzie byli cicho i tylko ciotka nie. Było mi bardzo niemiło.

Ale Lolo nie słuchał ciotki, tylko patrzył się na ulicę i jadł. Lolo jest bardzo roztargniony człowiek.

Nie uważał nawet, jak spadały kawałki poziomki wych lodów na jego białe spodnie.

Ciotka szarpnęła go naraz za rękaw, tak, że się przestraszył. Była bardzo rozdrażniona, bo muzyka przeszkadzała jej w kaszlu.

Słuchajcie — krzyknęła—jak do was mówię! Co to znaczy? Wam się zdaje, że ja będę wiecznie żyła i że będzie wam zawsze tak dobrze, jak teraz, A ja jestem chora.

Rozglądała się naokoło niespokojnie, tak jakby dopiero w tej chwili zachorowała i robiło się jej coraz gorzej.

Było strasznie dużo ludzi w cukierni i dym, i okropne gorąco.

— Powinniście już dawno chodzić do szkoły... Ten cały rok we Włoszech jest stracony... Gdyby to wasz ojciec wiedział... Ciągle o tem myślę i martwię się... Ale, co ja temu winna? Wzięłam wam książki do nauki i kajety i wszystko co potrzeba. Ale jakże ja sama dam sobie z wami radę? Adaś czyta powieści... A ty, Lolu...

Teraz dopiero spostrzegła, że Lolo ma poplamione spodnie. Umaczała serwetę w wodzie i wzięła się z taką pasją do wycierania plam, że Lolo zaczął kręcić ustami, co znaczyło, że zaraz będzie beczał.

Teraz wiedziałam na pewno, że już cała iluminacja zepsuta. A ciocia znowu mówiła:

— Lada chwila może mi się coś stać. A wtedy co zrobicie? Musimy się zastanowić. Czy wy wiecie.

co to znaczy zarabiać na chleb? Co? Nic nie wiecie. Lolek, czy ty już kiedyś nad tem myślałeś, co z ciebie będzie?

— On chce być marynarzem — powiedziałem prędko za Lola, żeby ciocię uspokoić.

— Marynarzem... Naturalnie A na to nie trzeba się uczyć? Patrzcie gol... marynarzem! A ty? Czem chcesz być?

— Astronomem.

Nie wiem, skąd mi to przyszło na myśl. Lolo włożył palce do ust i spojrzał na mnie z szacunkiem.

— Smarkacze! — gniewała się ciocia i zaczęła znowu kaszleć.

A ja przypominałem sobie, że ziemia kręci się naokoło słońca, i Kopernika, o którym słyszałem już wiele pochlebnych rzeczy.

Ciotka zawołała kelnera, żeby zapłacić za lody i westchnęła jak po płaczu.

Na ulicy Lolo uśmiechnął się chytrze i powiedział! do mnie cicho:

— Czekaj, czekaj... Jak mnie nie będziesz. słuchał, to powiem cioci, coś przedtem powiedział.

— Co?

— To, że kochasz najpiękniejszą kobietę. Ścisnąłem go za rękę, tak, że zaczął krzyczeć. Alei potem znowu się śmiał i groził, że powie.

Na szczęście spotkaliśmy doktora cioci. Ucieszył się bardzo, że nas widzi, bo właśnie był w Pension San Remo, żeby nas zaprosić do siebie.

— U mojej żony jest teraz cała Polonia — mówił prędko i dał mnie i Lolowi szcztka w nos — bardzo panią proszę. Na placu będą ognie sztuczne, a z naszego okna zobaczymy wszystko. Przyszła pani senatorowa z pannami, jest pan Łodowski...

Ciotka się uśmiechała, tak, jakby ją bolała głowa. Ale powiedziała, że owszem.

— Jakże humorek? — spytał doktor.

Lolo mnie uszczypnął i zaczęliśmy się śmiać. Bo doktor mówił zawsze "jakże humorek?"

— Nieszczęśliwy — westchnęła ciocia.

— Kaszel?

— Dzisiaj więcej.

— Przejdzie. Jak minie scirocco.

Już nieraz rozmawialiśmy o tem z Lolem, co może być scirocco. Ja mówiłem, że to jest taki długi, czarny człowiek, całkiem błady, podobny do pana Łodowskiego. W karnawale jechał na czele pochodu na białym koniu. Widziałem go doskonale. Mieszkał w piwnicy, w naszym hotelu. Czasem, gdy było gorąco, chodził w nocy po korytarzach. Otwierał drzwi i zamykał. I cameriere mówiła, że nie może spać. Wszystkim paniom rozwijał włosy i chodziły nie zaczesane. Skradał się na palcach do jadalni i lizał migdałowe ciasta; były potem słone i miękkie. Czasem zapominał się i gwizdał całkiem głośno, choć była noc. Wtedy można go było złapać, ale nikt go nie złapał. A czasem pływał po morzu w białej łódce z żółtymi żaglami. całe morze zaczynało się burzyć. A z je

dney fali na drugą skakały białe kotki i okręty się kołysały. Nieraz był oprócz tego deszcz i ciotka do stawała krwotoku. Balkon u doktora był oświetlony czerwonymi lam pionami. Na balkonie siedziały jakieś panie, z którymi miałem się przywitać, ale nie chciałem. Jedna pani była ładna, ale smutna. Druga była pewnie jej matką, bo miała czarną suknię i siwe włosy. Opowiadał im coś pan Łodowski, ten co wyglądał, jak scirocco.

Inni byli w salonie. Stary pan i stara panna i ja kaś pani w czerwonej sukni i moja ciotka.

— Co opowiada scirocco? — spytałem się Lola. Ale Lolo był znowu roztargniony, bo chciał dostać mandarynek, które leżały na stole.

Poszliśmy do okna. Czasem przychodził doktor, żeby zobaczyć, czy nie spadliśmy na ulicę.

Muzyka grała Donna é mobile. Domy były na dole czerwone z lamp, ale na górze białe. Myślałem na wet, że na dachach jest śnieg. Ale to był księżyc.

Na placu czekali ludzie na sztuczne ognie. Wło szki tak głośno mówiły i śmiały się, jakby były z na mi w pokoju.

Niektóre trzymały się pod rękę. Wszystkie miały piękne czarne włosy i kwiaty we włosach.

Wszedł ktoś do salonu, ale nie wiem kto. i

— Nie oglądaj się — szepnąłem do Lola — bo będzie się trzeba przywitać.

Wychyliłem się przez okno, żeby słyszeć, co opowiada Łodowski paniom na balkonie. Scirocco opowiadał:

— Cafe życie sam, proszę łaskawej pani... Sam i na obczyźnie... Całe życie w hotelu... Zapomniałem już, że kiedyś miałem dom, matkę. Ja wszędzie marzną... Okropnie mi zimno...

— To dlaczego siedzi na balkonie — zdziwił się Lolo.

Potem mówiła coś ta pani w czarnej sukni, a potem ta ładna panna.

— Głośniej, głośniej — złościłem się, bo byłem zawsze strasznie ciekawy, co mówią z sobą ludzie.

Ale naraz w salonie wszyscy poczęli się śmiać. A kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że za mną stoi ten pan, który był na promenadzie w pomarańczowym szalu i ze mną siedział na ławce, nad morzem.

— Jak się masz Adasiu.

Wiedział już, że nazywam się Adaś. Śmiał się a ja czułem, że czeka mnie znowu coś nieprzyjemnego.

Wziął mię za rękę i zaprowadził do dużego stołu, gdzie wszyscy siedzieli.

— Chodź kochanku... Powiedz nam, gdzie był twój ojciec fabrykantem? W Reims? Czem był twój ojciec?

— Co za fantazya! — powiedziała stara panna na kanapie.

Zawstydziłem się i odwróciłem głowę. A ciotka mówiła:

— Ot głupi, głupi...

I śmiała się. Wszyscy się śmieli. Tylko pani w czerwonej sukni wzięła mię za rękę. I pocałowała mię.

Zdaje mi się, że pachnęła mandarynkami. Dosyć, że było mi jakoś dziwnie. Wszystko pachnęło wtedy mandarynkami. Nie patrzyłem się na nikogo i wróciłem prędko do okna.

— Czy już były fajerwerki? — spytałam Lola.

Jeszcze nie było. Pani w czerwonej sukni przyniosła nam ciasta z kremem, winogrona i confetti, A doktor dał nam wina.

— Tylko się nie upijcie — upominała ciotka. Ale myśmy się nie upili. Byłem w tak dobrym

humorze, że nikogo się nie bałem. Kiedy przyszedł do mnie ten pan, którego nie lubię i spytał, czem był mój ojciec, już się nie wstydziłem, tylko odpowiedziałem:

— Uczonym.

— A widzisz! Jakim uczonym?

— Pisał książki.

— Jakie?

— O roślinach.

— Widzisz. A czytałeś już książki twego ojca?

— Nie.

— Ale „Czarodziejkę” czytałeś!

Kiedy się odwrócił, wystawiłem mu język. Wogóle robiłem przez cały wieczór różne dowcipy. Wszyscy okropnie się śmieli.

Na dole palili sztuczne ognie. Nawet strzelali do gwiazd. Widziałem wyraźnie, jak ktoś strzelił do góry i trafił ogromną gwiazdę na niebie, która była wzdęta, jak melon. Gwiazda pękła z wielkim hukiem i wyle

ciało niej dużo kolorowych motyli. Z tego zaczęła mi się kręcić głowa. Doktor trzymał mię za nogę. A Lolo patrzył się na mnie i krzychał: — Adaś się upił!

II.

Pamiętałem ten jeden dzień i wieczór.

Ale Rudemu opowiadałem wogóle o Rivierze. Nawet o tem, czego nie pamiętałem. O jeździe statkiem, o grze w Monte Carlo, o ti aux pigeons. To, co się opowiada.

I było mi jasno przed oczami podczas mówienia. Widziałem niebieskie morze. A kiedy skończyłem, wszystko nagle zgasło.

... Pomyślałem : Teraz jestem w Wiedniu... o którym nic nie wiem i zostanę tu długo, długo...

— Kiedy tam byłeś? — spytał Rudy i westchnął nie wiedzieć dlaczego.

— Kiedy? Przed dwoma... nie... przed trzema laty...

— Przed trzema laty?

— Tak, zdaje się... Wiem, że była Wielkanoc, kiedy wróciliśmy do domu.

— Uważaj, wielbłąd się patrzy. Weź książkę i udawaj, że się uczysz.

— Była Wielkanoc...

— Uważaj do stu dyabłów, kiedy mówię, bo wielbłąd da ci także silentium.

Kto miał silentium, ten musiał stać w ogrodzie pod drzewem i nie wolno mu było z nikim mówić.

ani biegać ani bawić się.

Rudy stał zawsze pod drzewem. Mówił sam, że to już jego przeznaczenie. Był moim najlepszym przyjacielem. Nie widziałem nigdy w życiu tak dużego człowieka. Z gimnastyki miał „celująco”, chociaż z innych przedmiotów tylko „ledwie dostatecznie”.

Wielbłąd bardzo go nie lubił. Wielbłąd był najgorszym prefektem w zakładzie. Nie widziałem nigdy tak złego człowieka.

W ogrodzie było pełno kasztanów. Najmniejsi chłopcy robili z kasztanów łańcuchy. Tylko jeden, całkiem mały, siedział na ławce i płakał, bo mu było tęskno do rodziców.

Rudy się rozniewał.

— Dajże temu małemu po nosie, żeby nie beczał! — szepnął do mnie — widzisz przecie, że ja nie mogę, bo muszę stać pod drzewem.

Ale mnie się jakoś nie chciało.

— Ośle! — westchnął Rudy i posmutniał.

A po chwili zaczął mnie znowu wypytywać o Riviere.

— Z kim tam byłeś?

— Z ciotką i z bratem.

— Czy z tą ciotką, która przychodzi do ciebie w niedzielę?

— Nie, to ciocia Kazia. A ta, co była ze mną na Rivierze, to ciocia Teresa.

Nadszedł wielbłąd i dał mi także silentium za to, że mówiłem z Rudym.

Kazał mi stanąć na końcu ogrodu, pod murem.

Nie mogłem już z nikim mówić, bo było za daleko! Za murem była ulica. Słyszało się, jak wozy jadą — ale z tego niema pociechy. Myślało się o tem, jak raz jeden chłopiec przeskoczył przez mur i już nigdy nie wrócił. Szczęśliwy; wyrzucili go za karę z zakładu. Gdyby nie ciotka, postarałbym się także, żeby mię wyrzucili.

Patrzałem ze złością na kasztany. Kiedy się stało pod murem, nie widziało się nic oprócz kasztanów. Tak jakby nie było nic innego na świecie. Stały jak żołnierze, w długich, równych rzędach. I nie ruszały liśćmi, nie szumiały. Jakby wszystkie miały silentium.

Wuj Adam mówił, że to najpiękniejszy ogród w całym Wiedniu i że powinienem Panu Bogu dziękować, bo mam dobre powietrze. Ale mnie nic nie zależy na dobrem powietrzu. Chciałbym trochę pochodzić, tam za murem, po ulicy... Do wakacyj jest dwieście osmdziesiąt trzy dni... Żeby tak można zawsze mieszkać w Kuszynie, u ciotki... Wielbłąd stanął przedemną.

— Trzeba ci było? Nie wolałbyś biegać? Wzruszyłem ramionami na znak, że mi nie trzeba było i że wolałbym biegać.

— A widzisz...

Uśmiechał się przykro i patrzył na moje bućki, tak jakby jego własne były piękniejsze.

— Jak stoisz?

Stałem prosto. Widziałem jak Rudy wykrzywił mi się z daleka.

— Masz dwudziestu kolegów...

— Dziewiętnastu — szepnąłem nieśmiało.

— Cicho, ja do ciebie mówię! Masz dwudziestu kolegów i wszyscy uczą się lepiej od Rudego a ty mówisz najwięcej z Rudym... Dlaczego?

Nie wiedziałem dlaczego. Ale na szczęście zaczęli dzwonić.

Wielbłąd klasnął w ręce. I słyhać było z daleka, jak klaskali inni prefekci. Na trawnikach chłopcy jeszcze biegali i krzyczeli. Ale powoli wszystko cichło. Jeszcze gdzieś wysoko zabłysła biała piłka. Jeszcze gdzieś kończyli grę i słyhać było upomnienia prefektów i znowu klaskanie. Ale już cichło.

Naszych dwudziestu stało już przy wielbłądzie. A potem z tej gromadki zrobiła się długa gąsienica. Ustawiliśmy się parami. Gąsienica zaczęła powoli pełznąć ku czarnej bramie zakładu. Z dalszych i bliższych placów i trawników zaczęły się ruszać gąsienice.

W ogrodzie nikt już nie krzyczał. I teraz dopiero jęły się ruszać olbrzymie kasztany i trząść głowami i szeptać.

Szliśmy przez długie, zimne korytarze.

— Co mamy dzisiaj? — mruknął Rudy, który szedł ze mną w jednej parze.

— Matematykę.

Nie widziało się nic, po słońcu w ogrodzie. Jak w piwnicy. Wszyscy mówili głośno i jednocześnie, i szli stukając butami po gładkich kamieniach.

Najpierw zapach z kuchni, potem karbol, potem gaz. I lakier, jak zawsze po wakacjach, i świeżo pobielone ściany. Na skrzętach świeciły się lampy.

Szło się przez trzy duże dziedzińce. A potem przez wielką salę z historycznym obrazem i z bardzo ślizką posadzką. Okna sali były otwarte i słyszało się jak zegar bije raz... dwa... trzy...

A potem znowu przez biały korytarz, gdzie były pokoje muzyczne. Któs śpiewał: a!... ai... nauczyciel przerywał i grał jednym palcem to samo „a!” na fortepianie. I znowu śpiew...

A potem zapach koni... Stajnie. Przypomnił mi się Kuszyn. Widziałem naraz, jak babka i ciotka stoją na ganku i czekają na krowy wracające z pastwiska. Słyszałem nawet dzwonki krów... A potem szturchnął mię Rudy łokciem i szedłem znowu przez długi korytarz... Byłem smutny.

W szkole siedziałem koło czarnego Węgra. Wszyscy hałasowali, ale ja siedziałem spokojnie, bo byłem smutny. Wszedł nauczyciel Kotek i zrobiło się cicho.

Najpierw czekałem, co będzie. Czy Kotek nie zacznie pytać. Ale pokazało się, że nie. Więc rozsiadłem się wygodnie na ławce, jak na miękkich poduszkach w teatrze. I zacząłem przypatrywać się Kotkowi, spokojnie, przyjaźnie i uważnie. Stał przy tablicy w długim surducie, z kredą w ręku. Włosy miał aż do ramion jak kobieta i był całkiem blady. Musiał być chory, nie widziałem tak bladego człowieka.

Ale uśmiechał się wesoło. Przez chwilę nic nie mówił, tylko się uśmiechał.

Potem zaczął pisać liczby na tablicy, jakby nic.

— Dlaczego on się śmiał? — spytałem ciekawie Węgra.

— To wszystko jedno — rzekł Węgier i niegrzecznie się odwrócił.

Dopiero teraz Kotek zaczął mówić. Dziwny człowiek. Pomyślałem sobie, że jak będę w ósmej klasie albo jeszcze mądrzejszy, to się dowiem dlaczego Kotek nosi długie włosy, dlaczego jest blady i z czego się tak tajemniczo uśmiecha. Pomyślałem, że chciałbym być takim lekarzem albo księdzem, który wie wszystko, co ktoś myśli. Będę się tak długo uczył z różnych książek, aż się tej sztuki nauczę. Chciałbym wiedzieć, co ludzie myślą.

Kotek pisał szybko na tablicy. Sypały mu się z ręki duże, proste cyfry, linie, znaki mnożenia... Jak ogromne, białe owady oblażyły czarną płytę i coraz ich było więcej i zdawało się, że nie będzie dla nich miejsca i spadną na ziemię, rozleżą się po całej podłodze, po ławkach, zaczną się pięć po ścianach, przyplyną do mnie i wysypią się przez okno... A Kotek ciągle mówił, prędeziej mówił niż pisał i czuło się, że ma dużo więcej liczb w głowie, niż może napisać.

...Ale nie wiedziałem, jakie zadanie chciał rozwiązać na tablicy. To jego pisanie było jak sen i tak, jakby miało jakieś tajemne, osobliwe znaczenie. Bo

czasem odwracał się do klasy, uśmiechał się i znacząco mrugał oczyma.



Zdawało mi się, że chce powiedzieć: Tu nie chodzi o cyfry, o te cyfry, które piszę... Nie potrzebujecie rozumieć liczb... tylko na mnie patrzcie, na moje oczy, na mój uśmiech... zaraz go usłuchałem.

Zrobiła się gęsta mgła między mną a tablicą. Liczby stały się niewyraźne, jak drobne, blade muszki, głos Kotka dźwięczał cicho i delikatnie jak przez zasłonę. Aż wszystko, ten głos i te białe znaczki na czarnym tle i zgrzyt kredy i szept uczniów, na których nikt nie zważał, zmieszało się w jeden szum, zlało się w jeden prąd spokojnie, cicho płynący.

...Siedziałem nad morzem. W południe gorące. A po zwierciadle wody skakały szybko białe zygzaki. Słoneczne szpilki, iskrzące się, żywe. Woda była czysta i jak szkło gładka. Ale bliżej, niedaleko brzegu wyciągały się języki z piany i znowu się chowały i jako fale wracały. Widziałem wyraźnie. Oczy moje wyszukały sobie, umiłowały jedną falę i śledziły uważnie jej losu koleje. Widziałem jak mała istotka żywi się wodą i rośnie, rośnie... szumi coraz głośniej i coraz zuchwalej się piętrzy... i nagle spada jej głowa z karku i biała krew leje się obficie, fala pada jak długa na piasek. I znowu zbliża się język morskiej śliny i znowu rośnie i znowu umiera... A słońce piecze... Węgiel mię trącił.

— Nie śpij, Kotek się patrzy...

Kotek się patrzył, ale nie na mnie. Nie pisał już na tablicy. Stał przed katedrą z rękami założonemi na piersiach i milczał. Czekałem kilka minut. Rozglądałem się niespokojnie po klasie. Wszyscy byli pochyleni nad kajetami i czymś mocno zajęci. Węgier także rachował szybko ołówkiem...

— Co robisz? — spytałem po cicho.

— To, co wszyscy — odpowiedział niecierpliwie. Przestraszyłem się, bo nie wiedziałem co wszyscy robią.

Kotek nagle spytał:

— Cóż? Skończyłeś?

Patrzył na mnie. Więc zaczerwieniłem się strasznie...

— A więc pisz, pisz! — krzyknął prawie z gniewem. Skurczyłem się, schyliłem głowę. Tak, jakby mię Kotek uderzył. Wziąłem ołówek do ręki i zacząłem kreślić na łańskim zeszyt jakiegoś liczby. Głos Kotka mię zabolął. Dlaczego powiedział przedtem wzrokiem, że cyfry nie są ważne i że nie trzeba uważać? A teraz się gniewa... I to dziwne, że wszyscy uważają i naprawdę rachują i tylko ja jeden...

Inni wiedzą zawsze, co się dzieje, tylko ja nie wiem.

— Kto skończył? — spytał Kotek.

Zgłosił się Mordon z ostatniej ławki, potem Herberstein, potem Vanutelli... Ciągle ktoś wstawał i mówił: skończyłem... Chowałem głowę i drżałem ze strachu. Ale pocie, szalełem się: Węgier także jeszcze nie skończył...

w tej chwili wstał Węgier i powiedział:

— Skończyłem...

— Co ci wyszło? — spytał Kotek.

Węgier powiedział głośno, co mu „wyszło”. Wszyscy się śmieli, bo mówił węgierskim akcentem. Ale Kotek był zadowolony. A potem wymówił nagle moje nazwisko.

Zrobiło mi się zimno. Wstałem... Któs za mną szepnął :

— Trzysta siedmdziesiąt jeden i dwie trzecie... Ale Kotek potrząsnął głową:

— Nie może być. Jak rachowałeś? Zacząłem coś mrużyć.

— Chodź do tablicy — kazał Kotek.

Kiedy przechodziłem koło drugiej ławki, usłyszałem głos Rudego :

Nie bój się, zaraz zadzwonią.

Kotek dał mi gąbkę i kazał zetrzeć wszystkie cyfry z tablicy. Ścierałem bardzo powoli i mówiłem sobie w duszy: zaraz zadzwonią.

...I zaczęli dzwonić.

Z radości udałem, że nie słyszę i wziąłem nawet kredę do ręki, jakbym koniecznie chciał pokazać, co umiem.

— Innym razem — powiedział Kotek.

Zdawało mi się, że w głosie jego był uśmiech. Spojrzałem na niego szybko. Naprawdę się uśmiechał.

On wie wszystko — pomyślałem ze strachem, wie, co kto myśli.

Pobiegłem do ławki po książki i myślałem: on wie wszystko... Wie, że przed chwilą spałem i że nie byłbym napisał ani jednej cyfry...

III.

Ciotka się zmieniła. Zrobiła się całkiem podobną do babki, może dlatego, że posiwała, a może dlatego, że mieszkała z babką. I stała się lepszą, bo nie krzyczała na Lola i na mnie tak, jak dawniej.

Za to babka gniewała się nieraz na ciotkę. Była przecież jej matką.

Pokoje niskie, kwiaty niebieskie na ścianach i na sufitach i małe okna. Zapomniałem już dawno o tych oknach, bo dawno nie byłem w Kuszynie. Teraz wydawało mi się wszystko jak nowe. Był pies, który się nazywał Hasan i darł żydom chałaty. A w ogrodzie było wszystko tak, jak przedtem.

Kazałem Jędrusiowi kopać w ogrodzie tak długo, aż pokaże się woda. Bo wiedziałem, że wszędzie jest woda pod ziemią. Więc Jędrus kopał w kilku miejscach. Zrobiło się dużo gór i przepaści. nikt się na nas nie gniewał.

Ale pan aptekarz złamał sobie nogę, gdy szedł w nocy przez ogród. Odtąd zaczął skarżyć na mnie i na Lola, a babka zaczęła się na nas gniewać. Potem nawet ciotka powiedziała:

— Ostatni czas, żeby się skończyły te wakacje.

Ale to był dopiero początek sierpnia.

Pan aptekarz był rudy i dużo gadał. Miał żonę, która się go bała, chociaż była znacznie od niego wyższa. Ciotka mówiła, że aptekarzowa jest męczennicą. Przytem aptekarzowa miała o wiele piękniejsze suknie, niż ciotka, np. w niedzielę, na sumie.

Aptekarz opowiadał o podróżach morskich. Był w dzikich krajach i na całym świecie. Widział ryby latające i królową angielską. A raz (w Brazylii) o mało nie dostał żółtej febry. Miał bardzo delikatne ręce z niebieskimi żyłkami a na każdym palcu pierścionek. Podczas mówienia ruszał rękami i brylanty się świeciły.

— Jechaliśmy właśnie przez Canal la Manche — opowiadał.

...I zaczął opisywać burzę. Przytem pokazywał rękami, jak kołysał się okręt i trąbił, naśladując huk bałwanów i grzmoty, a że ciągle świeciły się jego pierścionki, więc widziałem nawet błyskawice, jedną za drugą...

Wszyscy się dziwili. Aptekarzowa powtarzała:

— Co mówisz, co mówisz...

I także się dziwiła. Ale aptekarz spojrział na nią z gniewem:

— No cóż? Patrzcie! Była ze mną na morzu i sama wszystko widziała, a teraz...

I aptekarzowa zaraz przestała się dziwić, a nawet zaczerwieniła się mocno ze strachu.

Tylko ciotka nie lubiła aptekarza i mówiła, że kłamie. A my z Lolem przestaliśmy go także lubić, odkąd złamał sobie przez nas nogę w ogrodzie. j]

Aptekarzowie przychodzili wieczorem. Ale po południu przychodziła „męczennica” sama i płakała. Nam nie wolno było przypatrywać się, jak płacze. Tylko ciotka siadała wtedy przy niej i coś haftowała, żeby nie tracić czasu.

Babka była po stronie aptekarza. Bo mówiła, że kobiety płaczące są krzyżem dla mężów.

Dziadek nie był po niczyjej stronie. Miał dwa pokoje własne, z osobnym wejściem, na froncie, tak zaciszne i czyste, jakby nikt w nich stale nie mieszkał. Kiedy dziadek jeździł na wizyty do chorych albo na komisye, siedzieliśmy z Lolem w jego pokojach i oglądaliśmy cybuchy, książki i fotografie albo szukaliśmy instrumentów, którymi krajał ludzi. Chodziliśmy na palcach, żeby nas kto za drzwi nie wyrzucił,

W jednym pokoju pachnął tytuń a w drugim karbol. Nad ceratową sofą wisały dwa portrety.

— To ojciec... A to matka.

— Przecież wiem — oburzył się Lolo.

Ale mnie o to nie chodziło, czy on wie. Tylko o to, żeby powiedzieć głośno „to ojciec a to matka”.

I patrzyliśmy się uważnie na twarze rodziców, których żaden z nas dobrze nie pamiętał.

Niekiedy przychodziliśmy do dziadka z wizytą po kolacyi. Był dla nas tak grzeczny jak obcy człowiek. N. p. pytał mnie:

— Ilu was jest w zakładzie ? Albo Lola:

— Jak się ma ciocia Kazia? A wuj Adam?

Był zawsze czarno ubrany, ale twarz miał czerwoną i siwe włosy i siwe wąsy.

Kiedy mówił o Wiedniu, zdawało mi się zawsz, że się z nas śmieje.

— Cóż tam... w rezydencyi? Jakże... stolica Austrii? Czasem przychodził ktoś na karty. I musieliśmy stanąć z Lolem plecami do siebie, żeby się widziało, który wyższy.

— Starszy jest sensat — mówił dziadek — ale ten młodszy, Lolo... jak żywe srebro.

Kazali nam mówić po niemiecku i śmieli się, że już tyle umiemy. Gdy mówiliśmy coraz, prędzej i coraz trudniejsze wyrazy, dziadek nagle spluwał i mruczał.

— Niech was dyabli...

Ale zresztą był tak grzeczny, jak obcy człowiek.

— Żyj sto lat — mówił ksiądz proboszcz, a nie nauczysz się wszystkich figlów tego języka... W jakiś czas po powstaniu wnoszę ci o pozwolenie powrotu do domu...

Nadchodzi reskrypt... cóż tam? Zaczyna się tak, jakby nie tylko się zgadzali, ale jeszcze pięknie prosili : wracaj, bardzo nam będzie przyjemnie... Więc już się cieszę, skaczę z radości... aż tu na samym końcu, jak byk, słowo „nicht!”

Uważacie... Na samym końcu. Masz babo redutę! Nicht gestattet, panie tego, nicht gestattet...

Zaczynała się gra w wista. Przez chwilę przypatrywaliśmy się z daleka, a potem wykradaliśmy się cicho z pokoju.

Czasem brał nas dziadek na „spacer”. To znaczy do apteki, gdzie się wszyscy schodzili.

Musieliśmy brać ze sobą Hasana, który spał na ganku w cieniu winnych liści, ale wiedział wszystko, co się dzieje.

Skakał z entuzjazmu, szczekał i puszczał się naprzód w radosnym galopie, po czarnym błocie.

A my szliśmy po deskach, przez rynek, koło oberży.

Przed oberżą był ruch. Z jednej i z drugiej strony bramy duże, czerwone afisze.

— Sługa pana konsyljarza — wołał komornik, który stał w bramie z żydem...

Coś się działo. Jakiś wóz ogromny, konie, ludzie... Na ławce, przed domem siedział pan w złotym ubraniu, bez wąsów, dyndał nogami i gwizdał na jakiegoś psa, którego nie było. Na parkanie wisiały kolorowe suknie i spodnie i dywany.

— Teatr! — krzyknął komornik.

Tak jakby nagle coś zabłysło w powietrzu. Nie słowo ale ptak, który wyleciał z czarnego otworu bramy i zawisł nad naszymi głowami, zaszumiał i znowu wrócił do bramy.

Oberża zmieniła w tej chwili fizyognomię, wyrosła. Zrobił się z niej teatr. Hasan pobiegł śmiało naprzód i wpadł prosto w bramę, jakby nic. Dziadek poprawił okulary i poszedł z Lolem do komornika i do czerwonych afiszów.

Ale ja szedłem z tyłu, pomału i patrzyłem na czarny otwór, gdzie przed chwilą znikł Hasan,

— Polacy czy Rusini? — spytał dziadek. Pokazało się, że Polacy. Komornik uśmiechał s? i zacierał ręce. W butonierce miał gwoździć czerwony i pachnął. Ciotka mówiła, że farbuję sobie brodę. Nadchodził pocztmistrz.

— Hoho... teatr?

— Teatr.

Potem jakiś piękny głos zadźwięczał w bramie jak harfa. Nie słyszałem nigdy tak pięknego głosu. ...Wyleciało z bramy kilku małych żydków. — Wynoście się, psiekrwie jakieś — śpiewała harfa — bo obetnę wam pejsy!

...I śpiew harfy popłynął daleko i wstrząsnął powietrzem.

W bramie ukazał się wysoki pan w słomianym kapeluszu. Był także bez wąsów, ale okazalszy, niż tamten złoty, który dyndał nogami.

Spojrzał uważnie na dziadka, na komornika i na pocztmistrza, którzy czytali półgłosem afisz.

A po chwili zdjął od niechcienia kapelusz. Tak, jakby pomyślał „niech tam!”... Ale zaraz odwrócił głowę w inną stronę. Z bramy wyszła pani w czerwonym kapeluszu.

— Fiu, fiu... patrzcie... — szeptał komornik i trącał łokciem dziadka.

Pani przeszła blisko nas. Jakiś słodki zapach dotknął się mnie i otulił moje ciało, jak chustka jedwabna. I przypomniało mi się w jednej sekundzie tysiąc rzeczy. Ale nie wiem co... Ei

A ona nagle stanęła i odwróciła się i coś krzyknęła do harfy w słomianym kapeluszu.

Nie widziałem jeszcze takiej białej i różowej twarzy i takich oczu czarnych. Aż bolało, takie były błyszczące i piękne.

A jeszcze więcej bolało, kiedy potem poszli razem z harfą i głośno się śmiali, a jej nogi stąpały tak jakoś delikatnie ostrożnie i pogardliwie po czarnym błocie Kuszyna... i suknię miała podniesioną tak wysoko, że widziało się pończochy. Dwóch chłopców stało przed parkanem z głową odkrytą, usta mieli otwarte i patrzyli.

Zrobiło się na świecie tak cicho, jak w nocy i strasznie gorąco.

Krzyczałem ze złością:

— Lolu, Lolu !...

Bo on pobiegł patrzeć się za... nimi.

— Ten młodszy jest jak żywe srebro — mówił dziadek.

Komornik zacierał ręce.

— Figurka... co? Fiu — fiu... Słyszałem jeszcze, jak dziadek dokończył:

— Ale starszy, to sensat.

Lolek stanął, bo szarpnąłem go za rękaw.

— Czego chcesz?

Namyśliłem się czego chcę. A potem wybuchnąłem prawie z płaczem.

— Ja ci mówię, że ani dziadek ani ciotka nie wezmą nas do teatru.

Lolek spojrział na mnie zdziwiony. Potem mruknął obojętnie:

— Może być...

W aptece dowiedzieliśmy się, że wszystkie teatru na świecie razem wzięwszy, nie są niczem wobec tego, co aptekarz widział w Waszyngtonie.

Siedzieliśmy przy okrągłym stole pod kwitnącym dębem; panowie pili jakieś rzadkie wino, które kosztowało bardzo dużo, bo aptekarz przywiózł je sam z południowej Hiszpanii. Lolo słuchał ciekawie, co się mówi i śmiał się a niekiedy nawet mieszał się do rozmowy. Miałem takie uczucie, jakby Lolo był starszy odemnie, bo mówił z dorosłymi.

Ja sam siedziałem milczący, smutny i myślałem z jakimś bolesnym uporem, że nie jestem żadnym sensatem i nie chcę być i że najlepiej byłoby, gdyby nikt nie troszczył się o to, jaki ja jestem.

Myślałem, że nie ma większej męki, jak nie być dorosłym, i przytem... stanęła przedemną, nie wiedzieć dlaczego, twarz panny, która poszła z „harfą”. usłyszałem jednocześnie głos „harfy”... te słowa, które przed chwilą zadźwięczały

cudnie w bramie oberży. Tak jakbym był usłyszał po raz pierwszy piękną polszczyznę. jako kontrast przypomniało mi się zarazem, że wrócę do Wiednia. Smutny byłem.

A do teatru nie poszliśmy rzeczywiście. Przyszły wogóle najgorsze czasy. Bo prawie codziennie ja albo Lolo zbroiliśmy coś takiego, że babcia i ciotka strasznie się gniewały. Mówiły, że mamy złe skłonności.

Lolo zbił okno w oranżeryi w parku hrabiego. Na mnie mówiła ciotka, że jestem leniwy i kłamie. Lenistwo — mówiła — pochodzi stąd, że śpisz w jasny dzień i nawet wtedy, jak się do ciebie mówi...

Dlaczego kłamałem, nie wiem. Ile razy wyszedłem przynosiłem do domu mnóstwo zmyślonych rzeczy. Ale nie byłem nic temu winien. Zdawało mi się raz naprawdę, że widziałem komornika, idącego przez rynek z tą piękną aktorką w czerwonym kapeluszu. A tymczasem pokazało się, że to nieprawda. Sam komornik powiedział. Przysięgał, że nawet nie zna tej aktorki i aż posiniał ze złości.

I odtąd komornik nienawidził mnie tak jak aptekarz. Wogóle wszyscy słuchali uważnie, co ja mówię i czy nie kłamie. ...A w nocy śniło mi się, że jestem w teatrze. Na drugi dzień rano opowiadałem ciotce wszystko, co grali.

— Głupstwa — gniewała się — głupstwa... Dała mi Korzeniowskiego do czytania.

IV.

Dzień bladł za kratami okien, ale w sali był już wieczór. Żółte strugi światła ciągnęły się jak łańcuch od biurka do biurka. A na środku sali było ciemno. Siedziało nas dwudziestu a nie słychać było ani jednego głosu. Po wszystkim pełzała wieczorna senność. Uczono się cicho, jakby wieczór zatykał usta.

Rudy nie uczył się, tylko szeptał do mnie: — Co mnie obchodzi Karol VI. ? Czy ty rozumiesz, po co musimy iść na wigilię za jego duszę?

Spojrzałem na zegarek. Za kwadrans głos elektrycznego dzwonka przeszyje ciszę, jak szpilka, wieczór zadrgnie, prefekt kJAśnie w ręce, zrobi się ruch i hałas...

...A jutro niedziela.

— Jutro niedziela — mrucał Rudy — zobaczymy świat. Ja tęsknią już do świata. Mam dosyć tego wszystkiego...

Przyjedzie mój kuzyn aż z Paryża. I będziemy jedli obiad u Sachera. A potem może pójdziemy do teatru...

— Moja siostra cioteczna ma już czternaście lat — zacząłem opowiadać.

Ale Rudy mi przerwał:

— Mój kuzyn ma bardzo piękną, młodą żonę, z którą był na poślubnej podróży. Jest biała i ma białą woalkę i czarne oczy i jest całkiem cieniutka w pasie... I pachnie fiołkami...

Wyobraziłem sobie oczy i fiołki i resztę. A przytem ktoś mówił za nami:

— Cado, cadere, cecidi... Rudy się obrócił i psyknął:

— Cicho!

Za nami siedział gruby Rumun i kuł namiętnie. Oczka miał zmrużone, głowę podpartą na łokciach i mrucał raz głośniejsz, raz ciszej. Wyglądał tak, jakby się uczył nie o szóstej wieczór, ale o drugiej w nocy

i walczył rozpaczliwie z sennością. Był silny i jak roża rozkwitły, ale łacina siedziała mu na karku, dusiła go i gnioła. Niekiedy się poddawał i spuszczał głowę, a lekcyę szeptał cicho i boleśnie, jak umierający ostatnią modlitwę. Ale za chwilę brał się znowu srodze do walki i marszcząc czoło, butnie się prostował i mówił głośno, wściekle, wyraźnie. I wtedy zarażał tą wściekłością bliższych i dalszych sąsiadów. Co chwila podnosił się jakiś wicher mruku, tak, jak morze niekiedy się budzi i naraz gniewnie zaszumi...

Rudy przedrzeźniał:

— Cado, cadere, cecidi... Na co mi tego wszystkiego? Będę oficerem w pierwszym pułku ułanów...

— Nie rozmawiać! — mruknął z roztargnieniem prefekt, czytający przy małym stoliku romans francuski.

Czepiły mnie się rozmaite myśli.

— Na co my się wszyscy uczymy tego samego? — rzekłem cicho do Rudego — przecież każdy z nas jest inny...

Pomyśl tylko. My Polacy, a każdy z nas inny... A tu znowu Niemcy... A za nami ten gruby pastuch rumuński... A tam Węgrzy... A pod zegarem Ali Bey, książę egipski... Każdy z nas z innych stron i ma inną duszę... A siedzimy razem w tej sali i uczymy się wszyscy tej samej trzeciej konjugacyi... I za chwilę wszyscy pójdziemy na wigilię Karola szóstego...

Rudy palnął ręką w stół.

— Dasz ty pokój twoim wiecznym głupstwom I... Aż się w głowie kręci...

Ale ja obejrzałem się naokoło i zobaczyłem naraz wszystko, jak pierwszy raz. f spytałem się: co ja tu robię? Kto jest ten Rudy?... Kto są tamci?... Co ja mam z nimi wspólnego? Tak jakbym naraz zbudził się w nocy i starał sobie wytłómaczyć, jak właściwie

Jeżę.

I zrobiła się naraz cisza. Nawet gruby Rumun kuć przestał. Tak jakby wszyscy zdziwili się, że ja się dziwię.

Wtedy przeszył ciszę dzwonek. Drrr... dzwonił bez końca,

— Do stu dyabłów! — krzyknął z płacziwą złością wątył i blady Alzatzyk, który siedział przedemną, i cisnął kałamarzem o ziemię.

Prefekt odłożył romans francuski.

— Kościół! — powiedział. — Wigilie za duszę Jego ces. i król. Mości Karola VI.

Wszyscy rzucili się z hałasem do płaszczów i czapek. Alzatzyk jeszcze tańczył z wściekłości i targał się za włosy:

— Po co te dzwonięcia przekłete!... Nie będę słuchał przez pięć lat co godziny dzwonek i klaskania...

Spojrzałem na niego z pewną satysfakcją.

— Musisz — szepnąłem ze złośliwym uśmiechem. Czuję przy tem, że on i ja jesteśmy do siebie podobni. I właśnie dlatego cieszyłem się szatańsko, że go tak męczy głupie życie w zakładzie.

Szliśmy parami przez jasne koitarze. Alzatzyk

wyglądał jak smutny bocian w swym krótkim płaszczu. Wlókł się pochylony i na ziemię patrzył.

— W tym pałacu mieszkała niegdyś cesarzowa — westchnął jakby do siebie.

Miał dwa ogromne guzy na wypukłym czole. Byłem przekonany, że w tych guzach siedziały myśli, które go bolały. Patrzył na ziemię i mruczał:

— Po tej kamiennej posadzce szły damy dworskie w jedwabnych i koronkowych sukniach. A teraz... świństwo!...

Gazem śmierdzi. Stukają butami ordynarnymi tacy ludzie, jak prefekt... albo ten twój Rudy...

Nienawidził Rudego z powodu jego krzykliwości, czerwonych rąk i siły fizycznej.

Schodziliśmy po schodach, na których wieczorem nie wolno było mówić... choć nikt nie wiedział dlaczego. Takie schody jak wszystkie inne i tylko suknem czerwonym zasłane. A na suficie były różowe amorki podające sobie wawrzynowe wieńce.

Szło się w milczeniu. Z kaplicy słychać już było urywane jęki organów.

Ale nagle Rudy uderzył w kark Rumuna.

— Was isł das! — krzyknął prefekt.

Rumun kopnął Rudego w brzuch. Prefekt klaskał bez końca w ręce, dał obydwom silentium... Rumun przysięgał, że jest niewinny. Wogóle zrobił się wesoły ruch po sztucznej, niezdrowej ciszy.

— Poskarż twojej ciotce, królowej — kpiono z Rumuna.

Był rzeczywiście krewnym jakiejś królowej, a' zresztą wyglądał jak pastuch.

— Zęby ci wybiję — obiecywał Rudemu. Stanęliśmy przy wejściu do kaplicy. Zeszło się tyle oddziałów naraz, że zrobił się ścisk. Musieliśmy czekać, aż wejdą starsi do kaplicy i przyjdzie na nas kolej. Właśnie szli „wielcy” z ósmej klasy i patrzyliśmy na nich z ciekawością.

Nasz prefekt gładził długą brodę i badawczym wzrokiem lustrował swój oddział. Ciągłe kogoś upominał na migi, raz z tym, raz z owym załatwiał oczyma jakieś ważne, tajemnicze rachunki.

Spojrzał i na mnie. Drgnąłem lekko, ale odpowiedziałem mu spojrzeniem, że mam czyste sumienie. Wtedy uśmiechnął się nieznacznie, wyjął z kieszeni mały świstek papieru i patrzył to na mnie, to na papier.

Zaczerwieniłem się po uszy. Nie wiedziałem jeszcze, ale odgadywałem, że to coś mego, coś, co ja napisałem, a co on znalazł na moim biurku albo w kieszeni mego płaszcza. Zbliżyłem się odruchowo do niego, żeby zobaczyć... ale w tej chwili schował prędko papier i dał nam znak ręką...

...Weszliśmy do chłodnej kaplicy.

Ołtarze były zakryte czarnym suknem z białymi krzyżami. Rude płomyki gazu między ławkami i świece na ołtarzach mrugały słabo, jakby nie mogły przedrzeć się przez ciemność.

— My razem — szepnął do mnie Rudy.



Siadłem koło niego w przedostatniej ławce. W powietrzu była zimna woń, która mnie głaskała po czole i po sercu. zaraz miałem uczucie jakiegoś nieznanego smutku, który mnie obejmuje pieszczotliwie i mocno. Drzwi się zamknęły i jak żelazne wieko zapadła cisza. Mechanicznie jałem szeptać słowa modlitwy. A jednocześnie myślałem o tem, że za pięć lat nie będę się już bał żadnych kartek ani prefektów... Gdzie wtedy będę?

Kaplica zamknięta w tej chwili jak grób i zdaje się, jakby się stąd nigdy nie można wydostać. Więc perswaduję sobie, że jednak kiedyś... za pięć lat, może być wszędzie i wszystkim.

Wyobrażam sobie nagle, jak się otwiera czarna ściana między ołtarzem Matki Boskiej a kropielnicą. Otwiera się na oścież brama olbrzymia. A za bramą jest dzień. Widać jasne drogi, prowadzące przez miasta i wsie, przez góry i płaszczyzny... Bierze mię gorące pragnienie wolności.

— Requiescat in pace! — śpiewają przy ołtarzu, tak spokojnie, jakby nie było bramy otwartej.

— Amen! — odpowiadają na chórze, dziwnie niskim, smutnym głosem.

Moje pragnienie staje się niespokojne jak ptak. Czy minie tych pięć lat naprawdę? Może nie doczekam, umrę... A może słońce i świat są tylko złudzeniem... a prawdą jest to, co widzę w tej chwili, ta czerń martwa i ta cisza i ten spokój chłodny... Dlatego przy ołtarzu śpiewają tak spokojnie o wiecznym

odpoczywaniu. Bo wiedzą, że... niema bramy otwartej i niema żadnych dróg poza tą ciszą. Tylko to jest, co widzę w tej chwili...

Czerwienię się z gorączki. Patrzę naokoło siebie. Wszyscy siedzą nieruchomie, jakby już nie byli dziećmi, ale figurami kamiennymi albo trupami... Mają blade, stare i poważne twarze, ciała pochylone... żyją tylko płomyki świec... i głosy śpiewające ponuro o śmierci...

Patrzę ze strachem dookoła siebie. I nagle wzrok mój spotyka się z wzrokiem prefekta, który mi daje znak ręką, żebym się nie rozglądał...

Mówię do niego oczyma, smutnie i spokojnie:

— Nie boję się ciebie, i tak wszyscy kiedyś umrzemy... I całe wychowanie na nic, bo życia właściwie niema i tylko jest czekanie na życie...

— Wszystko jedno — odpowiadają surowo okulary prefekta — mimo to radzę ci, żebyś się nie rozglądał, bo inaczej... Marszczy się, wyjmuje znowu z kieszeni karteczkę...

Bierze mię złość okropna i nagle wiem, że na karteczce nie może być nic innego, jak wiersz: „Na morzu niebieskiem”, który napisałem onegdaj po południu podczas nauki francuskiego języka, a który za" brał mi nauczyciel.

I wiem, co mnie czeka. — Po kolacyi prefekt odczyta głośno tę rzecz przekłętą... i wszyscy będą się wili ze śmiechu. A ja będę musiał słuchać i męczyć się... I na koniec dostanę karę za to, że zajmował się; „czemś innym" w szkole. \_ M

Cisną mi się łzy do oczu, z wściekłości... I przy. sięgam sobie, że już nigdy, nigdy nie będę się zajmował czemś innym...

V.

Dziękowałem Bogu za szczęście. Siedziałem w pociągu lecącym na złamanie karku; jechałem na wakacje. Miałem przed sobą dużo szczęśliwych tygodni cały rój chwil szczęśliwych, jak obłok jasny z milionów złotych muszek...

A oto dzień pierwszy.

Wzruszony byłem tem szczęściem pierwszej go" dżiny pierwszego dnia. Siedziałem sam w wagonie i patrzyłem na wieczorny krajobraz, który pędził do Wiednia. Cieszyłem się, że przez otwarte okno wlatują oddechy lasów i wody, a z zapachami strzępy jakiejś dalekiej rozmowy dużych i małych dzwonów, pyłki głosów ludzkich i zwierzęcych. A ile razy ujrzałem coś radośnie pięknego, mówiłem sobie, że to tylko zadatek, że właściwie nic się jeszcze nie zaczęło i wszystko rozpocznie się aż jutro, a raczej pojutrze, jak będę w Kuszynie.

Pociąg leciał... a moje oczy wędrowały po świecie. Ale nieznacznie wędrówka stawała się cięższą i wzrok wracał ze skargą, że mu cienie i mgły zagradzają drogę. Tak się czyta o szarej godzinie, a książka blednie i blednie i nie chce już za nic w świecie, żeby ją dalej czytać...

Zacząłem odgadywać gasnące litery drzew, domów i chmur, sylabizować mozolnie okolice, których już właściwie nie było i... po przebyciu wielu, czarnych jak noc, trudności, wpadłem naraz w pejzaż przedziwnie jasny i piękny. Nie potrzebowałem już siedzieć wyprostowany jak struna, wychylać się i męczyć, bo świat stał się naraz bajecznie wyraźny i promienny... można było oprzeć wygodnie głowę na poduszce, leżeć leniwie i z daleka widzieć wszystko z łatwością...

...Jechaliśmy przez długie, wąskie mosty (jak po linie), a pod nami szumiała woda... i ziozumiąłem zaraz, że to — morze, bo z daleka widziałem wyraźnie żagle, kołyszące się na dużych falach; a potem wjechaliśmy w ogromny park, z mnóstwem czerwonych i niebieskich klombów, w którym zapewne była noc, bo w krzakach i na drzewach świeciły się dziwaczne lampiony japońskie, przedstawiające nie tylko kwiaty i motyle, ale i twarze ludzkie, między nimi bardzo znajome, a we wszystkich oknach dużego pałacu stojącego w tyle czerwieniły się światła... aż i to wszystko minęło i jechaliśmy wysoko, między najwyższymi szczytami gór, pokrytymi śniegiem, a pociąg o nic nie pytał, tylko pędził naprzód jak waryat, poiiiiiro, że ciągle się ślizgał, a lokomotywa odpowiadała na jęki i przestrogi ostatnich wagonów pociągu że da sobie radę i że jak długo żyje, nigdy nie rozbiła sobie głowy...

...Aż wziął mię strach zimny i stanąłem otwarcie po stronie ostatnich wagonów i zacząłem wołać do

lokomotywy, że ją Pan Bóg skarże, i zamilkłem dopiero wtedy, gdy nagle spadliśmy z grzbietu gór wysokich i jęliśmy lecieć, lecieć...

...Usłyszałem głosy jakichś znajomych.

Staliśmy na stacyi. Wagon był pusty i ciemny, ale przez okno wpadało światło latarni i wpadało dużo słów i hałasu. Wszystkie głosy były znajome.

Wyrząłem przez okno i przekonałem się, że na peronie mówią obcy ludzie, ale mówią... po polsku.

Oblała mię fala niecierpliwej radości i zmyła wszystek sen z oczu moich.

— Co to za stacyą? — spytałem z okna jakiegoś człowieka.

— Kraków — odpowiedział zdziwionym, jakby pytającym głosem.

— Aha. Kraków — powtórzyłem sobie...

I zacząłem natarczywie przypatrywać się ludziom, (którzy wydawali mi się jak znajomi ze snu), przysłuchiwać się z dziwnym zajęciem kawałkom obojętnych rozmów...

Jakiś kratkowaty człowiek powiedział do popielatej pani:

— Kwadrans na jedenastą...

Spojrzałem w tej chwili na zegarek i stwierdziłem : „Ma rację... Trzeba przyznać... Ni mniej ni więcej”...

Wyglądałem przez okno i słuchałem chciwie, jak tłumy mówią po polsku.

Wreszcie pociąg ruszył i siedziałem znowu sam...

a moc stów usłyszanych brzmiała mi dotychczas w uszach...

— Jeszcze siedm godzin — pomyślałem z nagłym smutkiem.

...Zacząłem czytać jakiś napis: uprasza się p. t. podróżnych...

Naraz wstałem i zdjąłem z góry walizkę. Przypomniałem sobie, że jest w niej kilka tomów jakiejś przetłómaczonej powieści, którą mi dała Wanda na drogę. „Nie prosiłem jej o to” — myślałem, wydobywając książki — „dała mi sama, z jakimś bardzo dobrym uśmiechem... i w tem coś jest”.

Odsłoniłem lampę zakrytą firanką i zapaliłem papierosa.

Powieść nazywała się — „Idyota”. Zacerwieniłem się strasznie. A co? Wiedziałem, że Wanda ma we wszystkim jakieś ukryte, złośliwe zamiary... Jeśli mię nawet nie ma za idyotę, to w każdym razie chce mi to powiedzieć przez tytuł książki, którą mi pożyczyła. Żeby mię dotknąć choć z daleka... Rzuciłem książkę na ziemię...

Rozłożyłem się na skórzanych poduszkach... Przez dłuższy czas mówiłem w myślach do Wandy; potem ona zaczęła mi odpowiadać... Kłóciliśmy się na dobre. Prowadziliśmy nieskończoną, burzliwą i dziwnie zagmatwaną dyskusyę na temat, kto z nas mądrzejszy...

Naraz zrywam się i przychodzę do przekonania, że znowu spałem. j

Chwała Bogu! myślę — musi być już niedalek

do Lwowa. Ale na zegarku jest dopiero druga, w wagonie świeci się gaz, a okna są czarne. Patrę na ; książkę shańbioną, walającą się po ziemi i nagle bez : najmniejszej odrazy podejmuję ją i czytam....

Z początku czytam obojętnie, potem z gorączko j wem łakomstwem... '

Dziwnym trafem powieść zaczyna się w pociągu, I rozmową kilku ludzi siedzących w jednym wagonie. Ludzi nad wyraz dziwnych... a może i zwykłych... tylko niejako z widzialną duszą... z duszą na wierzchu...

Krzyczę niekiedy z radości, zrywam się, skaczę... i znowu siadam i połykam kartki...  
Muszę przestać na chwilę, żeby pomyśleć: to wszystko jest naprawdę gdzieś głęboko w życiu... i wszystko zjawi się kiedyś mnie samemu... To nie cuda, tylko ludzka dusza... Na dnie duszy są perły... A ten poeta jest nurkiem...  
Czytałem leżąc... a właściwie już nie czytałem, wyobraźnia broiła już dawno różne figle na własny rachunek...  
A kiedy się ocknałem, było już rano.  
Wczesny, cichy, popielaty dzień. Całkiem jasny, a jeszcze bez światła. Nieruchoma poczwarzka. Drżałem z zimna.  
Jechaliśmy powoli... Gdzieś tam przez popielatą materię przedzierały się krwawe sygnały, jak okrągłe ranki.  
Otworzyłem okno i najpierw poczułem zapach deszczu, potem jakieś słodkie ogrodowe kwiaty, a tuż za nimi stacją.  
Pociąg westchnął głęboko i stanął.

p " ..... ' !  
Pozdrowiłem z radością pierwszą grupę sukman i chałatów. Żydzi szwargotali wesoło, niby na dzień dobry... W oknie białego dworca czesała się swobodnie córka naczelnika stacji...  
— Zresztą — pomyślałem, gdy wszystko minęło — niedługo zajadę do Lwowa...  
Zacząłem się zastanawiać, co i w jakim porządku przedsięwziąć we Lwowie, gdzie miałem być tylko kilka godzin. A więc najpierw: prosto z dworca do Czelnickich, gdzie mieszkał Lolo „na stancyi”.  
Najgorsze to, że właściwie nie wiem nic o Czelnickich... Krewni nasi, czy tylko znajomi? Odkąd pamiętam, zawsze się o nich mówiło — nazwisko tak mi znane jak słowo stół albo ołówek... pisało się do nich i odbierało się od nich listy... ale co to za ludzie? Mniejsza o to. Dostyc, że trzeba wiedzieć jak się do nich mówi... pan, pani, czy jak? Na szczęście będzie Lolo... A wieczór pojedę z Lolem do Kuszyna.  
Niedługo potem jechałem dorożką przez ulice, znane mi jak ze snu. Był jeszcze we mnie rytm kolei; nie mogłem się zorientować, skąd i dlaczego nagle tu jestem. Ale nieznacznie zacząłem poznawać niektóre ulice, cytadelę i św. Jura, nawet błoto na ulicach i oddechy kilku starych kątów... choć to wszystko było jeszcze na półprawdziwe, jak za mgłą, która miała się niebawem podnieść, niby kurtyna w teatrze...  
Aż jechaliśmy w ulicę, przeplatana dość gęsto zielenią, a gdy "zobaczyłem z daleka dom dziwnie po

marzącowy z kwitnącą parą oleandrów na balkonie, wiedziałem nagle, że przed tym właśnie domem, a nie przed innym zatrzyma się dorożka.  
Mimo to przestraszyłem się trochę, kiedy stanęliśmy tam naprawdę.  
Szedłem po schodach szerokich, pachnących drzewem i zgrzybiałym wiekiem, czując przytem wyraźnie, że i ten zapach jest mi chyba znajomym od lat niepamiętnych.  
Nie szukając długo, wszedłem przez drzwi, wypadkiem otwarte, na pierwszym piętrze.  
— Jezus Maryja! — szepnęła jakaś stara kobieta, ścierająca kurz w przedpokoju.  
— Czy państwo w domu? — spytałem niepewnym głosem.  
Wytrzeszczyła oczy i poszła.

Byłem od razu pewny, że jest głucha — ale mimo to przyprowadziła z pokoju Czelnicka, którą poznałem w tej chwili po dziwnie białych oczach. A razem z Czelnicka poznałem nagle przedpokój i wszystko.

— Adaś — rzekła Czelnicka od razu i pocałowała mię w czoło, ale bez śladu zdziwienia lub radości.

Weszliśmy do pokoju, gdzie siedliśmy razem na czerwonych fotelach jak na wizycie.

— W Wiedniu mają się wszyscy dobrze? Ciocia? — Dobrze.

— I on? I Wanda?

— Dziękuję... dobrze.

— Wanda nie idzie za męża?

Roześmiałem się, myśląc, że to był dowcip. Ale Czelnicka się nie śmiała.

— No cóż... dlaczego nie? Ia piętnaście lat... A z twoim braciszkiem kochanym mam dużo kłopotów... Dziękowałam Bogu, kiedy wczoraj sobie pojechał... Z trzech przedmiotów dwójki.

Przestraszyłem się.

— Lolo już w Kuszynie? A ja chciałem z nim razem pojechać dziś wieczór. Tylko dlatego zatrzymałem się we Lwowie.

— No to nic — mruknęła Czelnicka — to sam pojedziesz... A nic ci się nie stało, że odwiedziłeś starą krewną i ten dom.

Aha, krewna — zanotowałem sobie — ale dlaczego „ten dom ?”...

— Rzeczy gdzie?

— Moje rzeczy ? Na dworcu...

— Ale na obiedzie chyba zostaniesz?

— Dziękuję... owszem.

Wpadło mi do głowy, że może spytać ją o męża, ale powstrzymałem się, bo kto wie, czy nie umarł i pokazałoby się, że nawet tego nie wiem.

— Poczekaj chwileczkę — rzekła Czelnicka — pójdę tylko do kuchni i zaraz wrócę.

Gdy zostałem sam, pomyślałem sobie, że trzeba będzie mówić do niej „ciociu”, bo ona mówi mi „ty”. Wkońcu postanowiłem jakoś się wykręcać.

Czelnicka wróciła. Usiadła i westchnęła:

— Mój Boże, tyle lat...

Westchnąłem także. A ona nagle spytała:

— Może chcesz zobaczyć ten pokój ? Jaki pe kój? spytałem się w duszy. Ale powiedziałem, że chcę.

Zaczęła szukać czegoś po kieszeniach. Wyjęła pęk kluczy, otworzyła drzwi i spytała głośno, czy na górze jest jakiś „pan Bednarczyk”.

Odpowiedziano z przedpokoju, że „jest szelma” ale że to nic nie szkodzi...

Czelnicka zastanowiła się chwilę, a wreszcie powiedziała :

— No chodź... Zaciekawiony poszedłem.

Wydrapaliśmy się o jedno piętro wyżej, ale i to nie był koniec.

— Spójrz, co za widok — rzekła Czelnicka, sapiąc okropnie...

Czułem, że widok to pretekst i że chciała tylko trochę odpocząć.

Spojrzałem z roztargnieniem przez okno na jakieś dachy... W końcu wyszliśmy jeszcze wyżej, może na strych.

Czelnicka otworzyła drzwi tapetowe, schowane gdzieś w kącie i weszliśmy do bardzo jasnego pokoiku

Przy oknie siedział przed zbitym lusterkim mężczyzna w kolorowej koszuli, dziwnie rozczochrany, miał posępnie zamysłone oczy i delikatnie drapał się | po nosie.

— Panie Bednarczyk — zawołała głośno Czelnicka.

I w tej chwili mężczyzna w koszuli podskoczył i głęboko się uklonił, z bezradnym uśmiechem...

— Niech pan wyjdzie na chwilę do sieni...

Nie zdziwił się nawet, lecz posłusznie kłaniając się, wyszedł.

— I tak od pół roku nie płaci czynszu — powiedziała Czelnicka pogardliwie i zaraz usiadła, sapiąc znacznie przyspieszonym tempem.

...A potem zaczęła mówić tonem przewodnika oprowadzającego turystów po starych zamkach:

— Ściany pomalowane tak, jak były... i tylko tam w kącie świeżo pobielone. Łóżka rozpadały się już na kawałki, więc trzeba było wstawić coś innego, bo nikt nie byłby wynajął pokoju. A z tych drzwi zamkniętych, tam za szafą, wchodziło się do drugiego pokoju... ot taka ciupka... jeszcze mniejszy od tego i potem do małej kuchenki. Teraz niema tam nic do widzenia, zastawione gratami, stare paki... Ale szafa została. Małe to wszystko i nędzne, bo gdzie im tam starczyło na ludzkie mieszkanie... Ale za to, które mieli, płacili, choć nie było co gryźć... Chodził biedaczysko po lekcjach...

Sapała ciągle i mówiła z trudnością: — Patrzysz na mnie, że się tak zmęczyłam... A on był przecie dużo młodszy... zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, gdy umarł... i włókł się po tych schodach tak pomalutku, jak stary człowiek... aż serce bolało patrzeć...

Wskazała ręką na okno.

— A tu przy tem oknie pracował jeszcze po lekcjach. Nieraz do trzeciej rano świeciła się lampa... Gniewałam się i mówiłam mu, że rozumni ludzie śpią w nocy... Ale on się tłumaczył, że musi koniecznie skończyć tę swoją książkę, bo gdy ją raz skończy, to wszystko będzie dobrze i zrobią go profesorem na uniwersytecie... I dużo miał z tej sławnej książki!... Rzeczywiście !

— Kto taki? — spytałem nagle cicho, z jakimś niepojętym strachem.

— No on — odrzekła niecierpliwie... I dodała:

— Twój ojciec.

A potem mówiła, nie patrząc na mnie:

— Teraz uczą się z tej książki o roślinach studenci, może także już chorzy na piersi... I tyle z tego pociechy! kiedy książka wyszła, pisali po gazetach, że niema drugiej takiej botaniki polskiej... Ale on już tych pochwał nie czytał... Nagle spojrzała na mnie swemi białymi oczyma:

— No cóż ? Co tobie ? Czy nie wiedziałeś przedtem tego, co ci teraz mówię?

Patrzała na mnie uważnie:

— Tobie będzie lepiej. Tylko się nie żęń za wcześnie. A jeżeli się ożenisz, to weź taką, jak była twoja matka.

Mówiła znowu, jakby do siebie:

— Wtedy jest niebezpieczeństwo przy porodzie, gdy niema kobiecie poco trzymać się życia. A jej nie

było poco, bo straciła wszystko. Ty miałeś rok... Ale może myślała: poco mi drugiego? I przy drugim! umarła... |  
Zacząłem szybko kombinować.

— Więc Lolo tu się urodził?

— Lolo i ty, i ty...

— Ach tak...

Nagle spytała, jakby zła :

— Cóż ty nic nie wiesz? Nic sobie nie przypominasz?

Patrzałem przez cały czas na dwa obrazki w kącie. Na jednym panna z białymi włosami grała na fortepianie, a pan z białymi włosami i w pończochach słuchał... Na drugim ta sama panna siedziała w niebieskim salonie, a pan stał nachylony i uśmiechał się do niej...

— Przypominam sobie, że raz zbudziłem się w dzień na jakiejś kanapie pod lustrem...

— Tak... pod lustrem była kanapa.

— ... strasznie płakałem... więc ojciec pokazał mi te dwa obrazki, które właśnie przynieśli. Ojciec miał czarną brodę.

Patrzyła na mnie białymi oczyma.

— Tobie będzie lepiej... Poczciwa Teresa zajęła się wami... No, a mąż Kazi ma koneksye i jest zamożny... Umieścił cię w takim pańskim zakładzie, że aż no... Dobrze się uczysz?

— Z łaciny najgorzej.

\_\_\_ Mogłem tak samo powiedzieć, że z historyi najle

piej... Więc nie wiem, dlaczego powiedziałem tak głupio.

— A więc nieszczęśliwie — mruknęła — nieszczęśliwie... Hm... może i lepiej ci będzie na świecie, że nie masz za dużo rozumu...

Zaczerwieniłem się.

A potem nagle to wszystko wydało mi się strasznie dziwne... Że jestem ni stąd ni z owąd w pokoju, w którym się urodziłem, że patrzę przez okno, przez które patrzył mój ojciec... I dowiaduję się tych rzeczy od starej kobiety z białymi oczyma, której prawie nie znam...

Jak ze snu były te oczy. Jak życie...

## VI.

Kotek chodził rozpromieniony, bo bzy pachnęły.

Nie wiem, czy był w zakładzie drugi uczeń znający go tak, jak ja. Zresztą może go wcale nie znałem i Kotek był rozpromieniony dla czego innego. Ale to pewne, że bzy pachnęły. I to, że Kotek z czymś się nosił po świecie.

Może z astronomią, w której kochał się tak, jak w liczbach i we filozofii.

— W maju pójdziemy patrzeć się na gwiazdy — mówił już w marcu. W zimie żył suchą matematyką. Żył nią tak szczęśliwie i pogodnie, jakby nie było porządniejszego szczęścia.

...Czy liczba Ludolfa może zapełnić człowiekowi

cracracraoococraao:)aoctocracocococracocraooaoCKj

życie? — myślałem niejednego chmurnego poranku, patrząc na jego bladą, ale radosną twarz, opromienioną niebieskim wzrokiem i puklami nieprawdopodobnie długich włosów...

...Ale on dawał nam do poznania, że w jego matematyce jest wszystko, począwszy od muzyki, a skończywszy na całkiem trywialnych zjawiskach życia.

...Także psychologia — dodawał wzrokiem umyślnym, zaadresowanym do mnie.

„A na wiosnę, wraz z pierwszymi fiołkami zaczęły się w jego matematyce pojawiać — gwiazdy. I od tej pory było tych gwiazd coraz więcej. Na czarnej tablicy działały się zagadkowe romanse cyfrowe, których bohaterami byli Saturn, Aldebaran, Orion.

Przez okno bzy pachnęły... A ja powiedziałem sobie raz na zawsze, że nie rozumiem się na krętych i ciemnych drogach liczb, że koledzy wraz z Kotkiem zajadą Bóg wie jak daleko, a ja nigdy ich nie dogonię... i nawet nie próbowałem zrozumieć zawilych romansów na tablicy.

Cały ogród i wogóle cały zakład pachnął już latem. Ostatniem latem mego życia w zakładzie.

Z początkiem maja pojechaliśmy kilku omnibusami za miasto do obserwatorium „patrzeć się na gwiazdy”.

Kotek jechał jak ulubieniec na wesele. A my cieszyliśmy się na wino, którego można było używać bezkarnie, gdy się jechało na wycieczkę z roztargnionym Kotkiem. Tylko on widział gwiazdy, a my zabawialiśmy się Bachusem w pobliskiej restauracji.

Wieczorem Rumun, krewny królowej, wyglądał już dziwnie smętnie, wzdychał i chwiał się na swych dużych nogach. A Kotek zakochał się tymczasem w jakimś niezmiernie dowcipnym aparacie, bajecznie wrażliwym i czułym. — Konstrukcja tak delikatna — mówił z zachwytem — że gdyby upadła do środka mała, leciuchna słomka, zniszczyłby się na nic.

W tej chwili krewny królowej, blady i melancholijny pochylił się nad aparatem i zepsuł go gruntownie.

Ale Kotek gniewał się tylko do maja. Bo tego dnia o tej wieczór pokazywał nam znowu księżyc z najwyższej trampoliny naszej zakładowej pływalni. Giętka deska ugięła się pod ciężarem całej ósmej klasy, która tłoczyła się przerażająco, naciskając z tłumionym śmiechem na Kotka, stojącego na samej krawędzi. Podczas pięknego wykładu o



księżycu panowało prawdziwie dramatyczne napięcie; przez cały czas wyobrażałem sobie, jak Kotek w swym długim tużurku leci do wody... Ale on stał niewzruszony, nie słysząc ani szeptów, ani śmiechów, a księżyc oblewał światłem mistycznym jego Chrystusową głowę.

Było takie ciepło w tym ostatnim maju naszego życia w zakładzie, że Kotek wpadał na coraz to dziwniejsze pomysły, między innymi na to, żeby jego lekcje odbywały się w ogrodzie.

### COCOCOCOCOCOTJUo

Senny spokój panował na tych Jekcyach, słychać było tylko muchy, niekiedy kosy i cichy głos Kotka... A kiedy lekcya się skończyła, nikomu nie chciało się wstać.

Wracaliśmy leniwie do klasy...

— Bardzo dziwny temat — rzekł Kotek, biorąc mnie pod ramię.

— Jaki temat? — spytałem zdziwiony.

— Twój polski nauczyciel przetłómaczył i pokazał mi rzecz, którą niedawno napisałeś... Bardzo dobry człowiek...

Bardzo się zajmuje swymi rodakami w zakładzie... Ale nie o tem chciałem mówić... Tylko o twoim temacie... Pisziesz o takim fenomenie, że ktoś odgaduje, a raczej widzi przyszłe zdarzenia w formie — wspomnień... Te „wspomnienia” są złudzeniem, fata morgana, odbiciem w duszy czegoś, co dopiero nastąpi...

— Zdarzyło mi się to samemu — zacząłem nieśmiało — już kilka razy...

— Za pozwoleniem — przerwał mi Kotek, biorąc mnie za guzik...

...Reszta klasy była już z pewnością dawno na górze i kto wie, czy nie zaczęła się już nauka religii. Stałem więc niespokojnie, choć nie śmiałem spojrzeć na zegarek.

A Kotek mówił o moim fenomenie. Po kwadransie stwierdził, że go już sam „czuje”, choć jeszcze nie całkiem rozumie. I nagle zaczął mówić o świętym Franciszku z Asyżu, poczem wpadł znowu znienacka na jakieś Aldebarany.

Wreszcie spojrzałem szybko na zegarek. On spostrzegł ten ruch i zawołał ze strachem:

— Idź, idź — ja cię tu zatrzymałem, a wy macie religię...

Ale na zegarku było już wpół do dwunastej.

— Wpół do dwunastej ! — westchnąłem z pewną rozpaczą.

— To spaceruj sobie po ogrodzie — zdecydował Kotek w tej chwili z roztargnionym uśmiechem i nagle poszedł sobie, mrużąc prawie głośno i gestykując rękami.

Byłem po raz pierwszy całkiem sam w naszym ogrodzie, i wydawał mi się całkiem innym, niż dotychczas, bo... byłem sam.

Cicho i ostrożnie chodziłem po białych ścieżkach, wsłuchując się w życie, słysząc nawet, jak daleko na górze upadł liść do basenu pływalni. Z wdzięcznością odczuwałem każdy promień słońca, oddech każdej drobnej gwiazdeczki bzów fioletowych i białych... Z wdzięcznością patrzyłem na ciężkie kasztany, niezgrabne z nadmiaru liści, prawie potworne w swych przekwitłych kształtach.

A najsilniej czułem urok samotności. Pomyślałem, że człowiek może być wszędzie wolnym, gdy jest sam.

Po raz pierwszy pomyślałem, że i w tym ogrodzie można być wolnym, mimo, że jest w nim tyle wspomnień siedmiu lat przeżytych w niewoli.  
Kto mi zwróci te siedem lat? — myślałem chwilę z nagłą goryczą.

Ale natychmiast pocieszałem się, że do życia jest tylko jeszcze pięćdziesiąt osiem dni.

— Do życia jest tyle a tyle dni — mówiliśmy wszyscy.

I wielu zdawało sobie już nawet jasno sprawę z przyszłego swego zawodu. Tylko ja nie myślałem jakoś o zawodzie. Zwierzał mi się nieraz wieczorem niejaki Alinowicz, ie po ukończeniu uniwersytetu wstąpi do namiestnictwa we Lwowie, a potem przez protekcję stryja dostanie się niechybnie do ministerium. Wiedział, ile jest rang i w której randze jest minister, a w której starosta i że n. p. wuj Adam jest w piątej randze.

Nigdy o tych dziwnych rzeczach dotychczas nie słyszałem.

— Czy to prawda — spytałem się raz Wandzi w niedzielę — że wuj Adam jest w jakiejś piątej randze?

— Cóż... ty nie wiesz?! — zdziwiła się strasznie, mierząc mnie pogardliwym wzrokiem.

Nawet ona wiedziała.

Alzateczek zwierzał mi się, że będzie siedział pod Strassburgiem, gdzie ma trochę ziemi i domek.

— cóż będziesz robił? — spytałem się.

— Będę żył... myślał.

Lubiliśmy się za myślenie. Chociaż jego myślenie było inne jak moje. On myślał tak spokojnie i dokładnie, jak mówił. Tak, jak rzeka płynie. Pogodnie,

bez pośpiechu, długo. Nieraz aż drżałem z niecierpliwości, gdy mi opowiadał wszystko, co myślał, w logicznym porządku. Rozumiałem, że potrzebuje na to całego życia... Ale miałem dla niego pewien szacunek.

Mardon, Hiszpan z Ameryki chciał zostać ambasadorem, tak jak i kilku innych. Ale było dużo i takich, którzy chcieli całkiem czegoś innego jak prawa, pomimo, że zakład był właściwie dla przyszłych prawników.

I prawie wszyscy czegoś chcieli. Tylko ja nie.

— A ty czym będziesz? — spytał mię Kotek, na jakie dwa tygodnie przed maturą pisemną. I dodał natychmiast z dziwnie wyczekującym, prawie podstępny uśmiechem:

— Pewnie prawnikiem... Powiedziałem bez namysłu:

— Prawnikiem.

Uśmiech jego zniknął. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, czy ze smutkiem:

— Dlaczego?

Skrzywił się i powtórzył:

— Dlaczego? Czy dlatego, że sam chcesz, czy dlatego, że w tym zakładzie hoduje się wogóle tak zw. porządnych i moralnych ludzi?

Ale w tej chwili przestraszył się niby własnych słów, schował ręce poza siebie i powiedział:

— Ja ciebie nie namawiam, broń Boże do niczego. A po chwili znowu szepnął:

— Nie namawiam ciebie, żebyś szedł np. na filozofię...

Milczałem, nie wiedząc, co powiedzieć. A potem krzyknąłem :

— Wuj Adam życzy sobie, żebym chodził na prawo.

— A ty? Co ty sobie życzysz? Milczałem.

— Ja... — zacząłem po chwili... — mnie wszystko jedno.., Dotychczas nie myślałem...

Zbladł jakby z gniewu, ale spytał spokojnie :

— A o czym myślałeś? O niebieskich migdałach... Zaczął mną nagle trząść, prawie z wściekłością :

— Hej, człowieku! Zbudź się? Już czas ostatni... Pierwszy kur życia twego zapiał. A ty śpisz? Spisz?

Puścił mię nagle i odszedł. Ale natychmiast wrócił, całkiem inny i prawie uśmiechnięty. Wziął mnie za rękę i powiedział prędko :

— Nie zważaj na to, nie zważaj. Chciałem ci powiedzieć coś całkiem innego... Chciałem ci powiedzieć, że i w prawie coś jest. We wszystkim coś jest. Tylko trzeba umieć patrzeć. Rozumiesz? A ty masz własne oczy. Tylko jesteś strasznie leniwy i często nie chcesz. Jeżeli cię zrobią prawnikiem, to z pewnością nie będziesz takim, jak inni. We wszystkich zawodach trzeba się przedewszystkiem starać pozostać sobą. Prawo? Dlaczego nie! Dam ci do czytania Iheringa. Przekonasz się, jak można patrzeć na prawo własnymi oczyma. Nie zapomnij, że mam ci dać Iheringa.

Odszedł. A mnie dźwięczało w uszach: Człowieku zbudź się! Zapiał pierwszy kur twego życia!...

To ładne — pomyślałem — pierwszy kur życia...

A potem zacząłem myśleć o tem, że będę całkiem „innym” prawnikiem. Zresztą przypomniałem sobie, że są na świecie różne tajemnicze zbrodnie, szatańskie hultajstwa i dzikie morderstwa i że sędzia jest także prawnikiem. Będę takim sędzią i życie moje będzie jak zbiór rzadkich opowieści arabskich, pełne zagadkowych i cudownych rzeczy. Poznam osobiście takich Raskolnikowów, poznam różnokolorowe, dziwne i głębokie dusze ludzi niezwykłych.

...A przed tem wszystkim — przypomniałem sobie nagle — pojedę całkiem sam w długą i piękną podróż. Wuj Adam obiecał mi podróż po maturze.

Bzy pachnęły a kilkudziesięciu młodych ludzi uczyło się do matury.

— Młodzieńcze! — krzyczał mi czasem prefekt nad uchem — ty myślisz sobie z pewnością „jakoś to będzie”.

Budziłem się ze strachem.

— Nie, nie... ja się uczę. I kułem dalej.

Cały ogród pachnął, a mimo to zaczęła się pisemna matura.

Na zadanie stylowe dali nam temat „czy ojczyzna winna czcić pamięć swych wielkich mężów?”... I już na sam widok tego frazesu z pytajnikiem zrobiło mi się nie miło. To jedno wiedziałem, że na pytanie od

powiem „nie” i że tylko w ten sposób da się coś z tego zrobić. Naturalnie, że nie. „Wielcy mężowie” robią tylko to, co muszą i drwią z wszelkiego uznania za życia i po śmierci. Ojczyzna nie „winna”, nie...

— Ależ tak! — szepnęła niecierpliwie profesor niemieckiego języka, przeczytawszy z daleka kilka ustępów mego zadania.

Zbliżył się do mnie ukradkiem i mówił prędko i cicho:

— Rozumie się, że na pytanie trzeba odpowiedzieć „tak”... Inaczej cała rzecz nie miałaby sensu. Trzeba opisać mianowicie wszystkie pomniki wiedeńskie... rozumiesz?... pomnik cesarzowej Maryi Teresy, potem arcyksięcia Karola... potem ewentualnie Tegetthofa, zresztą możesz wziąć i Goethego, na co masz ochotę, ale pomniki, pomniki ! Potem ukradkiem znowu i spieszenie się oddalił. Usłyszawszy, że trzeba „opisać pomniki” straciłem natychmiast wszelką ochotę do życia, do matury i do wielkich mężów. Ja się na te pomniki nigdy nie patrzyłem.

Moja dusza położyła się nagle, jak leniwy pies, na przednie łapy i zaczęła ziewać, ziewać. A ja zacząłem smarować tak nieudolnie, z trudem i niechętnie, jakbym nigdy przedtem pióra nie miał w rękę. Przytem polewalem papier gęsto atramentem, darłem kajet, walałem sobie palce...

Skończyłem ostatni i z uczuciem przegranej bitwy. To był pierwszy dzień matury. Coś w tydzień

potem dowiedziałem się od Kotlta, że jednak dostałem z „pomników” klasę „dostatecznie”.

A więc ani źle ani dobrze... ot tak sobie, bez pomnika, jak wielcy mężowie... ale przelazłem, przelazłem.

Przez wszystkie cztery zadania przelazłem.

A po pisemnej maturze wyszedłem na ulicę w humorze prawie szumiącym, bo wiedziałem już od Kotka, że nie skręciłem karku. I szedłem z równie szumiąco usposobionym kolegą Mińskim, który chciał koniecznie in gloriám dnia coś bajecznego przedsięwziąć.

Weszliśmy do małego pawilonu szampańskiego w okolicy wielkiej opery, z uczuciem, że to dopiero początek.

Mówiliśmy i piliśmy z sobą serdecznie, jak bracia, a wino z poziomkami pachnęło majem i maj był także w naszych myślach i słowach.

Miński opowiadał mi o kobiecie, którą znał i kochał, a ja kłamałem sto razy goręcej o kobiecie, której nie widziałem nigdy na oczy.

— Ożenię się z nią za dwa lata — zwierzał się Miński.

— Uwiodę ją za dwa tygodnie — chełpiłem się radośnie.

— Niech żyje! — pił Miński.

— Niech żyje! — bełkotałem namiętnie. Wyszedłem na ulicę z uczuciem, że to dopiero początek. Ale Miński podpierał mnie z przerażonym uśmiechem i był zdania, że to chyba już koniec.

cooDcocoOTCococracocococococajujuj

Jechaliśmy dorożką do zakładu, a w drodze spierałem się z towarzyszem, który utrzymywał, że „w tym stanie” nie mogę pokazać się prefektowi.

— Dlaczego nie? Jestem zdania... Jestem stanowczo zdania, że nasza dojrzałość... stwier... stwierdzona pisemną maturą... daje nam wszelkie prawo... czynienia, co się nam podoba... Muszę bezwarun... kowo... żądać już teraz od... dyrekcyi kompletnej wolności... kompletnej. Niech żyje kobieta, którą kocham.

Już w bramie zakładu spotkaliśmy dziwnym trafem prefekta, którego powitałem tak serdecznie i owacyjnie, że nie wyszedł na ulicę, ale w tej chwili zawrócił, wziął mnie pod drugie ramię i koniecznie chciał nas odprowadzić na górę.

— Jak ty wyglądasz? Jak ty mówisz? — krzyknął do mnie.

— Prze... przedewszystkiem... proszę nie mówić do mnie „ty”, lecz „pan”... „Signore”, proszę mówić. Tak... ha... ha... najlepiej : signore.

Mówiłem trzema językami. Po polsku, po niemiecku, ale przeważnie po włosku.

Na górze położono mnie na łóżko.

Ale zanim zasnąłem, zażądałem jeszcze raz kategorycznie i ostro kompletnej wolności.

Nazajutrz zbudziłem się z niemożliwym wstydem i bólem głowy.

Jeszcze przed rozprawą z prefektem gnębił mnie Miński, opowiadając szczegółowo, z niemiłosierną

dokładnością wszystko, co „w moim stanie” mówiłem do prefekta.

— Skąd ty umiesz tyle słów włoskich? — dziwił się niezmiernie.

Kilka słów sobie spamiętał.

— Powiedziałeś kilka razy: Io voglio avere piena libert  !...

VIII.

Ricca mówiła :

— Indus i Ganges i Bramaputra wypływają z gór Himalai...

Mówiła szybko:

— Ganges jest świętym Hindusów. Himalaja są najwyższymi górami na świecie. Indus płynie na Zachodzie, Bramaputra na Wschodzie, a Ganges w środku...

Ruszała białymi, cienkimi rękami...

Patrzyłem na te ręce... Na te duchy, które widziałem w jasny dzień, a o których marzyło mi się w nocy, że obejmują mnie za szyję...

Mówiłem do niej w duszy:

„...Jesteś piękną, jak sen. Boli mię twoja piękność. Ricco, piękność twoja ma płaszcz płomienny. Spalone są moje myśli, bo pławią się w twojej piękności. Ricco, jesteś dzieckiem i rozumiesz dlaczego drżą moje kolana... i patrzysz na mnie jak ten ranek, zimno i niebiesko. Wczoraj znowu cały dzień byłaś we wszystkim

kiem, co przeżyłem... Ricco, szelest twej sukienki jest w pieśni dalekiej morza i wiatru i tykaniu ciszy starego miasta i w plusku wiosel gondolierów. Tysiąc razy zwodzą mię obce oczy i obce białe sukienki i obce czarne włosy — zanim ty ukazesz mi się naprawdę. Wszędzie słyszę melodye podobne do ciebie. Bo cały świat naśladuje ciebie, odkąd zamieszkałaś jak księżniczka w mojej duszy. I wszędzie chce życie śpiewać i ruszać się i pachnąć, jak życie twoje. I niema już dla mnie ucieczki przed twojem życiem. I cały świat mię boli jak twoja piękność. I ma płaszcz płomienny..." Patrzyłem na jej białe ręce. Na te ręce, które obejmowały mię za szyję, kiedy o niej śniłem na jawie...

I w duszy mówiłem :

„...Ricco, miasto, w którym jesteś, to twoje miasto. Słucha ciebie, jak czarny niewolnik. Chociaż jesteś dziczkiem. Rodzice twoi mają nieśmiałe i posłuszne oczy, kiedy z tobą mówią. Tak jakby oni byli dziećmi. Stare, książęce pałace nad ciemną wodą kłaniają się przed tobą głęboko. Chociaż masz czternaście lat. A szelest twej sukienki jest w słowach szepczanych we śnie przez mieszkańców starego miasta. W plusku wiosel poruszanych przez młodych wiosłarzy..." Ricca przestała recytować lekcję o Indyach. I powiedziała:

— Teraz wy macie mówić, bo ja skończyłam. Patrzycie na mnie, a nie mówicie...

Zaczerwieniłem się i uczułem : zgubiony jestem, bo ona wie, że jak w cud na nią patrzę. Odgadła jej pachnąca dusza czternastoletnia, że nie myślę o Indyach wschodnich, ale tylko o niej. Odgadła, że mówię cicho :

...Ricco, twoja piękność ma płaszcz płomienny... Spalone są moje myśli, bo dniem i nocą pławią się w tej piękności... żeby swój wstyd pokryć, rzekłem, marszcząc czoło:

— Dlaczego Ricca mówi do mnie „wy" ? Co to znaczy „patrzycie na mnie" ? Jeśli Ricca nie będzie uważała, nie nauczy się nigdy po polsku, tylko będzie zawsze mówiła jak facchino... papa będzie się gniewał...

Wiedziałem, że papa nie będzie się gniewał. Ricca wiedziała. I czuła, że ja wiem. I miała taką twarz, jakbyśmy oboje grali teatr.

A ja się czerwieniłem i patrzyłem do góry, przez wysokie okno, gdzie spotkałem się ze wzrokiem poranku zimnym i niebieskim.

— Musiał pan już zauważyć — mówił ojciec — jak Ricca zaniedbana jest we wszystkim... Naturalna rzecz...

Włóczyło się to od urodzenia po hotelach i badach... Żadnego wychowania, mimo najlep.szych chęci naszych. Moja zona, biedaczka... musiał pan zauważyć... jej życie wisi na włosku...

Zona kaszlała w drugim pokoju. Ale on powtórzył bezlitośnie:

— Życie wisi na włosku...

Ricca patrzyła uważnie na swoje nogi, w czarnych pończoszках i trzewiczkach. A ojciec mówił :

— Bo ja naturalnie nie mam czasu... Mój dom handlowy w Łodzi... Dobrze powiedział Bosio... Jan Bosser właściwie, także kupiec... ale my go nazywamy „Bosio”... dobry chłop... — powiedział, że nie człowiek ma interesa, tylko interesa mają człowieka... Co ? Bóg świadkiem, nie mam czasu... raz do Wenecji, raz do Kairu, do Reichenhaflu... gdzie właśnie są, bo one ciągle w ciepłych krajach... Przyjeżdżam na krótko, na kilka tygodni. Ale to nieszczęście, nie życie... Serce się kraje. Ricca śmieje się i robi zbytki, ale także źle wygląda... Nasz pierwszy, o rok od niej starszy, umarł na wiosnę... Tak...

Westchnął — a raczej coś w nim westchnęło, i dodał z smętną brutalnością :

— ...Także na suchoty, na suchoty...

Był jakiś ciężki smutek w pokoju. Pomimo, że przez okno zaglądał jasny poranek. I pomimo, że Ricca spoglądała na nas dziecinnie, pogodnie... I pomimo, że ojciec był czerwony i barczysty i nieśmiało ordynarny...

Mówiłem w duszy :

...Jesteś tak mała, Ricco, i lekka jak piórko, a przerosłaś wszystko, co jest na świecie i ciężkie jest moje serce z myśli o tobie... jakbym kamienie

w niem nosił... Teraz się łudzę, że kocha mię twój wzrok i uśmiech... ale za godzinę będą twoje usta i twarz i ręce moja męką... i niema w tobie jednego rysu, ani wyrazu, który nie będzie się znęcał nade inną...

— A co to kosztuje ! — mówił ojciec — a doktorzy, a hotele a... tego!... Jabym tu pół dnia nie mieszkał, gdybym nie musiał... Bez żadnych znajomych... A miasto smutne, cmentarz, nie miasto...

— Pomarańczy! — prosiła Ricca.

Ojciec podał jej z westchnieniem pomarańczę.

— Chciałbym wymyśleć dla niej inne imię — trapił się — bo „Ricca” to nic... Nie podoba mi się... Tak ją nazwał maître d'hôtel w Nizy, i od tego czasu... Ale ja nie będę przecie nazywał rodzzonego dziecka tak, jak zechciało się kelnerowi... Ryszarda, to za długie... co?...

Ricca rzucała do góry i łapała pomarańczę.

— ...Bep — po ! Bep — po! — wołał jakiś głos zachrypły na Riva degli Schiavoni.

— Niech pan do niej zawsze tego... po polsku. Z zasady. Przy lekcjach i wogóle... Jak ona do pana po włosku, to pan do niej po polsku... Z zasady. Inaczej się nie nauczy. Ostro, rozumie pan, ostro!...

Matka kaszłała w drugim pokoju. Ricca upuściła pomarańczę... i w tej chwili ja i ojciec rzuciliśmy się na ziemię.

— Tam zaleciała... pod szafę — sapał ojciec, czerwony, klęcząc na kamiennej podłodze.

cracocococooooocrDCOCTJcrjuj

Kiedy twarz jego była blisko mojej, zobaczyłem, że ma oczy duże, jak wół, biadoniebieskie i nieporadne...

— Może pod kanapą — zauważyłem.

Ricca siedziała spokojnie na fotelu ; ruszając nogami, przypatrywała się z rzeczowem zajęciem...

— Co Ricce upadło ? — dowiadywała się stroskanym głosem matka, z drugiego pokoju.

— Ma czarne oczy i włosy — mówił ojciec dalej

Ricce, szukając pomarańczy — bo się tu urodziła. Ten chłopak, nieboszczyk, miał jasne, jak matka. wogóle był łagodniejszy... Niema pomarańczy... Za dwa lata może wyjść za mąż... co pan myśli? Może się zdarzyć. Nie wie się, skąd i jak... Powiem panu w tajemnicy, że ona mnie kocha więcej, niż matkę... Musiał pan zauważyć... co? Ha ha... Ale niech pan tego nie mówi... Choć z matką jest ciągle, a ja przyjeżdżam do nich tylko na kilka tygodni... Te psia krew, interesa... mam dom handlowy... Niema pomarańczy.

— Jest pomarańcza — szepczę i czerwienię się. Była pod fotelem, na którym siedziała Ricca, pod jej białą sukienką.

— O... grazie... tante... — mówi Ricca z uprzejmym uśmiechem i czeka na podjęcie pomarańczy. Głowa mi się kręci, dotykam się małych nóg, sukni...

Poprawiam :

— Nie grazie, tylko: dziękuję.

— Dziękuję — powtarza Ricca.

— Tak, tak — cieszy się ojciec. Otwiera okno:

— Strasznie gorąco! — wzdycha...

...Jest strasznie gorąco. Idę po kamieniach Rivy, po tym dziwnym bruku weneckim, który jest taki, jak skorupa muszli, a ze mną idzie, jak cień, myśl o dziewczynie w białej sukience. A ta myśl ma formę zapachu pomarańczy. Tak, jakbym szedł z duchem pachnącym. Myślę, że Ricca jest czarodziejką. Odtąd, ile razy przycisnę usta do złotego owo; i, będę czuł Riccę... będę czuł Riccę. Będę drżał, tak, jak przed chwilą, kiedy podejmowałem z pod jej nóg pomarańczę. Ricca idzie ze mną i jestem w gorącym odurzeniu, w dusznej kąpieli pomarańczowej woni... Ricca idzie ze mną...

...Co to jest miłość? Ani szczęście ani nieszczęście, tylko cały świat w jednym zapachu, w jednym tonie, w jednym kolorze... Od rana do wieczora słyszę, widzę i czuję to samo. A noc jest tak piękna, jak dzień. Bo miłość to ciągły sen... Idę, jak pijany, po skorupie muszlowej, po dziwnym bruku weneckim, niby nieruchomym i twardym, a przecież falującym skrycie, tajemniczo, jak to morze, po którym płynie umarłe miasto miast. myślę, że na progu życia zdarzyła mi się bajka. Myślę, że zbłądziłem i zamiast wejść na drogę życia, wszedłem na drogę snu i może już nigdy się nie zbudzę.

Jest słoneczny uśmiech w powietrzu, choć niebo zaciągnięte i nie widać nigdzie żywych promieni. Stoję

na Piazzecie. Nie wiem, jaka jest pora dnia. Gondolierzy wypoczywają pod cieniem czarnych dachów swych łódek i szepczą jak w nocy. Opowiadają sobie zapewne, że tędy przechodzi czasem Ricca.

Jest wogóle noc słoneczna. Między tem miejscem światem jest gruba, nieprzejrzysta zasłona. X'ene cya jest poza światem. Tu się nic nie czuje, oprócz tego sennego koła wody, starych wież i nieba, na które się patrzy.

...Z nieba złotego padają krople deszczu. Nie wiedzieć jakim cudem. Stałem zapatrzony w niebo i wodę, przy stacyi małych parowców kursujących gęsto i regularnie, juk sekundy, po głównym kanale miasta.



A kiedy tak stałem nad brzegiem, uczułem po chwili obejmujące mię ramiona... Całkiem wyraźnie, dokładnie. Wiedziałem, że Ricci niema przy mnie a mimo to... odwróciłem się; dałem się znowu zwieść, po raz .setny, tysięczny... Przytem drżałem z gniewu na siebie, bo dopiero zeszłej nocy postanowiłem sobie już nigdy o tej dziewczynie nie myśleć.

— Ostatni czas, żeby wyjechać z Wenecji — powiedziałem do siebie głośno i energicznie — natychmiast albo nigdy!...

w tej chwili nadjechał z szumem i pluskiem mały, dymiący i sardynkami pachnący statek. Wysiadło z niego kilka osób, a między innymi młody człowiek, którego widok od razu sprawił mi przykrość, zanim jeszcze uprzytomniłem sobie, kto i skąd jest, i czy go znam, czy nie znam.

Przystąpił do mnie i zdaje się, podał mi rękę, dosyć, że trudno mi już było jego... nie poznać...

— Przypominam sobie — rzekłem z zakłopotaniem i z trudem dobierając wyrazów — widziałem pana, widzieliśmy się przed kilku laty... U mego wuja, Adama... Miałem wtedy szesnaście lat. Wtedy była niedziela... Wiem dokładnie... Bardzo się cieszę... Przypominam sobie...

Czułem niesłychaną przykrość. Wpadło mi na myśl, że on się nazywa Walewski.

Patrzył na mnie zimnym wzrokiem.

— .Maturalnie, że pan sobie przypomina — powiedział cicho...

dodał jeszcze ciszej :

— Tam, w Wiedniu, na pana czekają...

— Wiem — odpowiedziałem, trzęsąc się trochę — zasiedziałem się cokolwiek... w Wenecji.

Uśmiechnąłem się i powtórzyłem:

— Zasiedziałem się... Daję tu między innymi lekcje czternastoletniej dziewczynie... Ale to nic jest główny powód...

Mój panie...

Naraz trzasnąłem laską o balustradę mostu. Z taką bezrozumną wściekłością, że młody człowiek nabrał natychmiast dużo uprzejmości w wyrazie oczu i w całej postawie.

— Mój panie, siedzę tu, bo mi się tak podoba... Bo jestem wolny, jak ptak, rozumie pan... I choćbym miał tu siedzieć całe życie...

Zakrztusiłem się.

— Ależ... — zaczął młody człowiek z miłym uśmiechem — ależ ja nie robię i nie mam prawa robić panu wymówek... Chciałem tylko zwrócić uwagę pańską na to, że czas leci... czas leci... To jest, że w Wiedniu na pana czekają... Na przykład, wuj pana... Czas leci... i wpisy na uniwersytecie niedługo się skończą... I tak nie wiem, czy już nie jest za późno... i czy pan nie straci roku... Pan wie, co znaczy za późno... To chciałem powiedzieć...

Ogarnął mię nagły smutek.

— A pan już gdzieś daleko zaszedł... co? — spytałem niespokojnie.

— Ja niedługo skończę.

Mój niepokój i smutek rósł coraz więcej... Mówiłem :

— Niemiła rzecz... Dawno gryzie mnie myśl, że zaraz na początku drogi niejako usiadłem gdzieś na kamieniu i zasnąłem, a tymczasem inni są już daleko... moi koledzy dawno już mnie ubiegli... Jestem cokolwiek słabego

charakteru, przyznam się panu... Zresztą bardzo pana przepraszam, że przed chwilą uderzyłem laską o most... Wiem, że powinienem być już od kilku miesięcy w Wiedniu, (gdzie mi jest trochę zimno i obco...) i praw się uczyć... Bóg zesłał mi tu pana... Może jeszcze nie jest za późno? Pan dzielny człowiek, pan z pewnością nigdy nie traci czasu... Czy pan kiedy spał na lekcji greki? Do stu dyabłów, jeśli sobie pomyślę, że bądź co bądź kretynem nie jestem... a z powodu zagapienia się niejako... Zresztą powiem na swoje usprawiedliwienie, że wahałem się bardzo.

czy iść na prawa, czy, na przykład, na filozofię... i siedziałem tu poniekąd dla namysłu... Ale co tu długo się zastanawiać; zrobię to, co wszyscy, co wszyscy... I powiem panu, że mimo wszystko mam jednak szczęście... ha... ha... Zacząłem się śmiać, ale na widok surowej twarzy młodzieńca zaraz przestałem. Przepraszam pana — rzekłem zmieszany — chciałbym tylko zapytać, czy podoba się panu imię Ricca? Bo tak nazywa się panna, której udzielam lekcji. Wuj Adam z pewnością zachodzi w głowę, jakim cudem moge żyć... już prawie pół roku — z tego, co mi dał na drogę... Otoż przykro się przyznać — te pieniądze od wuja wydałem przez nieuwagę mniej więcej za tydzień, a potem... ?le było. A propos głodu, myślałem, że to rzecz znacznie realniejsza, a to tak samo nierzeczywiste, jak inne wrażenia życia; zdaje się panu chwilami, że to nie pański głód, tylko... wogóle głód... i choć pan używa różnych wyszukanych cierpień, to jednak... Ale pan się niecierpliwi, więc przejdę do chwili, kiedy poznałem na Murano polską rodzinę, z którą odtąd codzień się widuję... Uczę małą Riccę, która zapomniała po polsku... Prawie ją kocham — mianowicie: tę rodzinę... Strasznie smutni ludzie... A Ricca ma ogromne, czarne oczy. Niech pan sobie wyobrazi, że nawet dostaję płacę i od dawna nie byłem głodny... A najpiękniejsze są jej ręce... — Ale pan wraca już nareszcie do Wiednia? — przerwał mi nagle Walewski.

Uczułem strach i jakiś wstyd sinutny... A młodzieniec dodał cichutko:

— Bo przyznaję, że wuj pański polecił mi nakłonić pana do natychmiastowego powrotu... Westchnąłem ciężko : — Tak, obiecuję... Wracam...

Walewski szybko się oddalił. Nie wiem nawet, czy się pożegnał. A w mojej du.szy zaczęły padać łzy, tak, jak przed chwilą deszcz ze złotego nieba.

I wstydzilem się, że mówiłem temu człowiekowi o Ricce.

VIII.

Przez owe cztery miesiące weneckie, mieszkałem na ulicy tak wąskiej, iż wystarczyłby jeden krok, żeby się dostać przez okno do domu stojącego naprzeciw. I gdybym był złodziejem, a w mieszkaniu visavis rezydował bankier amerykański, byłbym przez te kilkanaście tygodni zarobił dużo pieniędzy i przyszłość moja byłaby zapewniona. Zresztą: naprzeciwko mieszkała starsza kobieta, pachnąca octem i szyjąca na maszynie.

Niezdrowa, smutna — .sympatyczna ulica. A w moim ciemnym pokoju było mi dlatego tak dobrze, że prawie nigdy mnie w nim nie było.

...Ale ostatniego dnia nie wychodziłem z mego ciemnego pokoju. Ze strachu, żeby nie widzieć Wenecji po raz ostatni. Dopiero wieczorem zszedłem na

dóci, żeby wrzucić do skrzynki list, który napisałem do matki mojej uczenicy.

Od samego ranka tytułowałem Riccę „moją uczenicą” — z jakiegoś rzewnego, pożegnalnego waryactwa — ile razy przemayałem do niej w myślach. Zdawało mi się, że zachowanie pewnej, choćby śmiesznej etykiety sprawi nam ulgę w chwili rozstania. Mówiłem do niej w myślach „moja uczenico” i głaskałem jej rękę i wstrzymywałem się z trudem od płaczu.

W rzeczywistości jednak Ricca dotychczas nie wiedziała, że odjeżdżam. Nie byłem na lekcji i nikt nie wiedział, gdzie mieszkam. Dopiero wieczorem napisałem do matki (ojciec przed kilkoma dniami pojechał był do swej Łodzi i do swych „psia krew” interesów). Napisałem całkiem po prostu, że dostałem telegram od krewnych i muszę natychmiast wyjechać.

Po napisaniu powiedziałem: punctum, basta. Byłem zdecydowany już się nie żegnać.

W pokoju było ciemno; ściśle rzecz biorąc, siedziałem w pudełku. I postanowiłem sobie nie myśleć, że to pudełko otoczone jest światłami i krzykami miasta. Co mi z tego, że za chwilę mógłbym być na S. Marco, przepelnionym ludźmi i muzyką! A że jeszcze dalej jest Riva degii Schiavoni... i przez okno wygląda pani z córeczką...

Jeżeli Ricca jest w tej chwili przy oknie, widzi jeszcze trochę niebieskiego, dziennego światła... Spojrzałem Ricce w oczy i zobaczyłem w nich kościół S. Maria delia Salute i okręt wracający do domu

i złotą kulę na Doganie... Pocałowałem Riccę w te oczy, w których był wieczór wenecki. Po raz ostatni. A potem powiedziałem : punctum. Dostyc żegnania. Zaczęłem płakać.

Podczas tego myślałem o różnych rzeczach, słyszałem różne głosy i urywki obojętnych rozmów, byłem w różnych miejscach. Na przykład, przed kościołem dei Redentore, gdzie stała na krześle pani o energicznych rysach, w rękę trzymała jedyny środek przeciw ukąszeniom komarów i mówiła z uśmiechem : — Lekarze którym płacicie tyle pieniędzy, sławni profesorowie medycyny nic niewiedzą, nic nie wiedzą... Słuchała jej w milczeniu garstka poważnych, choć obdartych osób, naiwne dziewczęta w czarnych szalach, trzymające się pod rękę... czarni chłopcy bez czapek i butów... starcy z bezzębnymi, otwartymi ustami. tylko ojciec mojej uczenicy powiedział głośno : — Tak, w rzeczy samej, ta kobieta ma rację.

Szarlatanka o rysach energicznych dygnęła na krześle i uśmiechnęła się z wdzięcznym podziękowaniem, jak aktorka. A ojciec mej uczenicy mówił: — Nie man czasu myśleć o życiu. Ale musiał pan zauważyć, że Ricca wprawdzie się śmieje i robi zbytki, lecz twarz ma białą, niebezpiecznie białą... Może być, że mówię za głośno... musiał pan zauważyć, że jestem smutny... To nieszczęście, nie życie. Kocham Riccę zanadto... A nasz pierwszy, o rok od niej starszy, umarł na wiosnę... — Siedziałem w ciemnym pokoju, płakałem i żegnałem się z Wenecją.

A po płaczu było mi lekko. Uśmiechnąłem się wstałem. — Jestem głodny — rzekłem do siebie głośno. Idąc przez ulicę patrzyłem niejako jednym okiem i słuchałem jednym uchem. Bałem się Wenecyi.

Ale czułem, jaki ona ma wyraz w tej chwili. Jak patrzy na mnie uroczyście, patrzy „ostatni raz”, jak chce mnie wzruszyć, żebym jej nigdy nie zapomniał. Jak zamieniła się — na pożegnanie w swój własny pomnik i symbol. Jak ubrała się — na pożegnanie — we wszystkie chwile szczęśliwe, gorzkie i boleśnie słodkie, które w niej na pozór przeżyłem. Jak mówi, że tylko na pozór, by tylko to jest na prawdę, co było. Jak mówi: ...stałam się prawdą, bo mnie tracisz.

Nie patrzyłem na nią.

W małej trattorii, niedaleko Rialto, piłem z malancholijnym nabożeństwem wino, które nie grzało mej krwi, jak zwykle; płynęło niby drżący strach w mych żyłach. Już pakowałem w myślach swoje manatki.

Już rzucałem w myślach pospiesznie, bez ładu, wszystko, co miałem, do kuferka. Między innymi kilkadziesiąt ołówkiem zapisanych arkuszy, kilkadziesiąt arkuszy niezaspokojonych pragnień, bólów, zawodów...

Pijąc wino w trattorii uświadamiałem sobie, że przez te senne miesiące gorączkowałem znowu na papierze. Przez ten cały czas zdawało mi się — przynajmniej raz na dzień — że mógłbym coś napisać, w czym byłaby Ricca i Wenecya... Piłem wino i cierpiałem.

Skąd we mnie bolesny, nieświadomy i senny popęd wracania do tego, co było, powtarzania życia, które minęło ?

Wszystko, co mi życie daje, muszę mu oddać, muszę jeszcze raz powtórzyć. I Wuszę, i to jest pragnienie silniejsze, niż najgorętsze pragnienia zmysłów. Siedziałem sam w trattorii i piłem. ...Ricco — mówiłem — nie mogę wziąć ciebie z sobą. Ale to nie jest mój boi jedyny. Cierpię, że nie mogę ciebie jeszcze raz stworzyć. Ani ciebie, ani twego miasta. Siedziałbym tu wieki, żeby tak cierpieć. Męczyć się w szalonej chęci stworzenia was po raz drugi. Dokąd mnie wołają, Ricco, dokąd? Walewski powie: do obowiązków! Ale ja tego nie rozumiem, nie wiem, co są moje obowiązki. Albo powie: do życia. Ricco, dlaczego ja go słucham, choć słowo „życie”, wymówione przez niego, wzbudza we mnie tylko lęk i odrazę? Dlaczego ja ich słucham?

Wstałem gwałtownie. Szedłem ciepłą, wodą pachnącą ulicą... Księżyc świecił.

— ...Na razie ich słucham — szepnąłem naraz. Ucieszyłem się tem słowem.

— Na razie powtórzyłem — na pewien czas. Ale kiedyś tu wrócę...

Kiedy wszedłem do swego pokoju, pomyślałem:

— Najgorszy wieczór... Ale jak minie ta noc, będzie mi lepiej, wyjadę z Iżejszem sercem.

położyłem się prędko... — — — ...Ale za chwilę zbudziła mnie — Ricca. Zapukała i zobaczyłem jej białą twarz w oknie. Uśmiechała się.

Ach, niespodzianka — szepnąłem radośnie. Za sekundę zśliśmy razem przez piae Św. Marka.

— Ostatni spacer — rzekła Ricca nie, nie ostatni. Iie mówmy, że ostatni.

Nie mówmy — powtórzyłem.

Z wdzięczności postanowiłem być z nią takim, jak zawsze, nie przyznać się, że kocham.

Ale spostrzegłem, że jej wzrok jest inny, dziwnie ciepły, wilgotny i pełen niewysłowionej tkliwości.

Zaczęła się śmiać cicho z mego zdziwienia.

— Patrzę inaczej... co? — spytała z radosną dumą.

— Tak — odrzekłem nieśmiało — inaczej... Jak kobieta...

— Jak kobieta — powtórzyła tryumfująco Ricca... Wzięła mnie za rękę:

— To sprawia noc. W nocy otwierają się tajemnice i kwitną... Czujesz, jak pachnie?

— Co to?

— Wenecya.

W powietrzu pachnęła dusza Wenecyi. Pachnął dziwnie czysty, jakby przez sny i światło księżycy przefiltrowany oddech królowej morza.

Odurzony i wzruszony szczęściem tego zapachu uściśnąłem Riccę silniej za rękę. I poszliśmy w kierunku wody.

Raz tylko obejrzałem się, bo barwy katedry weneckiej przeszły mi ogniem po plecach. Palily się jak słońca, jak rubinowe, szmaragdowe gwiazdy.

— Wenecya kwitnie — szepnąłem.

Ricca wskazata na PaJazzo ducale :

— A ten olbrzym o kilkunastu nogach, zanurzony do kolan w kamieniach! Jak rumieni się, płonie...

Potem objęła mnie rękami.

— A my dwoje...

Przeszło mnie ciepło jej ciała, z ciepłem wonnej nocy.

— Ricco... — szepnąłem z rozkosznym lękiem. Siedliśmy do czarnej łodzi i popłynęliśmy białą drogą.

— Nie oglądaj się — mówiła Ricca. Obejrzałem się natychmiast.

Czerwony olbrzym, do kolan zanurzony, wyciągał powoli jedną z swych nóg kilkunastu. Patrzył na mnie wieloma ślepymi oczyma i chwiał się i nieznacznie się podnosił...

Krzyknąłem ze strachu.

— A widzisz! — zaśmiała się Ricca.

Olbrzym jęczał. Niby echo w podziemiach więziennych. Ruszał się ciężko. Wyciągał z mozołem jedną nogę po drugiej, a z korzeni jego ciała marmurowego sączyła się krew.

— Płynmy prędko — powiedziała Ricca — zanim pałac podniesie się całkiem i rzuci się do wody.

— Co wtedy będzie? — spytałem, jak dziecko,

— Połknie nas biała woda...

Uśmiechała się przytem, jakby sama się nie bała ani trochę.

— Kocham cię, Ricco — mówiłem z dziwnym bólem.

Płynęliśmy tak szybko, że pałace nad wielkim kanałem migwały i mieniły się, jak perty kolorowe w słońcu.

— Ty jesteś starsza ode mnie, Ricco. Patrzysz na mnie, jak matka. Słodko mi z tobą.

Mówiłem te słowa z jakimś tajemnym drżeniem, jakoby w obawie, że Ricca nagle zniknie.

— Nie trzeba tak myśleć — szepnęła Ricca, wiedząc, iż z myśli moich może wyniknąć coś złego.

I nagle zrobiło się ciemno.

Ruszałem się ciągle, ale czułem, że nie płynę już po wielkim kanale, tylko po czarnych i krętych uliczkach wodnych, które są w środku miasta.

Naokoło siebie słyszałem tajemnicze pluski i szepty i dziwnie łaskoczące, jakby ałtasowe śmiechy.

Czułem, że oprócz mnie płynie dużo cichych, niewidzialnych i — nie wiedzieć dlaczego — wrogich mi istot przez wązkie uliczki i, że siedzę sam w czóźnie, które porusza się, jak strzała.

— Gdzie Ricca? — spytałem się z rozpaczą...

I w tej chwili mimo ciemności zobaczyłem Riccę biegnącą brzegiem, w tym samym kierunku, w którym płynęła łódka.

Biegła w krótkiej, białej sukience z rozpuszczonymi włosami.

Słyszałem szum ptasich skrzydeł i patrzyłem z nieopisaną tęsknotą na cudne, delikatne, szybkie nogi dziewczyny.

Chciałem krzyknąć do niej, ale nie mogłem. Jednocześnie wzmożyły się szepty i szmery otacza

jace fódkę. Lczulem zimne, śdzkie, jakby żabie dotknięcia i niepokojące ostre oddechy na karku i poza uszami i jakieś niezrozumiałe, jadowite słowa ruszające się, jak muszki, w mych uszach.

— Ricco ! — krzyczałem z wytężeniem duszy całej aie bez głosu. Kanały zwały się coraz bardziej, a mój strach rósł coraz więcej. I nagle ten strach zamienił się w bajeczną siłę i jednym skokiem dostałem się z czóźna na ład.

Poza sobą czułem ciemną chmurę złorzeczeń, pisku i łkających chichotów.

— Ricco! — krzyczałem bez głosu. Biegiem po ulicze wykładanej muszlami. Czułem wyraźnie, że to są muszle; cienkie, szkliste skorupy. I mimo szalonego pędu starałem się stawiać nogi możliwie lekko, żeby nie rozbić lub nie uszkodzić delikatnego bruku.

...Robiło się coraz jaśniej. Cudny jakiś niebieski ranek zakwitł na filarach, gzymsach i oknach domów.

Biegiem w powietrzu magicznie świecącym, po słabej i kruchej muszlowej masie, iskrzącej się, jak woda, po której tańczy słońce.

Skrecałem raz w prawo, raz w lewo. ...Biegiem po mostach zgrabnych i półkolistych, jak ciała kocie w skoku. Po mostkach misternie wyrzeźbionych z pianki bursztynowej i z różowych koralu. Patrzyły na mnie tajemniczo głębokie, niebieskie, czarne i bursztynowe oczy starych domów. Dźwięczały koło mnie, cichutko, jak serca bijące, małe.

na wodę spoglądające kościółki. Przelatywały zwieszane na dachach, albo ukryte w cieniach kamieni, ogrody jaskrawe, słodko, jak miłość, pachnące.

Biegłem po szklistych skorupach, zapadając się czasemA głęboko i pełen strachu, żeby nie przedziurawić swym ciężarem ulicy i nie wpaść do morza.

I nagle pomyślałem :

Za chwilę muszę wyjechać, więc trzeba biec jeszcze prędzej.

Świat się przede mną otworzył. Wydostałem się z ciemnego wiru uliczek na jasne miejsce, gdzie pachnęło morze.

Z daleka czerwieniło się Murano.

Leciałem, jak wiatr, pod domami. Usłyszałem szelest ptasich skrzydeł; za mną leciała Ricca.

Obejrzałem się, żeby się do niej uśmiechnąć. Ale myślałem :

Za chwilę muszę wyjechać.

Ricca mnie dogoniła. Czułem, jak przywiązała się włosami do mej ręki.

...I włosy jej natychmiast wyciągnęły się, jak struny. Biegłem.

...Ricca upadła. Jej ciało wlekło się jak srebrny, martwy ptak, po kamieniach, mostach...

— Prędzej — poganiałem się — prędzej... Serce moje było pełne płaczu. Ale mówiłem do srebrnego ptaka:

— Muszę się spieszyć...

Nagle uczułem, że stoję i nie oglądając się, jąłem

ciągnąć z rozpaczliwą, podwójną siłą, aż... włosy się urwały.

...I w tej chwili ciało w krótkiej sukience zsunęło się cicho, łagodnie, jak płatek białej róży, do wody. ...Rzuciłem się za nią —

Zapukano silnie do drzwi mego pokoju. Otworzyłem oczy. Westchnąłem głęboko.

Siadłem w łóżku, jeszcze ślepy, jeszcze boleśnie rozkochany w nocy. Westchnąłem, jak po płaczu.

Szepnąłem kilkakrotnie: „Ricca”... A potem spojrzałem słońcu w twarz i przypomniałem sobie, że to dzień, w którym wyjeżdżam z Wenecji.

I naraz byłem prawie wesoły, w każdym razie obojętny. Czułem, że jestem w sto razy lepszym położeniu, niż n. p. wczoraj wieczór. Cieszyłem się, że dzień jest pogodny.

Spojrzałem na zegarek i przekonałem się, że mam trzy godziny czasu do pociągu.

...Możnaby jeszcze raz zobaczyć morze — pomyślałem bez sentymentu, z czysto zmysłowego pragnienia.

A przede wszystkim cieszyłem się myślą o śniadaniu. Po pierwszym papierosie wsiadłem na okręt i pojechałem na Lido. Pomimo wczesnej pory było już gorąco, szedłem bez przyjemności przez wyspę. Siedziałem z godzinę nad morzem, ale patrzyłem na nie zimno. Bolały mię z lekka zęby.

... Przyjechałem tu wyłącznie dlatego — uspra

wiedliwiałem się przed samym sobą — żeby z powrotem zobaczyć Wenecję w rannym świetle.  
i natychmiast wróciłem na okręt.  
Stałem dla oczekiwanego widoku na przednim pokładzie. Spuściłem ciężką, jeszcze senną głowę i leniwie oparłem się o poręcz.  
...Żeby tylko dostać coupé dla siebie — marzyłem. Słońce grzało mnie w plecy. Jakaś rodzina włoska rozmawiała za mną półgłosem. Panna w jasnej sukni stanęła nagle przy mnie i rzuciła do wody wielki bukiet owinięty w czerwony papier.  
Bukiet zaczął tańczyć na falach, pochodzących z ruchu naszego okrętu. Nie przejechaliśmy go na szczęście. Popłynął ostrożnie, bez pośpiechu, na lewo, w kierunku Malamocco.  
— Ma dobry kurs — rzekłem do siebie tonem człowieka znającego się na rzeczy.  
Zacząłem go śledzić. Widziałem go przez kilka minut doskonale na spokojnej wodzie. Ale potem okręt zwrócił się nieznacznie na prawo i mimo wykręcania szyi nie mogłem nic zobaczyć.  
Do stu dyabłów — gniewałem się.  
Musiałem przejść na tylny pokład, gdzie po kilku próbach znalazłem wcale niezły punkt obserwacyjny. Na tle jasnopopielatym poruszał się czerwony przedmiot.  
— Hultaj jedzie, jak stary wilk morski — mruczałem z uznaniem.  
Trzymał się kursu.

Stałem i patrzyłem. Potem przekonałem się, że właściwie widzę już raczej wyobraźnią, niż okiem. — Gdyby tak mieć przy sobie teleskop... Ale nasz okręt stanął i zobaczyłem, że jesteśmy już na Piazzecie.  
...Miałem niemiłe uczucie, tak jakbym był o czymś bardzo ważnym zapomniawszy...  
— Aha ! — przypomniałem sobie — zagapiłem się i nie widziałem po raz ostatni... Wenecji w rannym świetle.  
...Ziewnąłem.  
Za godzinę siedziałem w przepelnionym pociągu wiedeńskim, pędzącym gwałtownie. Pasażerowie cisnęli się do okien, żeby ujrzeć jeszcze choć kawałek laguny. Ale ja siedziałem spokojnie w kącie i czułem, że niedługo zasnę.

#### CHARAKTER.

(Kilka słów o mej przyjaźni ? Ferdynandem).



I.

Ferdynandowi spadła przed tygodniem cegła na głowę. Leży u mnie w domu, gdzie mieszka wprawdzie także Adela (od środy popielcowej), ale jest zresztą dosyć wygodny i miejsce. Lekarz zapewnia, że stan chorego jest beznadziejny. Nawiasem mówiąc, nie myślałam nigdy, że ja go przeżyję.

Przychodzi czasem i Misio, po zamknięciu swej apteki, co mi jest bardzo przyjemnie, bo zawsze weselej siedzieć przy chorym, gdy się ma towarzystwo. Wieczorem grywamy niekiedy po kilka partyjek.

Czasem mówi do mnie Misio:

— Ty potrzebujesz więcej snu od nas, bo dużo pracujesz...

Więc ja idę spać, a oni czuwają we dwójkę.

Dawniej ani Adela ani Misio nie lubili Ferdynanda, ale teraz, poczciwe dusze, siedzą przy nim, bo doktor powiedział, że stan jest beznadziejny.

Są tak gorące noce, że mimo otwartych okien śpię podłe i z przerwami, jak gdyby nie Ferdynandowi, ale mnie spadła była cegła na głowę.

Rano budzę się z uczuciem, że przez noc działy się ze mną awantury piekielne i gorączkowe romanse. Niby się spało, a niby się nie spało. A o ile są sny, figuruje w nich Ferdynand i jest w nich obok setek niedorzeczności wiele t. zw. głębszej prawdy, a nawet logicznego związku.

Sni mi się zazwyczaj, że powodem choroljy Ferdynanda nie jest przypadek, tylko ja. To jest, że ja rzuciłem na niego cegłę.

I tak zeszłej nocy stałem niby przed sądem.

Sala, trybunał, prokurator, adwokaci... wszystko, jak w rzeczywistości.

Zadają pytania, a ja odpowiadam.

Mówię, że nazywam się Piotr Kopa, że urodziłem się go kwietnia ego roku... wszystko, jak jest.

— Czy przyznajesz się pan do winy?

— Do jakiej ?

— Że rzuciłeś cegłę na swego przyjaciela.

Sam nie wiem. Ale po pewnym namyśle przychodzę do przekonania, że tak.

— Rzuciłem.

Niechybnie rzuciłem, myślę, bo już dawno miałem do czegoś w tym rodzaju — ochotę. Więc mówię głośno; „Tak”.

Ale na zapytanie: „dlaczego?” — trzęsę tylko głową, bo nie chce mi się spowiadać z najprywatniejszych przykrości.

Gwizdzę.

Patrzą im beczelnie w oczy i gwizdzą, jak zatwardziały rozbójnik. Wysoki trybunał obsypuje mie

jednak badawczymi spojrzeniami, które mię niepokoją i gryzą, jak muchy.  
Więc z zakłopotania mówię niestworzone rzeczy. Mówię długo i z tak subtelnym dowcipem, że aż mię boli mózg.  
Jakbym nie tylko miał rzadką wymowę, ale i czterdzieści stopni gorączki. Czuję, jak słowa moje rodzą się boleśnie w głębiach mego mózgu, a potem je widzę, jak maszerują w niezliczonych szeregach... Mówię, jak Ferdynand zepsuł mi życie i jak ja musiałem go za to zabić. Udaje mi się kilka bajecznie skomplikowanych zdań, charakteryzujących Ferdynanda i mój stosunek do tego człowieka. Mówię...  
Potem zmienia się nagle dekoracja. Znika sala, znika wysoki trybunał... Jestem najoczywiściej skazany na śmierć przez powieszenie. Szubienica jest tak pierwotnie charakterystyczna, jakby była narysowana przez małego draba na szkolnej tablicy. A katem jest Ferdynand. Na tę uroczystość wyzdrowiał naturalnie kompletnie. W oczach ma swój zwykły wyraz przyjaźni... surowej, że tak powiem — nieubłaganej. Rzucam mu wzrok, w którym jest gorąca prośba o małą okruszynę litości.  
Ale on trzyma mię już w żelaznych kleszczach przyjacielskiego objęcia.  
— Nie mogę ciebie nie powiesić — szepcze — przecież jestem... charakter.  
Widzę, że niema ratunku. Czuję już na swem gardle jego ręk. Mimo to jeszcze proszę...

— Zlituj się, zlituj się...

— Nie, nie — odpowiada Ferdynand — nie byłbym godzien twej przyjaźni, gdybym pozbawił cię dobrodziejstwa kary, która ci się sprawiedliwie należy.

...Budzę się. Naokół mnie jeszcze ciemno. Wstrząsa mną chichot złośliwej radości... Przez zbudzenie się zepsułem Ferdynandowi rzadką sposobność do zadokumentowania przyjaźni.

...A byłby mię stracił bez pardonu, — myślę, dzwoniąc jeszcze zębami, — bo to charakter.

Ferdynand jeszcze żyje. Adela leży na kanapie w swoim turkusowym szlafroku.

— Nudna historia — mówi, spoglądając na chorego. Ona ma już taki dziwny sposób.

— Myślisz, że to jeszcze długo potrwa? — pyta po chwili.

— Cicho — mówię ze strachem — nie tak głośno.

— ...Czy długo potrwa?... — powtarza Adela, jakbym ja nie był dosłyszał.

— Lekarz mówi, że najwyżej tydzień... Adela ziewa.

— Nawet Misia dziś niema...

— Przyjdzie... Jeszcze nie zamknął apteki...

— Nudna historia... Po chwili:

— Dzisiaj rano otworzył na chwilę oczy...  
— Kto?...  
— No ten... charakter.  
— Cicho!...  
— Ferdynand... I spytał, co ja tu robię... Patrzę na nią z przestrachem.  
— A ty co powiedziałaś?  
— Oho, jał się boisz!...  
— Co powiedziałaś?  
— Że go pielęgnuję...  
— I że u mnie mieszkasz?... Co?...  
— Nie! Icrzyczy Adela. A po chwili (ironicznie):  
— Uspokój się...  
— Bo to nie miałoby sensu tłumaczę z zakłopotaniem.  
— Hm...  
Wstała nagle, przysunęła się do mnie...  
— Ten charakter nie był nigdy twoim przyjacielem — szepnęła, mrużąc oczy; — tylko... ty się go boisz... On ci psuł życie...  
— Przestań!... Przecież on tu leży, na miłość Boską...  
Przysunęła się jeszcze bliżej...  
— Mówię cichutko, cichuteńko.. "Zaczęła głaskać delikatnie mą rękę.  
— Przyznaj... — prosiła dziecięcym głosem — przyznaj, że on ci psuł życie, przyznaj, że on ci psuł...

— Cicho. O co ci chodzi?  
Chodzi mi o to, żebyś przyznał... Mnie, tylko mnie...  
— On był...  
— Tylko nie mów, że „charakter”, bo to powtarzasz wszystkim po tysiąc razy, że aż niemiło... Przyznaj...  
On mówił mi zawsze prawdę.  
— No i co? to ci było przyjemnie?...  
— Masz taki... przeraźliwie kobiecy sposób...  
— Powiedz, powiedz... Przyznaj, że wolisz i mnie, i Misia, i wszystkich więcej, niż jego... Teraz możesz przestać udawać, bo on i tak umiera...  
— Cicho!  
— Czy nie mówił lekarz, że najwyżej za tydzień...  
— Jezus Marya!  
— Ależ on nie słyszy, bezprzytomny... Mówię ci, że możesz wreszcie przestać udawać... Bo mnie aż korci, że wy, mężczyźni, z tych... „porządnych domów”... zawsze coś udajecie... Waszych pań nie znam... ale wiem, że wy mężczyźni jesteście okropnie śmieszni. Powiecie sobie o kimś raz na zawsze: „to jest mój przyjaciel”, chociaż tego kogoś właściwie nie z.iosicie na oczy... i potem trzymacie się go wiecznie...  
— Tak.  
— Albo on was trzyma... Ciebie trzymał Ferdynand.

— Tak...

— Nareszcie! Przyznajesz się... Powiedz, że wolisz mnie, Misia... nie wiem kogo od niego...

— Tak...

— Nie lubiłeś go nigdy, nigdy...

— Nie.

— Ha, ha... nareszcie, nareszcie!... Ach, ty!...

— Nie całuj mnie.

— Śmiać mi się chce, że przyznałeś... Powiedz : nie głupio to grać taką komedię...? Co?... Powiedz... ha, ha!... Nie śmieję się.

— Powiedz... dlaczego zaprzyjaźniłeś się z nim... dlaczego? Bo jest „charakter”? Co?

— Bo jest charakter.

— Ha — ha!...

— A ja jestem słaby. Dlatego. Charakter jest zawsze głodny, potrzebuje zawsze drugiego człowieka, aby na nim pokazać, że... jest. On mnie — potrzebował...

— Głupstwa... nie rozumiem. Ale to wiem, że Ferdynand ciebie męczył, psuł ci życie... Obgadywał twoich przyjaciół.

— Nie obgadywał, tylko mówił o nich prawdę.

— To wszystko jedno. Ty jego prawdy bałeś się, jak ognia, jak nieszczęścia... Przyznaj.

— Przyznaję.

— Odkąd go znasz... masz uczucie, że wszyscy ludzie źli, że ty sam jesteś głupi... przyznaj!... Nie j

wierzysz już i w siebie... nie wierzysz już, jak dawniej, w siły swoje, czy zdolności.

Otwierał mi oczy... także i co do mnie samego. Z przyjaźni...

— Ha, ha... Otwiera! ci oczy! To znaczy zabierał ci wszystko, co masz... wszystko, o czym myślisz od rana do nocy... wszystko, co sprawia ci radość...

— Tylko złudzenia... Z przyjaźni.

— Ha, ha... Przyznaj, że właściwie jedno twoje złudzenie było ci miłsze, niż wszystkie jego prawdy... Powiedz!

Przyznaj, że ile razy się z nim spotkałeś, biło ci serce ze strachu, żeby nie obdarował cię jakąś nową, okropną prawdą... Przyznaj!

Na miłość boską... on tu leży.

— Nieprzytomny!... A ty pragniesz z pewnością, żeby już nigdy, nigdy...

— Nie kończ. Zlituj się...

— Przyznaj!

Zerwała się, bo nadszedł Misio, który zapewne dopiero co zamknął swoją aptekę.

III.

Adela jest dziwną kobietą. Wczoraj mówiła jeszcze jak najgorzej o Ferdynandzie, a w nocy przesiedziała znowu kilka bezsensownych godzin z poczciwym Misiem przy jego łóżku. Mnie kazali się położyć.

— Idź już — rzekł do mnie Misio: — potrzebujesz więcej snu, bo dużo pracujesz...

Dobry chłopak.

Swoją drogą.... jak zdarzy mi się raz noc przyjemna bez snów i przewidywań, to zawsze jakiś ?łupi przypadek musi mi tę uciechę skrócić.

By' ieszcze ciemno, kiedy nagle zbudziła mnie Adj.

— Cóż znowu? — pytam niezbyt uprzejmym

— Proszę cię, wstań. Poco?

— Ferdynand jest przytomny i mówi. Idź do

— Dobrze... za godzinę.

— Nie za godzinę. Zaraz.

Chce mi się płakać, tak jestem śpiący. Ale z jakiegoś wstydu powoli się podnoszę.

— O co chodzi? — mruczę.

— On chce z tobą pomówić. Chce się o coś spytać.

Wstaję i pijanym krokiem idę do drugiego pokoju.

— Dzień dobry — mówi jakoś dziwnie wesoło Misio, który leży napół rozebrany na kanapie.

Jest całkiem ciemno, i tylko pali się świeca przy łóżku Ferdynanda. Ale odpowiadam:

— Dzień dobry...

Ferdynand ma oczy otwarte i wcale przytomne, jakby ciekawe.

— Która godzina? — pyta mnie cicho.

Chyba nie na to kazał mnie zbudzić — myślę z pewną pasją.

Nie wiem — mówię.

— Pewno spałeś?

— Tak... właściwie.

Spogląda na mnie z badawczym spokojem.

— Tujest... Adela?...

— Tak — mówię patrząc na ziemię; — ty ją znasz...

— Znam... ale nie wiedziałem, że ona u ciebie mieszka...

Robi mi się coraz nieprzyjemniej.

— A... mieszka.

Nie wiedziałem... mówi Ferdynand zimno i ciągle niby pytająco.

Na szczęście odpowiadam mu ze złością w myślach; — gdybyś był wiedział, powiedziałbyś mi o niej zaraz jakąś... prawdę... Dlatego ją ukrywałem.

— To dziwne szepcze Ferdynand.

Ona mnie kocha — mówię głośno, jak w jasny dzień.

Zresztą te słowa „ona mnie kocha" wypowiadam z pewnym jakby wstydem i niesmakiem. Oglądam się, czy kto nie słucha.

— To dziwne powtarza Ferdynand. A potem pyta, wskazując na kanapę:

— Ten... pan?

— Najomy... — cedzę przez zaciśnięte zęby.

I dodaję: — Misio.

Pauza. Komiczne słowo „Misio” świergocze jeszcze w ciemnym pokoju... Żenuję się, jakbym je wymówił z nieuwagi, całkiem mała a propos.

— Musi być dobiy znajomy — zastanawia się Ferdynand z obłudnym zdziwieniem — bo jest tu co wieczór, co noc... I nagle pyta:

— Przyjacielu?

— Tak...

— Nie wiedziałem nic o tym przyjacielu.

Na szczęście mówię w myślach, z taką złością, jak przedtem; — żałuję, że nie ukrywałem przed tobą zawsze ludzi, których lubię...

Ferdynand milczy. Nagle słyszę jego głos, dziwnie drgający, inny, niż zwykle, pełen obłąkanego strachu :

— Powiedz mi... czy... ja umrę niezadługo? Pytanie proste, jak szpilka. O mało nie wybuchnąłem nerwowym śmiechem...

— Co? mruczę celem zyskania czasu do orientacji.

Jemu świecą się chciwie oczy.

— Żądam od ciebie prawdy... odpowiedzi: czy umrę niezadługo?

Żąda prawdy... — myślę z jakąś niepojętą straszliwą satysfakcją — żąda prawdy... On, który mię zawsze karmił prawdą... Chce raz wiedzieć, jak to smakuje...

Patrzę mu w oczy. Widzę, że Jest w nich cieką wość głodna, jak pies... ale i strach, i strach i strach..

Jakieś łkanie wstrząsa mą duszą. W jego oczach jest strach... Patrzy na mnie i sam nie wie, że prosi o — litość. Ustami prosi: prawdy!... ale oczyma błaga: kłam, kłam... na miłość Boską...

Tak, jak ja nieraz błagałem go o trochę kłamstwa. Ale on... charakter, nieubłagany przyjaciel., nie chciał, nie chciał...

Za tydzień — szepczę, jak we śnie. Wytrzeszczył oczy.

He?... Co?...

Za tydzień — powtarzam wyraźnie. Chwyta mnie za rękę, jakby chciał, żeby go wyciągnąć z wody,

— Koniec? — pyta — za tydzień?...

Kiwani głową. Patrzę spokojnie na jego twarz, jakby nie była prawdziwa, tylko z wosku. Patrzę, jak ta twarz upada na poduszki.

Przytem myślę: musi być koło czwartej, bo słychać jak budzą się ptaki w ogrodzie miejskim.

Oglądam się... i na palcach wychodzę z pokoju.

IV.

Minął tydzień, a... Ferdynandowi coraz jest — lepiej.

— On z każdym dniem zdrowszy — mówi Adela — za kilka tygodni będzie grał w kręgle.

Ona ma już taki dziwny sposób.

To pozorne—odpowiadam, macluijąc ręką lekarz mówił...

A jednak Ferdynandowi z każdym dniem lepiej — Ja wierzę tylko w chirurgię — rozprawia w czorami Misio — czego nie widać, nie dotknąć si o tem wie dzisiejsza medycyna tyle, co ja, albo Adel Bądź co bądź... traktujemy z nieznacznie mni szym szacunkiem naszego doktora. Po sobotniej v życie u Ferdynanda był sam zdziwiony. Lekarz nie powinien być zdziwiony. — Ty potrzebujesz więcej snu od nas — rzekł mnie Misio onegdaj wieczorem — my z Adelą p siedzimy przy chorym... Otworzyłem usta.

Przecież on już śpi w nocy... i nikt nie f trzebuje przy nim siedzieć.

— Hm... mruknał Misio, jakby, z pewnym smutkiem.

Także Adela jakoś zmarkotniała.

— W każdym razie zostań dziś na kolacyi — rzekła po chwili z westchnieniem do Misia.

Przyzwyczaili się już do pielęgnowania chorego. Dobre dusze.

Muszę teraz częściej rozmawiać z Ferdynandem.

Staram się, żeby zapomniał o tem, jak mu przed tygodniem powiedziałem prawdę...

Zresztą mam uczucie, że on w tę pierwszą prawdę, którą mu powiedziałem, wierzył co najwyżej — tydzień.

Pip Teraz ma prawie rumiane policzki, a na ustach coś w rodzaju tryumfującego uśmiechu.

— Jakoś mi lepiej — mówi, patrząc na mnie z ledwie dostrzegalną ironią.

— Chwała Bogu — szepczę, spoglądając w sufit.

— Tydzień już minął...

— Minął — potakuję, z miną skompromitowanego Człowieka.

A wieczorem był doktor.

— Będzie zdrów, powiedział nagle, zacierając ręce — a we czwartek może po raz pierwszy wstać z łózka.

Ferdynand uśmiechnął się szczęśliwie, kiedy mu powtórzyłem te słowa.

Tylko się uśmiechnął. A potem powiedział cicho, patrząc mi w oczy ze swym zwykłym wyrazem bezwzględnie szczerzej przyjaźni:

— Dziękuję ci za gościnę, i cieszę się, że moge ci się choć w setnej części odwdzięczyć pewną drobną przysługą...

Było coś w spojrzeniu jego, co mi przypomniało dawne czasy i... zadrzałem ze strachu.

— Otworzę ci oczy...

Aha — pomyślałem, czując jak blednę.

— Ta kobieta... ta Adela, czy jak... o której powiedziałeś, że cię kocha... i ten... pan, ten Misio, czy jak... o którym mniemasz, że jest twoim przyjacielem...

Jęknąłem i podniosłem do góry rękę.

Ale on dokończył:

— ...Oszukują cię, że aż miło. Leżąc w tym pokoju byłem nieraz naocznym świadkiem. Bardzo mi przykro, że bierzesz sobie tę rzecz do serca... Ale... Uścisnął mnie swą żelazną ręką. — Powiedzieć ci to było moim obowiązkiem. Nie byłbym zaprawdę godzien twej przyjaźni, gdybym ci z całą bezwzględnością tego nie powiedział.

SEZON.

Jest między szą a gą po południu. Cały świat śpi w słońcu. Wyspa Lido, hotel Tramontano, laguny, morze, gondola... wszystko śpi w słońcu.

...A monsieur Adolphe śpi w portyerówce.

Pokojówka, Marietta, jego przyjaciółka, siedzi przy nim, trzymając ręce pod białym fartuszkem i... myśli.

Signor Enrico, portyer, je śniadanie; poważnie, melancholijnie, gruntownie... Signor Enrico je zawsze śniadanie.

Marietta się krzywi, bo mała, blada i chorowita portyerowa przeszkadza jej swem gadaniem w myśleniu. Portyerowa brzęczy, jak mucha, monotonnie, śpiewnie.

— Wiem, że mój mąż nie jest mi wierny. O dio ndo... Wiem, że mój mąż przegrał wczoraj w karty wszystko, co dostał od principe russo. O dio mio!.. A lewa noga mi spuchła i umrę z pewnością zanim przyjdzie jesień... A ty, Mariette, jesteś córką dyabła, nie człowieka... prowadzisz grzeszne życie... A jak Enrico zje śniadanie — o dio mio! — i spać się położy, przeszukam jego spodnie... może przecie wszystkiego nie przegrał.



E!... Zanzara! — syknęła Marietta. Ale portyerowa brzęczała dalej ;

— I tej „Zanzary” nigdy ci nie zapomnę — skarżyła się płacząco, łagodnie — ty pierwsza tak mię nazwałaś, a za tobą cały hotel... Choć wszyscy święci i Madonna poświadczą, że jestem uczciwą kobietą, nie Zanzarą, ani żadnym innym komarem... i nikogo nie gryzę, krwi nie piję... lecz przeciwnie, z każdym, nawet z taką suką, jak ty, obchodzę się po ludzku...

Basta, Zanzara! westchnął przez sen monsieur Adolphe.

Portyerowa jękała, jak mały piesek, kopnięty nogą. I znowu sączyło się, jak sos brudnego dżdzu, jej narzekanie, ciche a drażniące, kropla po kropli.

— Zanzarą nie jestem... nikogo nie gryzę...

— Ale bręczysz — sennie szepnęła Marietta. Zanzara brzęczała...

myśli Marietty zaczęły grać, jak muchy. Czarna, jak dyabeł dziewczyna, czuła już ciepło zbliżającego się do niej snu, jak bliskość kochanka. Nie chciała się poddać... Kokietowała jednak trochę nieprzyjaciela. Wierzyła w swą energię, wiedziała, że nie zaśnie...

A panu Adolphe śniło się, że odjeżdża rodzina amerykańska z pod Nr. go.

— Subito, quaranta cinque parte ! — krzyczy przez sen na LiftBoya...

...Pisze rachunek, każe znieść rzeczy, zamawia gondolę...

Wszystko przez sen. I ma przytem świadomość, że to sen i że dlatego właśnie wszystko odbywa się tak gładko... Ale na świecie jakoś dziwnie jest ciemno i morze czarne i wieje sirocco i niepokój ogarnia monsieur Adolphe a. Niepokój, jakby w ostatnich scenach dramatu, którego rozwiązaniem i finałem ma być wielkie, prawdziwie księżące pourboire od głowy rodziny amerykańskiej...

— Quaranta cinque parte.

Prosi przytem Boga, żeby nie zbudził się, zanim Amerykanie dadzą mu pieniądze do ręki.

Zanzara cicho płacze i narzeka. Przez okno słychać plusk wiosła...

A Marietta energią swą wyrwa się z objęć nieprzyjacielskich i myśli :

— Padrone się we mnie kocha.

— Maladetto! — klnie Adolphe, który zbudził się właśnie w chwili, kiedy stary Amerykanin zbliżył się do niego z papierkiem w ręku...

Jednocześnie odezwał się dzwonek.

— Dwudziesty pierwszy dzwoni — krzyknęła Zanzara.

Dziewczyna zamknęła swoje cudne oczy i ziewnęła.

— Marietta! — upominała płacząco portyerowa — na górę!... Dwudziesty pierwszy dzwoni.

— Niech dzwoni — mruknęła Marietta.

Ale monsieur Adolphe warknął, jak pies, krótko, brutalnie.

— Na górę!...

I Marietta podniosła się leniwie na rozkaz kochanka.

...Szła sennie, jak odaliska, po czerwonym dywanie schodów, kremowymi rączkami podtrzymując spódnicę... myślała :

Padrone się we mnie kocha...

II.

Signora Donini liczyła srebro po łabie d'hocie. Wszystkie okna jadalni były otwarte, a gorący wiatr hasał, jak czarownica, po stołach i zmiatał obrusy...

Nad Wenecya wisiały rude chmury, a kopuła św. Maryi delia Salute jaśniała, jak duży księżyc wschodzący.

Padrone, signor Donini, śpiewał w duszy nieskończoną, jak świat i dziką, jak morze operę własnej kompozycji, ale na papierze robił według rozkazu żony jakieś dziwnie skomplikowane a zbytne rachunki.

Gospodyni komenderowała :

— Giulio, idź w tej chwili do Moisé i spytaj dlaczego przy stole trzecim nie zwinął serwet... Porządnie go zbesztaj!... Pamiętaj!...

Donini w tej chwili wstał posłusznie, jak student, i wyszedł na mroczny korytarz... Lękliwie rozejrzał się naokoło.

— Moisé! — powiedział półgłosem.

Nikt się nie odezwał. Ale za chwilę słychać było

jakby trzepot gołębi i śmiech stłumiony, a z jasnych drzwi kuchni wypadła Marietta.

Gospodarz odwrócił głowę, i zabiło mu serce. Bał się oczu pokojówki, jak siły nieczystej...

Stał przez chwilę bezradnie. I dopiero, gdy dziewczyna znikła gdzieś na skraj, podszedł powoli do kuchni i zajrzał do środka.

Na małym stolku siedział stary cameriere i gryzł migdały, rzucając niedbale łupy na kamienną posadzkę...

— Moisé! " odezwał się padrone.

Cameriere wstał niechętnie i spytał dozami: — Czego?

— Moisé! — zaczął nieśmiało Donini — czy zwinąłeś serwety na stole trzecim?...

— Ma... si, signore — zdziwił się Moisé. i Gospodarz zaczerwienił się ze strachu, ale mimo ' to szepnął :

— Bo mnie .się zdaje, że nie zwinąłeś..

— Ma... si signore! — oburzył się Moisé i zmierzył padrona zimnym, jakby ironicznym wzrokiem...

Donini odwrócił się ze wstydem i poszedł do jadalni.

— Zbeształeś łajdaka? — spytała zona.

— Zbeształem, droga Wiktorya — odrzekł cichutko.

A potem zasiadł znowu do swych rachunków. Czekala już na niego „wielka arya" z trzynastej sceny dziesiątego aktu i wzięła go w swe gorące objęcia, zanim on sam wziął ołówek do ręki.

Jak skryty morfinista, zabijał się trucizną swych tajnych a ciągłych orgii muzycznych.

Tymczasem jednak czerwona z pilności i energii signora Vittoria rachowała i besztła naprawdę.

Jej głos donośny górował nad szumem wiatru, gwarą gondolierów, klójących się gdzieś nad brzegiem i nad śmiechem gości, bawiących się w salonie w gry towarzyskie...

— Ol... Che voce!... — z szacunkiem dziwił się Donini, pomimo, że głos jego żony psuł mu „wielką aryę”...

W sali nastał spokój i porządek. Padrona usiadła przy swoim mężu sapiąc z przebytych trudów...

— Gdybym ja nie stała im ciągle na karku ! — wzdychała z pewnem zadowoleniem — Banda!... Złodzieje, gałgany...

Nagle pogłaskała męża, po głowie jak pięcioletniego synka.

— Caro mio! — szepnęła i wzięła go pod brodę. Piękny, jak dziewczyna, Giulio odwdzieczył się jej swym trochę nieśmiałym, cherubinowym uśmiechem.

— Bello! — unosiła się po .staremu Vittoria — bello come...

Chwilę szukała porównania.

— Come un... tenore...

Przez ten czas w progu do sali czekał z dyskretnym szacunkiem dla szczęścia małżeńskiego i z pełną torbą — listonosz.

Za chwilę signora Vittoria zanosila się od płaczu..

— o mamma mia, o mamma... Morta!... W ręku trzymała list fatalny, który nadszedł z jej rodzinnego miasteczka Legnano.

Giulio patrzył bezradnie na małżonkę. Nie był przyzwyczajony do jej płaczu, więc patrzył jak na: rzadkie, katastrofalne zjawisko natury...

Zaczął delikatnie głaskać ją po ręce... I chciał już i wypowiedzieć swą zw'kłą formułkę pocieszenia : — Poradzimy sobie jakoś.

Ale przypomniał sobie, że nie ma rady na śmierć mamy jego żony... więc tylko głaskał żonę po ręce i milczał...

Vittoria zerwała się tak gwałtownie, że aż Donini podskoczył.

— Jadę do Legnano I — rzekła swym zwykłym głosem.

— Na długo? — spytał padrone z instynktownym .strachem...

Nie dostał na razie odpowiedzi. Wogóle przez pięć godzin z rzędu dla żony nie istniał. Vittoria pakowała, dawała zlecenia, łajała służbę za różne... przyszłe, przekroczenia i grzechy... słowem była w najgorętszym ruchu. Dopiero o ej wieczorem rzekła po raz pierwszy do niego:

— Jesteś głupi, nieporadny, zaspany, do niczego... Donini się przeląkł, bo zona apostrofowała go tak zawsze, ile razy miała mu poruczyć jakie trudne, siły jego przechodzące zadanie...

Vittoria patrzyła na niego surowo i mówiła:

— Jesteśmy w pełnym sezonie... Mnóstwo gości. Cały hotel zajęty... Ale ja muszę jechać, rozumiesz?... muszę. Bo w Legnanc potrzebuje mej praktycznej głowy rodzeństwo. I muszę tobie oddać zarząd hotelu, bo komuż oddam?... Wiem, że za kilka dni możesz mię zrujnować... ale muszę jechać... Niech się dzieje wola Boska..

Giulio zrobił twarz tak rozpaczliwą, że na ten widok Vittoria przypomniała sobie znowu nieboszczkę i zaczęła płakać... A z dołu słyhać było brzęk Zanzary, która już wiedziała o śmierci matki padrony, i chociaż tej damy nigdy nie widziała na oczy, żałośnie jęczała :

— Dio mio, Dio mio..,

Vittoria ocierała łzy... A Donini powtórzył swoje pytanie z przed kilku godzin:

— ... długo zostaniesz? Gospodyni uderzyła się w czoło:

— Cóż ja wiem? Czy ja Pan Bóg? Może dwa tygodnie... może miesiąc...

A potem wzięła męża za ramię i krzyknęła:

— Bądź mężczyzną! Pokaż co umiesz... Pokaż, że nie dasz się za nos wodzić...

Zanzara brzęczała na dole: Dio mio...

UI

Monsieur Adolphe stał w owym bajecznym fraku na środku sali i kierował wzrokiem uroczystą ceremonię obiadu.

Przy kilkunastu większych i mniejszych stolikach, obsługiwało kilkunastu większych i mniejszych kelnerów. Szybko pracowali, ruszając się gorączkowo i tak czynnością swą zajęci, że napozór nie widzieli dyskretnych znaków i rozkazów Adolfa. Ale stosowali się do nich skrupulatnie i w okamgnieniu. Tak, jak muzykanci czują mimiczne rozkazy kapelmistrza choć patrzą niby w nuty.

Ceremonia odbywała się cicho. Słyszało się tylko półgłosne rozmowy gości. Srebro i porcelana milczały i tylko czasem zadźwięczało coś delikatnie, nieśmiało.

Kiedy po drugiej połowie mały jeszcze, więc lekkomyślny Carlo upuścił widelec na ziemię... monsieur Adolphe tylko boleśnie się skrzywił, jak wrażliwy bez granic maestro, którego ucho obraził jakiś dysonans i niejako dla stłumienia ordynarnego szmeru podniósł do góry rączkę.

Monsieur Adolphe stał na środku sali i królował. Baron Szlachwitz z Frankfurtu pomyślał: ...Czy nie ma tu gdzie musztardy?

Wtedy król się uśmiechnął i przyniósł musztardę — Wyborna obsługa — stwierdził Schlachwitz z Frankfurtu.

— Może — mruknął Olsen, suchotnik z Bergen — ale jedzenie od kilku dni jest niemożliwe.

Twarz monsieur Adolphe'a królującego na środku sali nieznacznie spoważniała.

A i porcy są małe — dorzuciła gruba Cerigi, sąsiadka Olsena.

Przy wszystkich stolikach narzekano na gorsze jedzenie i mniejsze porcy.

A te narzekania słyhał król Adolf uchem duszy. Ale cierpiąc, jednak słodko, jak różowa lalka, się uśmiechał i przytem myślał:

...Musi być mniej i gorzej, bo od kilku dni my wszyscy kradniemy... Począwszy od kucharki, matki Marietty, a skończywszy na brzęczącej Zanzarze... I kraść nie przestaniemy, dopóki nie wróci nasza pani i dobrodziejka, signora Donini... Daj nam Boże znieść spokojnie i bez katastrofy wasze narzekania aż do jej powrotu...

Uśmiechał się słodko, a w sercu pobożnie zmaśniał zdrowaśki.

Pan Olsen z Bergen mówił:

— I tej służby włoskiej nie lubię... Bo są ludźmi...

— A czem mają być? — spytała zaciekawiona Cerigi.

— Automatami. W całej Europie w hotelach obsługują automaty... A tu... Włoch wogóle nienawidzę...

— Więc poco pan tu siedzi? — obraziła się Cerigi.

— Bo mam suchoty.

Przyniesiono kurczęta... I znowu narzekano po stołach... a monsieur Adolphe mrugał niespokojnie lewym okiem, lecz uśmiechał się słodko...

Po obiedzie grupa gości stanęła na schodach i przysłuchiwała się odgłosom awantury, którą ktoś

robił na dole drżącemu i blademu jak ściana Doniniemu:

— Szachrajstwo włoskie! — krzyczał jakiś gruby i zaperzony Niemiec.

— Ma sensi... signore... — zaczynał swą obronę Donini.

— Zamknąć pana każe!.. Natychmiast wyjeżdżam !.

— Scusi! Signore... — powtarzał automatycznie Donini.

Po wyjściu Niemca z biura, Donini jak dziecko się rozplakał.

W salonie grał fortepianautomat „Fausta”, Zanzara brzęczała w portyerówce:

— Dio mio...

A Donini płakał.

Do biura wszedł cicho i lekkim krokiem monsieur Adolphe.

— A to co? — zdziwił się. Padrone podniósł głowę.

— Przez pana... — zaczął, trzęsąc się i bełkocąc.

— Co przeze mnie? — spytał monsieur Adolphe.

— Dlaczego oszukałeś... to jest pomyliłeś się pan o franków na rachunku tego... jak się nazywa... Niemca?

Adolphe wzruszył ramionami.

— Nic nie wiem.

Potem dodał filozoficznie z uśmiechem.

— O pomyłce nigdy się nie wie. Na tem właśnie polega pomyłka.

Donini patrzył z bezwładną złością na tłuste policzki kelnera. I marzył:

...Gdyby tak raz go trzasnąć...

Tylko marzył. A kelner szepnął jak zefir:

— Marietta mi mówiła...

...Znowu Marietta! — pomyślał Donini z rozpaczą — na śmierć skazałem się tą Marietta... Za jedną chwilę zapomnienia... A ten hultaj wie wszystko... pozwolę mu kraść, ile zechce... W błocie utonął przez tę Mariette...

Nagle wrzasnął:

— Goście skarżą się na złe jedzenie i małe porcje! Adolphe znowu się uśmiechnął :

— To już stanowczo nie wina moja, lecz kucharki, signor padrone...

Potem dodał ciszej:

— A kucharką jest... matka Marietty. Donini chwycił się za głowę... Monsieur Adolphe gwizdząc, wyszedł.

...Wieczorem, czarna, jak djabeł, dziewczyna siedziała w ogrodzie i jadła deser z (able d'holu...

— Przez ciebie straciłem szacunek dla siebie — mówił do niej patetycznie Donini, piękny come fu ii tenore. Westchnął i dodał:

— A może stracę miłość swojej żony...

— A ja przez pana straciłam cnotę — odpowie' działa kochanka kelnera.

Zgryzła orzech zębami i dokończyła : — A może stracę służbę.

IV.

Święto ludowe.

Wielki bal w zakładzie nad morzem. Pół hotelowej służby jest na serenadzie w Wenecyi, a drugie pół na stabilimento przypatrywać się tańcom.

Donini siedzi w wolnym właśnie pokoju na trzecim piętrze i komponuje marsz żałobny na swój własny pogrzeb.

Przez okna otwarte wlatuje chmura chaotycznie zmieszanych skrawków smyczkowych i mandolinowych melodi, odległych, a jak niteczki nieuchwytnych ludzkich głosów.

...Kilka strzałów w powietrze i na tle ciemnej nocy pękają rakiety...

...A Donini komponuje marsz żałobny. Słysząc dzwonki z numerów. Raz z trzeciego piętra — krótko i energicznie, potem dwa razy z dołu i znowu z trzeciego piętra. Donini się uspokaja:

— Któs z numerowych albo z dziewcząt musi być w domu.

Potem znowu dzwonki z kilku stron jednocześnie... a jeden długi, złośliwy, bez końca,..

— Niech się świat zapadnie — mówi w pijanym podnieceniu Donini...

I ustami naśladuje łudzaco głos fagota...

śpiewa i używa.

Z korytarza słychać jakieś niespokojne kroki w pantoflach, szelesty sukien i międzynarodowe, męskie i kobiece przekleścia...

Potem ktoś dzwoni niby „ostatni raz", rozpaczliwie, gwałtownie...

— Teraz dopiero nie wyjdę — szepcze Donini — bo gdy się pokażę na korytarzu, zemszczą się na mnie za służbę. Na czarnym tle pękają rakiety.

A nazajutrz — jest już pora pierwszego śniadania — służba śpi jeszcze, i Donini widzi z przerażeniem, że stoły są jeszcze w tym stanie, w którym były po wczorajszym obiedzie...

Wchodzi monsieur Adolphe, błądy, nieogolony, bez kołnierzyka i w pantoflach...

— Pan nie nakrywa stołów? — mówi do gospodarza.

— Ja? — pyta Donini więcej olśniony, niż obrażony tą bezczelnością.

Adolphe drapie się w głowę i patrzy na niego z łagodnym wyrzutem.

— No tak... pan. Gospodyni robiła niejedno za służbę, jeśli służba nie miała czasu. odchodzi spokojnie...

A Donini nakrywa stoły. Robi to pomału, ale bez przykrości. Z fatalistyczną, łagodną obojętnością...

iVla takie uczucie, jakby od urodzenia był pokojówką... "

Złote słońce pada ukośnymi promieniami do sali... A Donini stawia talerzyki, szklanki, kładzie serwety... jakby nic, wchodzi nagle do sali, signora Vittoria, w podróżnym stroju.

— Co ty robisz? — pyta zwykłym głosem bez żadnego wstępu.

Donini chce krzyknąć na widok żony, do której tęsknił przez miesiąc, ale nie może... jak we śnie.

— Co ty tu robisz? — powtarza Vittoria dziwnie cicho — gdzie służba?

— Tam... — bełkota Donini, jak idyota lub dziecko. Vittoria patrzy na niego chwilę i... wychodzi. ...Teraz się zabiję — mówi do siebie Donini... Myśli:

...Vittoria nie mówiła nic, tylko wyszła... A za chwilę wpadnie w szal gniewu... A w takich chwilach wybiera sobie zawsze Mariette i... teraz z pewnością będzie ją tłukła niemiłosiernie... A Marietta podziękuje za służbę... Ale nim da się wyrzucić, powie Vittorii wszystko, co zaszło" między nią a mną... Ze złości...

— Teraz się zabiję — mówi głośno Donini.

Z sieni słychać gwar i hałas. Jakieś krzyki, wołania, znoszenia kufrów.

Donini otwiera ostrożnie drzwi.

Padrona nie tłuczy ani Marietty ani nikogo. Stoi otoczona tłumem gości, którym coś przedstawia czy tłumaczy, gestykulując żywo rękami.

Jest czerwona, a oczy jej błyszczą.

...Dobrze choć to, że już mówi myśli z biciem serca Donini. A potem pyta cicho portyera:

— Co się stało?

— Jadą — odpowiada Signor Enrico.

— Kto?

— Tutti... Wszyscy goście.

— Co?!

— Wszyscy, wszyscy. Bo są niezadowoleni... Skarżą się na jedzenie, na obsługę, na rachunki — klną, wymyślają.

— Teraz się zabiję — szepce padrone i zaciska pięście. Tymczasem w bramie dzieje się coś nowego. Przybiegł jakiś chłopak obdarty, bez kapelusza, bez chu, spocony, i mówi, mówi... A ludzie na ulicy słuchają z otwartymi ustami, nie wierzą, głową trzęsą, a potem krzyczą. W tłumie stoi przez chwilę także signor Enrico a potem wraca do sieni hotelu, czerwony ze wzruszenia i opowiada gościom, co słyszał. A goście waryują.

Donini pyta portyera:

— Co się stało?

— Oni zostają.

— Kto?

— Tutti — tutti. Wszyscy goście.

— Dlaczego?

— Bo... No, no Campanile runęło.

— Co?!

— Pan nie wie ? Campanile di S. Marco od kwadransa nie istnieje. Zawaliło się.

A signora Vittoria rzuca się mężowi na szyję, płacząc z radości.

— Ośle, idyoto, bałwanie... Carissimo... ty masz szczęście. Nikt nie jedzie... Campanile...

Zanzara, stara jak świat Wenecyanka idzie łamiąc ręce od grupy do grupy i brzęczy:

— Dio mio. Dio mio.

ZAGADKA.

Sławna piękność mojej córki, która zadaje młodzieńcom zagadki, nie wypełnia mi życia. Przyznaję otwarcie, że wolałbym nie być tem, czem jestem. Nudzę się od rana do wieczora.



A przytem nie wiem, do czego to prowadzi. Bo jeżeli moja córka pozostanie wiecznie tak przebiegle dowcipna, nie dostanie przynigdy męża. Oprócz tego nie ulega wątpliwości, że zabijamy cokolwiek za dużo młodzieńców, i z czasem mogą być z tego powodu przykrości. Ginie ich średnio ośmiu na dobę, a z tego przypada co najmniej połowa na synów królewskich.

Ale z moją panną niema co mówić. Bo kiedy zaproponowałem jej przed rokiem, żeby dała nareszcie porządnemu człowiekowi z uczciwej rodziny jakąś lżejszą zagadkę, przejechała się wzrokiem gniewnym, niby rozpalonem żelazkiem po mojej Królewskiej osobie, i odtąd ani ja ani królowa podobnych życzeń wyrazić przed nią nie śmiemy. Wolałbym nie być tem, czem jestem.

Ponieważ przedsięwziąłem spisywać codziem wszystkie wypadki — dla urozmaicenia mego życia, w którym niema wypadków — więc notuję, żedzi

od rana do południa był deszcz, a popołudniu mój wielki ochmistrz zwichnął sobie nogę.

\*

Wczoraj rzucono chudego pisarza dzikim zwierzętom, a dwóch tłustych królewiczów spalono na stosie. Dlaczego nie zrobiono przeciwnie? Zwierzęta miałyby pożywniejsze jedzenie, a mnie nie psułyby zapach palącego się sadła wieczornej przechadzki po parku. Ale kto się mnie pyta? Bardzo jestem ciekaw, kto jest właściwie królem: czy ja, czy moja córka?

Po straceniu młodzieńców wyszła także ona do parku. Jeszcze błyszczały jej oczy z tego, co się przed chwilą działo. Zdaje się, że to jej sprawia naprawdę przyjemność. Są rozmaite formy używania młodości i życia; niemiło, że jej forma wymaga tyle krwi i zachodu.

— Znowu nie rozwiązali zagadek? — pytam jej, tak sobie, żeby coś powiedzieć.

— Nie rozwiązali i już zostali straceni—odpowiada z rumieńcem dziewiczym i ze słodkim uśmiechem.

— A jakie dałaś im zagadki?

— Najpierw: co to za grzebień, którym śmierć się czesze? Papa wie naturalnie...

— Naturalnie — mówię, choć nie wiem.

— Potem: co to za kruk, który niesie miasto w dzióbie? Papa rozumie...

— Rozumiem — mówię spuszczać oczy.

— Wreszcie : co to za pieśń, której nikt nie słyszy? Papa...

Nie wiem. Jestem pewny, że ona sama nic wie.

\* \*

\*

Dzisiaj było dziwnie duszno i gorąco w moim pałacu Icrólewskim, a w ogrodzie moim oddychały kwiaty tak strasznie słodko, jak duchy. Była tajemna, zła burza w powietrzu, i wiedziałem, że to dzień, w którym córka moja nie przyjmuje nikogo i nie zadaje młodzieńcom zagadek i siedzi blada, jak księżyc i smutna w swojej komnacie.

... Z oddechem róż nie łączy się dziś zapach krwi i spalonego mięsa.

...Powietrze śpi. A jeżeli się ruszy, to leniwie i ciężko, jak ołowiane ciała krokodyli w rzece mego ogrodu.  
...Przyjechało pięciu młodzieńców i czekają z niespokojnym sercem i z białymi ustami na jutro.  
A jutro, to śmierć. Bo moja córka nie ma rozumu,  
— Idź — mówię do czarnej niewolnicy — i spytaj ich po cichu, czy nie woleliby umrzeć zaraz i bez zagadek.  
...Ale nie woleli.  
Kwiaty pachną słodko w moim ogrodzie królewskim, jak sny mojej córki, która zadaje młodzieńcom zagadki.  
\* †  
Dla pięciu młodzieńców zamieniło się jutro w dzisiaj, a dziś w niepowrotne wczoraj.  
...Pomyśleć, że byłoby o tylu zdrowiej na płuca.

gdyby nie zabijano codzień tyle ludzi i uważano więcej na czystość powietrza w moim ogrodzie!  
...Ale nie wiem już naprawdę: czy ja król, czy moja córka? Gdzie indziej królową grają na gitarze albo śpiewają, albo każą niewolnicom grać i śpiewać.  
Ale moja córka jest szalona, jak morze. Zresztą od dłuższego czasu stała się niepokojąco leniwą, także w swej jedynej zabawie.  
...Dzisiaj siedzi znowu smutna i sennie beczynna w swej komnacie, a pod cieniem palm chodzą znowu jacyś młodzieńcy, których czeka jutro.  
Jest ich dwóch, i chodzą razem, jak przyjaciele albo bracia, bo ich łączy los jednaki. Jeden ubrany jak żebrak i głód kilkuletni wygląda mu z czarnych, świecących oczu, a drugi ubrany lepiej i patrzy pogodnie i głupio, choć z pewnością także nie jest synem królewskim.  
Nie przyznałbym się nikomu... ale z nudów, a może i z pewnej sympatii litosnej, odrobinę z nimi mówiłem.  
Udałem, że jestem wielkim ochmistrem, i spytałem ich, co słyhać w szerokim świecie, i poczęstowałem ich pomarańczami i winem.  
...Przytem o mało sam nie oszalałem, patrząc w szalone z kochania i głodu oczy młodzieńca czarnego. I myślałem, że niema nic pewniejszego niż śmierć, z którą jutro obaj będą poślubieni.

Oto dzień uroczysty!?!  
Teft, co lepiej ubrany i patrzy w świat pogodnie i niebiesko, rozwiązał dziś wszystkie zagadki mej córki.  
Oto dzień uroczysty, w którym pachnie po raz ostatni krew w moim ogrodzie.  
...Ostalhi, który zginął — był ubrany jak żebrak, i głód i miłość wyglądały mu z czarnych oczu. — Zabiła go moja córka sama.  
I żaden z łuczników moich nie byłby trafił celniej w serce jego serca.  
Błysnęła strzała, jak złoty ptaszek w słońcu. A na końcu złotej nitki płomyk krwi zakwitnął.  
...Takie było pożegnanie córki mojej z dziewictwem.  
— Ten był ze wszystkich najgłupszy — mówiła z tęsknym uśmiechem — i miał oczy, jak węgle...

Mnie się zdawało przeciwnie, że ten zwycięzca głupszy. Ale skoro zwycięzca, więc trudno nie dotrzymać tego, co się przyrzekło, i nie da mu córki, i pół pałacu, i parki i królestwa, i nie uczynić go swym następcą.

...Więc biorę rękę córki i rękę obcą przyszłego króla i łączę je w jednym, ojcowskim uścisku i mówię: — Oto dzień uroczysty...

Dobrze mi teraz będzie i cicho.

...Choć nie przeczę, że trzęsie mi się broda z nafl

glej starości i myśli moje cołtołwiek zamglone, i mówię do siebie, jak papuga:

— Oto dzień uroczysty...

Trudno także zaprzeczyć, że zGładły wszystkie róże w ogrodzie i że wolałbym być tem, czem byłem.

Moja córka siedzi w swej komnie. —

— ...Skończyłem, wasza królewska mości, pierwszą część osobliwych przygód mego życia — mówi przyszły mąż mojej córki — czyli stanąłem na tem, jak po zabiciu węża o trzystu głowach stałem się Władcą alabastrowego miasta...

— Tak, tak... — mówię bezmyślnie i patrzę na niego, jak zbudzony ze snu.

Widzę, że ma postać niczego, a także objętość jego głowy nie będzie za mała na koronę królewską.

— Dobrze i to — myślę, a potem pytam:

— Powiedzcie mi, kto was rodził, z jakiego jesteście stanu, i z jakiego\* państwa?

Spojrzał na mnie zdziwiony i zaczął mówić:

— Jeszcze raz chyba opowiem pierwszą część mych dwudziestu siedmiu przygód, bo widzę, że wasza królewska mość nie całkiem dosłyszała początku... A więc: Żyła sobit w Bagdadzie biedna wdowa, matka cięciu synów, z których ja byłem najmłodszy. Pewnego wieczoru szedł Harunalraszyd...

— Dosyć, dosyć — przerwałem niecierpliwie —

wiem wszystko. Miałaś dwadzieścia siedem przygód, z których obchodzi mię tylko dwudziesta ósma i ostatnia, nazywająca się moją córką... Pod karą śmierci nakazuję ci, żeby była rzeczywiście ostatnią... Uśmiechnął się poczciwie:

— Ależ rozumie się, naturalnie... Teraz, kiedy mam wreszcie to, co mi nad kolj'ską przepowiedziały wróżki... I pałac, i niewolników — A bądź mię słuchali ci niewolnicy?

— Ja, król, darowałem ci... więc będą słuchali.

— I złota, drogich kamieni i królestwo... A będziez to królestwo naprawdę moje.

— Ja, król, przyrzekłem ci... więc będzie twoje.

— I koni, i wielbłądów, i królownę... A królowna czy będzie mię kochała?

Nadeszła moja córka, więc wskazawszy ją, powiedziałem:

— Spytaj jej samej. Usłuchał mnie zaraz.

— Czy będę kochała? — rzekła moja córka, nie patrząc na niego — ach... zapewne... dlaczego nie? Wszak rozwiązałeś wszystkie zagadki. —

A potem szepnęła z dziwnie tęsknym uśmiechem:

— A ten drugi... co zginął... był najgłupszy ze wszystkich... Miał oczy jak węgle...

Powtarzała:

— Oczy, jak węgle...

Nie lubię awanturników, parweniuszów. Nie lubię sprytnych młodzieńców, którzy przebyli szczęśliwie dwadzieścia osiem przygód i teraz mają to, co przepowiedziały im wróżki.

...Muszę zbudować drugi pałac mojemu zięciowi, gdzieś na końcu świata. Bo dopiero wtedy będę miał spokój, gdy jego nie będę widział.

Od kiedy jest mężem mojej jedynej córki, niema dnia, żeby nie nudził mnie skargą i pretensjami.

— Dlaczego królowna mówi ciągle o nim, o tym drugim?

— O kim? — mruczę, udając, że nie wiem.

— O tym, który ubiegał się ze mną i nie rozwiązał zagadek, i zginął trafiony przez królowną w serce... Mówi o nim rano i wieczorem, że był najgłupszy ze wszystkich...

— Czy tego mu zazdrościsz?

— że miał oczy, jak węgle.

— Za to ty masz niebieskie.

— Ale królowna moich oczu nie widzi. Westchnął i szepnął:

— Ona kocha tamtego, którego trafiła w serce...

— Gdyby go była kochała, nie byłaby go zabiła. Ale on wzdychał dalej i jęczał:

— Któż wie, dlaczego tak jest?... Ale tak jest z pewnością. Nie rozumiem jej, zmysły tracę — ale tak jest. I choćby słońce zaświeciło niebiesko zamiast złoto — tak jest.

Wziął mnie śmiech niepojęty, złośliwy, sprawiający

mi dziwną przyjemność. Więc on się rozgniewał i turban cisnął na ziemię i jął deptać nogami i krzyknąć : — Musi mnie kochać, musi!... Należy mi się, bo rozwiązałem jej wszystkie zagadki...

Tale — mówię, dusząc się jeszcze od śmiechu — wszystkie rozwiązałeś, prócz jednej. A tą jest ona sama.

Gniewał się dalej i krzyczał. Musze mu naprawdę zbudować drugi pałac, gdzieś na końcu świata.

ZEGAR.

Solenizant dzisiejszej nocy wisi w moim poioju. Mógłbym się jednak założyć, że uroczystość nudzi go niewymownie. Zegary wiodą życie dyskretne i regularne, istnieją przeważnie dla dobra publicznego, więc do odgrywania pierwszej roli w towarzystwie brak im ochoty i wprawy. Rozumiem to doskonale.

— Stary przyjacielu! — mówię do jego białej twarzy, (wisi naprzeciw mego łóżka) — pomyśl, że jednak — bądź co bądź — położenie twoje, (o ile wiszenie na ścianie można nazwać „położeniem”), jest znacznie łatwiejsze i przyjemniejsze od mego. Przytoczę ci na to kilka dowodów. Przedewszystkiem jesteś zdrow pod każdym względem, nie tylko na piersi, serce itd., ale i na cyferblat, na obie wskazówki. Nie potrzebujesz żadnych lekarzy, ani internistów, ani chirurgów. Wierz mi, to duża przyjemność. Jak Pan Bóg da, przeżyjesz jeszcze kilka ludzkich generacji. Zazdroszczę ci zdrowia — bynajmniej nie ze względu na te z pewnością nieciekawe i głupie generację — ale dla samego zdrowia, które jest mniej więcej taką samą rozkoszą, albo wogóle tem samem, co miłość. A potem — o, mój drogi — potem zazdroszczę ci zdrowia dlatego, że wyłącza obecność lekarzy. Są to ludzie bez tanta

zyi, którzy beze mnie nie mogliby istnieć. Pytają się mnie ustawicznie o każde głupstwo i gdybym z dobrego wychowania nie odpowiadał im na wszystko, nie wiedzieliby naprawdę, co począć z moją chorobą. Sami nic nie wymyślą. Muszę im dwa razy na dzień mówić, gdzie mnie boli, ile godzin spałem, czy mam apetyt — i za te nużące wyjaśnienia jeszcze im płacę. W dodatku mają mię za nic, bo jestem przedmiotem ich doświadczeń. Jestem dla nich naiwnym par excellence, z natury rzeczy. Jestem dla nich tem, czem jest dziecko dla bakalarza albo morderca dla sędziego śledczego. Wiem doskonale, że jestem w niebezpieczeństwie, ale ponieważ mam tyle taktu, że o tem nie mówię, więc im się wydaje, że nie wiem — i także dlatego mają mię za nic. Trudno przecież szanować człowieka, którego oszukuje się z powodzeniem. Zresztą nie mówmy o „niebezpieczeństwach” w tę noc sylwestrową, w której ty odgrywasz pierwszą rolę, w której co chwila młodzi ludzie przybiegają z kieliszkami w ręku do ciebie i patrzą, czy już jest dwunasta... Mój drogi, bądź tak dobry i zatrzymaj się troszeczkę na stacyi „Trzy kwadransy”... Bo wiem, że o dwunastej wszyscy zaczną krzyżeć i wleczą także do tego pokoju z swym Nowym Rokiem. To jest nieuniknione. Zresztą, na chwilę musimy przerwać rozmowę, bo przychodzą znowu goście, żeby wyczytać z twej twarzy, jak daleko jeszcze do mety...

Panna Amelia wpada na bajeczny koncept (podszeptany jej przez delikatność niewieścią).

— Panie złoty — pyta mnie, (zamiast spojrzeć na zegar) która godzina?

Wydaje się jej, że zadając to pytanie mnie, (półżywemu człowiekowi w łóżku), traktuje mnie przez to, jak „normalnego” człowieka i czyni mi niesłychaną ulgę i niebiańską rozkosz.

Ale jej intencje są tak wyraźne, że mię aż bodą i ze złości nie odpowiadam na dźwięczne pytanie. Teraz oni są zaniepokojeni i szepczą. — Za dziesięć minut... — mówi pan Teofil. Nic lubię pana Teofila, bo jego imię dolatuje do mnie co kilka sekund do łóżka. Co chwili szczebioczą panienki: „panie Teofilu, teraz pan gra”... albo „pan Teofil jest złośliwy”... albo „gniewam się na pana Teofila” itd. Jak się jest chorym, nienawidzi się pewnych dźwięków, pojęć, deseni na ścianie ach, żeby zdrowi ludzie wiedzieli, jak wiele rzeczy i jak serdecznie chory nienawidzi i

Pewnie śpi — szepcze panna Amelia do Teofila.

— Ma oczy otwarte...

W tej chwili zamknąłem oczy. Ależ mówię panu, że śpi...

— To zresztą niedobrze...

— Sen jest zawsze dobry...

— Ach, Boże, w tym stanic...

„Szepczą”. Jak się słucha w łóżku szeptu zdrowych ludzi, to tak, jakby się było w deszczu karabinowych strzałów.

Mucha przelatująca dyskretnie przez pokój robi dla mego ucha po prostu hałas, a cóż

dopiero ciciie mówienie tych rozbawionych państwa...

Pan Teofil podtrzymuje temat dla zabicia owych dziesięciu minut brakujących do Nowego Roku.

— A ja pani ręczę, że on nie śpi. Ludzie ciężko chorzy nieraz robią wrażenie śpiących, ale to jest tylko przyćmiona świadomość, uważacie państwo, która w tym stanie...

— Może ja go jeszcze raz o co spytam — proponuje panna Amelia.

— Ale głośniej, niż przedtem — radzi nieoceniony pan Teofil.

za chwilę pada strzał z ust panny Amelii :

— Złoty panie, czy pan się czuje lepiej w tej chwili?

Aha, myślę sobie, figa z makiem. I znowu nie odpowiadam. Fizycznie małym palcem nie mógłbym ruszyć, ale w duszy tańczę z radości złośliwej oberlasa. Oni znowu zaniepokojeni szepczą. Przytem w moim uchu dźwięczy jeszcze głośne pytanie panny Amelii... „Złoty panie, czy pan”... (Mówi do mnie konsekwentnie : złoty, odkąd jestem w „takim stanie”...) Życzyłbym panu Teofilowi, do którego ona się mizdrzy — nikt tego nie widzi, tylko ja, bo jestem półżywy — żeby został jej mężem. Bo ona ma wrodzoną genialność w oszukaństwie; w jej pytaniu był bajecznie przewrotny ton... choć zadała mi je z dobroci samarytańskiej. Co za obłudny dźwięk... „złoty panie, czy pan”...

— Ileż tam jeszcze?

— Siedem minut — mruga do mnie zegar, którego pocziwa twarz znowu jest odsłonią, bo towarzystwo usiadło gdzieś w kącie.

Proszę cię, powolutko — mówię do niego — zrozumiesz, że mnie jakoś wyjątkowo nie bardzo się śpieszy. Człowiek w moim t. zw. „stanie” ma niemiłe przesady, co do granic czasowych. Choć wiem naturalnie, że właściwie niema czasu. Ale to, co się wie „właściwie”, bynajmniej nie jest decydujące. Moje nerwy wierzą w Nowy Rok, tak, jak np. Amelia albo p. Teofil albo reszta gości zaproszonych dziś do nas przez moją żonę. Nawiasem mówiąc, są u nas zawsze goście na Sylwestra, a że ten rok nie stanowi wyjątku, to tylko dowód sercowej przebiegłości mojej żony, która kalkuluje, że gdyby dziś nie było tego zebrania, ja odczułbym silniej grożące mi niebezpieczeństwo. Otoż nerwy moje są naiwniejsze ode mnie, a dziś w nocy śniło mi się nawet, że będąc już na „tamym świecie”, otrzymałem nakaz sporządzenia czym rychlej... Nowego Roku dla ziemi i ludzi. Trzeba uwzględnić, że jako najmłodszy obywatel „tamtego świata” byłem straszliwie, gorąco ambitny (tak, jak młody urzędnik, który dopiero co wstąpił do służby) i chciałem wywiązać się jak najlepiej z owego zadania. Postanowiłem wypracować Rok nowy także co do treści, obfity w sensacyjne fakty, donośne zdarzenia, wypadki, ewolucję społeczne, wynalazki i katastrofy. Pisałem, drząc z emocji, bajeczny kalendarz przyszłości: d. go stycznia wynalazek idealnego statku

powietrznego, go — narodzenie pięciu geniuszów, go — rozwiązanie kwestyi socyalnej, go — szczepienie raka, go — kwadratura koła i perpetuum mobile —, kiedy nagle starzec poważny, z pękiem kluczów w ręku przerwał mi niecierpliwie : — ależ to niemożliwe, to się tak nie robi... — Podarł ze śmiechem cały mój elaborat, a ja zaczerwieniłem się z żalu i wstydu. — A jak się robi — spytałem, marszcząc czoło. — Bierze się po prostu wzorek, rozumie kawaler, bierze się po prostu jakiś rok stary, z tego lub dawniejszego stulecia i według tego, uważa kawaler, naturalnie z pewnemi zmianami co do nazwisk itp. robi się rok następny. — Podskoczyłem z irytacji. — Ależ, panie, zlituj się, przecież w ten sposób nie może być nigdy roku naprawdę nowego. — Starzec się uśmiechnął. — Naturalnie, ale tak się u nas robi od dawna z małymi wyjątkami. O co kawalerowi chodzi ? Oj, młody, miody, młody... Śmiech poważnego starca jeszcze brzmiał mi w uszach, a jego sposób nazywania mnie „kawalerem” wydał mi się teraz tak komicznym, że mimo woli zacząłem sam śmiać się coraz głośniejsz.

— Czy państwo słyszą? — szepnęła z przerażeniem panna Amelia.

— To maligna — zauważył pan Teofil.

W tej chwili zegar trzeźwym, obojętnym głosem (pocziwiec nie ma najmniejszego talentu do uroczystości) wybił rzetelnie i pedantycznie dwunastą. Już za drugim „bim” wszczął się w sąsiednich poko

Jach (i w kącie mego sypialnego pokoju) niesłuchanie ożywiony ruch brzęcząco cmokający ; sypały się wykrzykniki, wołania, żarty, a po kilku minutach weszło do mnie z kieliszkami całe towarzystwo. Namyślałem się przez sekundę, czy żyć, czy nie żyć — spać, czy nie spać, ale wkońcu zwyciężył wrodzony takt i postanowiłem nie psuć im zabawy. Trącałem się z całym światem i byłem niesłuchanie miły i zdrowy, choć młodziutkie panienki (ze względu na mój „stan”) nie wstydziły się przystąpić do mego łóżka i przechadzały się po mej sypialni, jak owieczki na łące i choć gimnazjaliści (ze względu na mój „stan”) traktowali mnie jak „kawalera”, starsi znajomi jak głupiego Maciusia, a krewni jak drogiego nieboszczyka...

A kiedy potem (ze względu na mój „stan”) znowu przeszli wszyscy do innych pokojów i zostałem sam na sam z zegarem, byłem tak podniecony, że jakoś nie chciało mi się leżeć spokojnie i zacząłem gadać.

— Cóż, stary głupcze, tykasz i tykasz, jakby nic...

— No, tykam, albo co ma być?...

— Ze też nic na tobie nie robi wrażenia...

— Nie może robić, bo przestałbym chodzić...

— Gdybym ja był taki zdrowy, jak ty, to dokazywałbym jeszcze więcej...

— Dlaczegoż nie pijesz?

— W tem jest właśnie... Skrzypnął.

— w tem jest właśnie cały mój problemat.

— Niby w czem ?

— Że ja nie mogę się upić. Że zawsze tak samo od początku, trzeźwo, miarowo, spokojnie...

Skrzypnął. A potem już tylko raówił:

— Tyktak, tyktak... tyktak...

ROZMOWA Z ELŻBIETĄ.



Mój ojciec ma skład fortepianów i żyje już długo na świecie; może tak długo, jak fortepiany. Jego wieku nie można oznaczyć, ale ja mam czternaście lat. Mój ojciec nic się nie zmienia, i odkąd pamiętam, zawsze miałem tego samego ojca. Za to moja matka jest zawsze inna i zawsze młoda. Dotąd miałem trzy matki, i wszystkie były niegdyś nauczycielkami fortepianu.

Moja obecna matka jest u nas od sześciu lat, ale tego roku na wiosnę zaczęła już kaszleć. Mógłbym powiedzieć jej z góry, co będzie potem, (bo znam już wszystko), ale nie uwierzyłaby mi z pewnością. Nazywa się Wiktorya. Ale ja myślę jeszcze o Elżbiecie, która była drugą. Pierwszą także jeszcze pamiętam, ale bez kolorów. Wiem tylko, że miała długie warkocze, jak panienka. Widzę ją zawsze, jak stoi plecami do okna, tak, że twarz jest ciemna. Po Elżbiecie zostały mi dwie rzeczy. Najpierw kawałek jedwabiu, który chowam w szufladzie między kajetami. Jest on tak czerwony i błyszczący, jakby Elżbieta jeszcze żyła. Dała mi go sama — było to po południu, ona szła suknię, a ja

siedziałem na ziemi i napierałem się długo — ale przytem trochę się gniewała. Ile razy przycisnę ten jedwab do twarzy i zamknę oczy, wiem przez chwileczkę, jaka była Elżbieta.

A potem została mi rozmowa, którą z nią prowadziłem pewnego ranka w zimie, kiedy jeszcze było ciemno za oknami i tylko na stole świeciła się lampa. Tego samego roku zabili cara rosyjskiego. To nie jest ważne, ale według tego obliczam, że miałem wtedy sześć lat.

Kupili mi właśnie jakieś grube i ciemne ubranie, żebym go nie mógł ani podrzeć ani poplamić.

Siedzieliśmy przy kawie, ja, Filuś, Stefka, Elżbieta, pan buchalter i mademoiselle. Ojca jeszcze nie było, bo spał. A na dole już odzywały się fortepiany; wiedziałem, że ten mały, czarny, co mówi tak wyróżnie i cienko, i ten brązowy, nudny, co nie można go sprzedać i pianino, co wstydzi się w kącie. — Nikt nie mówił, bo jeszcze było za wcześnie, ale spoglądali na mnie, bo miałem nowe ubranie.

Kiedy tak na mnie patrzyli, wzięła mię jakaś dziwna duma. Zacząłem sam przyglądać się swoim rękawom, leżącym ciemno i poważnie na jasnym obrusie. Nagle czułem się o wiele lat starszy, bardzo spokojny i dorosły. — Już taki, jak ojciec. Kręciła mi się głowa, jakbym wychylił się z okna i patrzył na dół. A nikt mnie za to nie skrzyczał, że się tak wychyłam — przeciwnie, Stefka i Filuś mieli duże oczy, pełne szacunku.

Było mi wcale przyjemnie, ale marszczyłem czoło, jak to zwykle ojciec.

Potem jednak nagle rękawy moje na stole zaczęły mię niepokoić. — Powtarzałem sobie, że to moje rękawy, moje ręce... i prawie się przestraszyłem tem, że coś jest „moje”, że istnieje osoba, którą nazywam „ja”. — Było w tem uczucie jakiejś dotąd mi obcej, ciężkiej odpowiedzialności...

Zdawało mi się, że dopiero teraz przychodzę na świat. I może miałem nawet rację, bo przedtem nigdy nie zastanawiałem się nad tem, że jest takie „ja”, co nie widzi swych oczu i ust i czoła i tylko jak w mgłę trochę nosa.

Mademoiselle kazała wstać Filusiowi i Stefce, bo już chodzili do szkoły, a pan buchalter obtarł wąsy i pocałował w rękę Elżbietę, która nie ruszyła się z miejsca. przy dużym stole, na którym leżało sześć zmiętych serwet, zostaliśmy tylko dwoje, ja i Elżbieta.

— Co jest właściwie ja? — spytałem Elżbietę — czy to także człowiek?

Popatrzyła na mnie, jakby z daleka i powiedziała cicho:

— To są głupstwa. Nie mów takich rzeczy, bo to męczy.

Elżbieta była zawsze zmęczona, a rano najwięcej. Czulem, że teraz chciałaby wstać i zajrzeć do kuchni, a nie może. Przypomniałem sobie, jak rzucili bombę na cara.

I mówię głośno:

— To on widział, jak własne jego ręce, jego ręce... poszarpane... we krwi...

Przerwała mi z jakąś bolesną, a cichą złością:

— Kto widział?! Co widział?! Co tobie? Wypijesz zaraz kawę?! Nie podierać się na łokciach!

Ale naraz zgadła, co i kto, bo przecież właśnie tyle się o tem mówiło, i powiedziała łagodniej:

— Nie widział, bo umarł. Jak koniec, to koniec. Co mu tam po rękach...

Zamyśliła się, westchnęła głęboko, jakby się chciała przekonać, czy nie kłuje ją w piersiach, i dodała:

— Człowiek musi raz umrzeć, tak, lub inaczej. Jak zginie, to już mniejsza.

— A czy ja, to człowiek? — spytałem się po raz drugi.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— A cóż ty myślałeś? Naturalnie, że jesteś człowiekiem, a nie zwierzęciem...

Zacząłem zastanawiać się głęboko i nawet fortepiany ucichły, żeby mi nie przeszkadzać. — Myśl moja szła wązka i stromą ścieżyną, wdzierając się w gąszcz lat minionych, wczesnych, żeby dojść do źródła. — Ale męczyła się, wracała.

— Wziął mię strach...

— A jeżeli ja człowiek, — powiedziałem do Elżbiety — to muszę także umrzeć.

— Ha, trudno! — mruknęła.

Ale zaraz potem uśmiechnęła się i machnęła ręką, jakby chciała mnie uspokoić, że to bagatela.

...Ona żartuje — pomyślałem — ja nie umrę, tylko inni umierają.

Elżbieta wyjęła chusteczkę z kieszeni i zaczęła ka szleć. Tak samo, jak Marya, pierwsza moja matka. — Wy co innego, — rzekłem do Elżbiety — a ja co innego. Ty jesteś taka, jak Marya. Ale ja muszę być zawsze. Marya siedziała tak samo przy stole, jak ty, a — gdzie jest teraz? Niema jej. Umarła. .

— No i cóż? — pytała Elżbieta.

— Jak przyjdzie noc, — mówię — to nie widać | ani ojca, ani ciebie, ani nikogo. Ale ja jestem i w no cy. Nawet nie potrzebuję zapalić lampy, a wiem, że jestem...

— No i cóż? — pytała Elżbieta.

— Wy raz jesteście, a raz nie. Teraz siedzisz przy mnie, widzę twoją twarz. Ale potem wstaniesz, pójdziesz do drzwi i naraz znikniesz. A ja zostanę zawsze, czy w tym pokoju, czy w innym. Ja wszędzie jestem, bo ja nie człowiek... Myślałem, że Elżbieta się śmieje, ale naraz zobaczyłem, że ona płacze. I znowu wziął mnie strach. A nuż ona wie napewno, że ja człowiek i muszę umrzeć...

I sam zacząłem płakać i pytać ją bez końca: — Czy ja człowiek? Czy ja człowiek?.. Na dole grało, jak dzwonek, małe pianino, co wstydzi się w kącie. A Elżbieta uśmiechała się i machała ręką, jakby mówiła, że to bagatela, wszystko bagatela.

ZŁOTO.

w moim świecie dojrzewają właśnie truskawki. Woda ma Réaumura, powietrze . Pachną kwiaty wszystkich dotychczas odkrytych okolic ziemi. Ale za oknami mego państwa bieli się biegun. Za oknami jest szy stycznia. Przez dwadzieścia lat zazdrościłem bliźnim, a od dziesięciu lat bliźni mnie zazdroszczą. Mam trzy klasy elementarne i wogóle podłe wykształcenie, ale znalazłem bez niczyjej pomocy tę prawdę, że życie polega na zazdrości. Mniejsza o to, jak zostałem najbogatszym człowiekiem świata. Wszystko wydaje mi się jak sen. Nie mogę powiedzieć, że zrobiłem pieniądze. One przyszły do mnie. Wybrały mnie sobie za oblubieńca. Zakochały się we mnie śmiertelnie — bez wyraźnego powodu. Może zbeształ je Pan Bóg, że przez tyle lat postępowały ze mną tak okrutnie i niesprawiedliwie, przestraszyły się więc i teraz przesadzają w innym kierunku. Za to złorzeczy teraz kilkaset innych ludzi tak, jak ja przedtem. Kiedy jeszcze cierpiałem głód w rozmaitych ogniskach kultury, miałem dużo szczerych i głodnych przyjaciół. Między innymi niejakiego Liszkę.

Ten Liszka prowadził raz ze mną następującą rozmowę:

— Powiedz mi, — rzeki, dzwoniąc zębami z zimna — jakie uczucie ma człowiek, którego pice jest zawsze gorący?

...W zimie naturalnie — dodał z pedantycznej przezorności...

Zaczęliśmy się zastanawiać nad uczuciami takiego szczęśliwca... Z pieców gorących przeszła rozmowa na inne ziemskie dostatki i zbytki, a wkońcu na milionerów, amerykańskich.

— Dajmy sobie słowo, — zaproponował Liszka — że kto z nas pierwszy zdobędzie majątek, opowie drugiemu szczegółowo i szczerze wszystkie swoje uczucia...

Daliśmy sobie słowo.

Odkiedy „zdobyłem majątek”, widziałem się z Liszką coś cztery razy. Ale za żadnym widzeniem Liszka nie pytał się mnie o moje uczucia (tylko prosił o pieniądze), a ja nie mogłem ani rusz sam zacząć, mając niejako przeświadczenie, że sprawa stała się dla niego bezprzedmiotową.

Między nędzą a fortuną niema komunikacji, jak jej niema między życiem a śmiercią.

Z tego powodu nie mam obecnie szczerych przyjaciół. Nie mam także krewnych. Nie mam naturalnie i miłości. Ale mniejsza o to. Mam za to czterdzieści milionów rocznego dochodu.

Wszystko wydaje mi się, jak sen. Wiem tylko tyle:

Bogactwa tej ziemi przyszły do mnie dlatego, że byłem pewnego dnia w... bardzo dobrym humorze. Tylko dlatego.

...Zresztą początek tego samego dnia był nieskończenie przykry. Zbudziłem się bardzo rano z powodu głodu i nieszczęścia. Na ścianach mego pokoju były jeszcze obrazy, które mi się śniły w nocy. Ale już nieznacznie gasły. Stara baba, u której mieszkałem, przyniosła mi z litości herbaty. Nie spostrzegła, że na ścianie, między piecem a komodą, jest jeszcze kawałek twarzy jej własnej córki. Ta córka śniła mi się w nocy, pomimo że jej przedtem nigdy nie widziałem, bo stara ukrywała ją przede mną, jak przed złodziejem.

Byłem wdzięczny za herbatę. Pomyślałem sobie jednak, że w samo południe, punkt o dwunastej, litościwa kobieta przecież wyrzuci mnie z mieszkania. Przez osiem miesięcy znosiła mię z cierpliwością, i nie mogłem od niej wymagać, aby była jeszcze dłużej cierpliwą. Np.: do kwadrans na pierwszą. Tego i anioł nie zrobiłby pod żadnym warunkiem. Pomyślałem sobie: Jeżeli się mieszka w takim mglistem i dużym ognisku kultury, to trzeba prędzej lub później umrzeć z głodu; na to niema rady. Mógłbym pójść z prośbą do króla, ale on nie zrozumiałby z pewnością mego głodu. Gdyby żyła moja matka, mogłaby mu to jakoś wytłumaczyć. Ale ja sam nie potrafię. I nie mam już nawet ochoty prosić, lecz będę się starał, żeby mię wóz przejechał.

Kiedy tak myślałem, było jeszcze ciemno w pokoju. Moje manatki leżały gdzieś po kątach i pewnie się już cieszyły, że niezadługo pójdą na spacer. Ale ja się nie cieszyłem.

Wybiła gdzieś jakaś godzina, a że nie rachowałem uderzeń zegara od początku, więc dla wszelkiej pewności zacząłem się żegnać z moim pokojem. Najpierw z oknem, przez które wyglądałem tyle razy na ulicę, czy nie idzie do mnie listonosz z ważną i dobrą wiadomością. Potem z łóżkiem, w którym mi się śniły obfite ucztu u króla, i z biurkiem, na którym w czasach dobrobytu jadłem chleb z serem. Także kilku deseniami na ścianie, które odgrywały ważną rolę, kiedy miałem gorączkę. Ze starą szafą, gdzie nie było rzeczy, ale za to mysz, robiąca hałas w nocy. A wkońcu przypomniałem sobie, że sznur przywiązany do żelaznej obrączki na jednym z kamieni posadzki, jest moją własnością.

Ponieważ zaś postanowiłem zabrać z sobą wszystko, co moje, więc czekała mię jeszcze praca odwiązania sznura. Im więcej człowiek posiada, tem więcej ma kłopotów.

Ale nim zabrałem się do pracy odwiązania sznura, postanowiłem raz jeszcze pociągnąć silnie za koniec. Straciłem już wprawdzie dawno nadzieję odważenia tajemnicznej płyty z żelazną obręczką i przekonania się, co jest pod spodem, ale miałem uczucie, że wypada zrobić koniecznie jeszcze jedną próbę, niejako na pożegnanie. Byłem pewny, że i tak się nie uda.

Wogóle było mi ciężko na duszy i podczas głupiego ciągnięcia za sznur łzy kapąły mi ciurkiem z oczu. Jeżeli kto głodny, to może śpiewać na cały głos, a pozostanie głodny. Albo może nosić skały i przecie będzie głodny. Albo może myśleć, jak go wóz przejedzie, a przytem głodny będzie.

Ale za sznur ciągnąłem. I nagle poleciałem razem z nim i z kamienną płytą aż do swego łóżka.

...Ostatniego dnia, w ostatnią godzinę udało mi się to, czego przez tyle miesięcy próbowałem napróżno.

Spojrzałem ciekawie: co jest pod spodem? Ale nie zobaczyłem nic prócz czarnego dołu. Czekałem chwileczkę, czy nie wyjdzie z pod podłogi jakie lichy, ale nie wyszło. Pomyślałem, że roztropny człowiek zapaliłby najpierw świecę, nim wszedłby do dołu.

Ale ponieważ nie miałem ani świecy, ani rozsądku, więc wszedłem zaraz do dołu i zacząłem schodzić po jakichś schodach... A kiedy dalej iść nie było można, wpadłem na jakieś drzwi, które same się otworzyły.

Byłem w jakimś błękitnie jasnym uroczem miejscu. Na tronie z marmuru i złota siedziała w białej sukience córka starej gospodyni.

— Dziękuję ci... — szepnąłem do niej z rozrzewnieniem — dziękuję ci, że jesteś tak piękna i że cię widzę. Wprawdzie widziałem cię nieraz i przedtem, ale we śnie; to mniejsza przyjemność. Teraz dopiero kręci mi się głowa z twojej piękności. Tam na górze jest ciemny dzień, a tutaj aż niebiesko od blasku.

bijącego z oczu twoich. A twoje włosy pachną... I tak skacze mi serce, jak wówczas, gdy widziałem po raz pierwszy złote pole w słońcu. I dziwnem szczęściem jest uśmiech na twych ustach, bo nagle nie wiem, dlaczego przed chwilą płakałem. Dziękuję ci za białą rękę, która leży na twych kolanach, i za to, że moge do ciebie mówić...

— A głodny nie jesteś? — spytała panna. Zaśmiałem się z radości.

— Nie, już nie jestem. Ale pozwól mi dotknąć się ustami twej ręki albo przynajmniej sukni, która spływa, jak srebrna woda, po stopniach twego tronu z marmuru i złota.

Ona się uśmiechnęła.

— Powiem matce to, co powiedziałaś o tronie... Zdawało mi się, że siedzę na zwykłej kanapie... A matka kryła mnie przed tobą, jak przed złodziejem. Powiem jej, że widzisz mnie jako królową na, tronie... Gdybyś miał pieniądze, zostałabym chętnie twą żoną, bo miło mieć męża, który tak czci i poważa niewiasty.

Nie słyszałem nigdy tak słodkiego głosu. rzekłem do niej:

— Dziękuję ci, dziękuję... Byłbym zginął marnie i nigdy ciebie nie zobaczył. Ale teraz nie boję się już ani głodu, ani obrzydliwego miasta, ani dwunastej godziny...

— Teraz już dwunasta godzina—przerwała mi panna.  
— Czy muszę iść?...

Panna pogłaskała mnie delikatnie:

— Gdyby to zależało ode mnie, mógłbyś zostać. Ale matka woli lokatorów, którzy regularnie płacą. Bardzo mi się spodobała twoja uwaga o moim tronie i o mej białej ręce. I szczerze mi żal, że nie masz pieniędzy...

— Ty mnie uratowałeś od śmierci. Byłem tak smutny, że dałbym się być przejechać. A teraz pójdi śmiało do miasta, tam, gdzie największy ścisk i hałas i zarobię dużo złota, i twoja matka już mnie nie wyprzedzi, gdy do ciebie wrócę... Ucałowałem stopy pięknej panny na tronie. A ona rzekła przyjaźnie:

— Wróć, jak zarobisz dużo złota... Od tej chwili byłem w tak dobrym humorze, że naraz cały świat stał się podobny do panny na tronie.

Ludzie poczęli kłaniać się mnie, jak królowi — tylko dlatego, że byłem szczęśliwy. Zaczęli mnie kochać dlatego, że ja kochałem wszystko, na co spojrziałem. także najpewniej z tego powodu zwrócił na mnie Pan Bóg uwagę i rozkazał złotu, żeby mnie kochało.

Całe centrum kultury zwróciło na mnie uwagę.

Stu bankierów pomyślało jednocześnie:

— Jakże to możliwe, że ten człowiek nie jest dotychczas milionerem?

I natychmiast zbankrutowali wszyscy na moją korzyść. Przed zastrzeleniem się chwalili słońce i mój dobry humor. j

Nie potrzebowałem zarabiać. Byłem tylko szczęśliwy, a resztę interesów załatwiała dla mnie reszta świata.

...Do pieniędzy nie tęskniłem i nie miałem dla nich szacunku. Dopiero, gdy posiadałem dużo milionów, pomyślałem, że można przez nie zdobyć to, do czego się tęskni.

...Traciłem nieznacznie dobry humor, ale pieniądze już się do mnie przyzwyczyły i — nie tyle już z miłości, co ze zwykłej głupoty — dalej się do mnie garnęły. kupowałem za nie coraz to piękniejsze rzeczy... po prostu pół świata.

...A nikt nie wie, co znaczy kupować, tylko ja, który jestem najbogatszym człowiekiem tej ziemi. Nikt nie wie, co jest złoto...

Złoto jest przyrząd, którym się strąca gwiazdy na ziemię. Tak, jak mały chłopak strąca patykami rumiane jabłka z drzewa. Kupować, to zabawa polegająca na tym, że się sny swoje mienia na rzeczywistość... Wszystko staje się mniejszym, ale za to twoją własnością. Przy kupowaniu bierze cię wściekłość i zabiłbyś od razu cały ten świat snów i tęsknot, który przepelnia gorącą ochotą i szczęściem twoją duszę...

Tryumfujesz, że wszystko zmalowało i wszystko stało się twojem. Po kilku pałacach i okrętach i muzeach, kupiłem sobie raz w zimie — lato, a raz w lecie — zimę. W moim sztucznym ogrodzie dojrzewają właśnie truskawki, pomimo że za oknami bieli się zima.

A w lipcu zaprosiłem pół świata na ślizgawkę. Wogóle przyszedłem do przekonania, że mogę także kupić sobie to, co żyje i kwitnie, pachnie, kocha, umiera. Mogę sobie kupić także słońce i kochanie. Jak po długim śnie nagle się zbudziłem i przy pomniałem sobie pannę na tronie i jej słowa : — Wróć, jak zarobisz dużo złota... Ona sama powiedziała mi, że mogę kupić jej piękność za złoto. Także ona. Ta pierwsza, najpiękniejsza, bo pierwsza... Ta, przed którą klęczałem, która siedziała na tronie z marmuru. Cały świat zmalował a ona siedzi, jak królowa na tronie... Sam poszedłem jej szukać.

W nocy, w brudnej i ciemnej uliczce ją znalazłem. Nie... ona mnie znalazła. Nie byłbym jej poznał, bo w tęsknocie mej była królową, a tu na ulicy — ulicznicą.

— Tak nisko upadłaś? — spytałem ją drżącym z oburzenia głosem.

Uśmiechnęła się, jak pomalowany szkielec.

— Ja?... Upadłam?... Byłam zawsze tam, czen: teraz jestem, i tylko ty...

Ach... tak. Tylko ja byłem inny.

— I tylko tobie zdawało się, że jestem królową na tronie...

Już nie mam lata, nie mam zimy... Nie mam szczerych przyjaciół. Nie mam także krewnych. I naturalnie nie mam miłości. Ale mniejsza o to. Mam zato czterdzieści milionów rocznego dochodu.

## CHŁOPCY.

Znikło już miasto, w którym działa się cała historia, dlatego mniejsza o to, jak się nazywało. Bo takim, jakim było wtedy, kiedy ja miałem dziesięć lat, teraz już nie jest. Sam przekonałem się niedawno; to, co dzisiaj zostawił, jest obce i nic mnie nie obchodzi.

...Najpierw znikła Olga Roland. Ale wpada mi jeszcze do głowy to i owo o mieście. Że ulice były wąskie. Tak strasznie wąskie, że nie pojmuję, jakim cudem mogli przechodzić dorośli ludzie. A ulica, w której stała szkoła, miała kolor piernika albo bursztynu.

Wiem, że raz, po południu, po szkole, domy tak się świeciły, jakby były szklane i jakby wewnątrz płonęły ogromne lampy.

A tego samego popołudnia usłyszałem po raz pierwszy o niej.

Był dziwny zapach w powietrzu, i gdy tylko wspomnę o tych czasach, zjawia się zaraz i zapach. Na balkonach i oknach były wazonki z kwiatami, a przy oknach stały kobiety i patrzyły, jak my idziemy ze szkoły.

— Kocham Olgę Roland — rzekł do mnie Janek. I w tej chwili cały świat się zmienił.

— Kto to jest? — spytałem cicho. Wstydziłem się za Janka. Spróbowałem nawet zćmiać się głośno... ale mój śmiech dźwięczał jakoś inaczej, niż chciałem, tak, jakby zmienił się w dusznym powietrzu.

— Mieszka w tym samym domu, co my — mówił Janek; — jest przecudnie piękna.

A kiedy powiedział „przecudnie piękna”, wiedziałem natychmiast, jak ona wygląda, choć jej przecież jeszcze nie opisał. Wiedziałem nawet, że ma różę w złotych włosach i białą sukienkę.

Rzekłem w duszy kilka razy: ...Olga Roland...

Bawiłem się tem, jak miękką brzoskwinia... a imię było właśnie takie, jak chciałem.

...Jak aksamit... — myślałem sobie o niej. Było to przed świętami... i nigdy przedtem, nigdy w życiu, nie czułem w sobie tyle szczęścia.

Pytałem się Janka o tysiąc rzeczy.

— A czy też ona wie, że ją kochasz?

— Wie — odpowiedział Janek.

Na samą myśl, że ona wie, zaczerwieniłem się ze wzruszenia.

A przytem czułem: ...Janek wcale jej nie wart.

W owych dniach ustawicznie paliła mi się twarz i ciągle powtarzałem w myślach jedno słowo.

Rankiem nie potrzebował mnie ojciec budzić. Bo nagle wiedziałem, kogo mam kochać, i skoro tylko otworzyłem oczy, myślałem:

...Przed szkołą i, po szkole będzie mi Janek o niej mówił.

Ale czasem bywał Janek strasznie roztrzepany, i sam musiałem przypominać mu Olgę Roland.

— Pójdziemy do zielonego stawu — gadał — i nałapiemy dużo pływaków.

Takie głupstwa miał w głowie!

A pewnego dnia — było to w Wielki Tydzień i przypominam sobie, że wtenczas, przy każdym kroku tak męczyło mię słońce, iż najchętniej, byłbym się był na ziemię położył i trochę popłakał — oświadczył Janek nagle:

— Teraz ją zobaczysz... Ja\* cię tam zaprowadzę. Te słowa rzekł tak uroczyście i surowo, jakby nie można mu się było sprzeciwić.

— Nie, nie, — broniłem się ze strachem — ja nie pójdę do obcego domu... a przytem ona nie jest moją, tylko twoją.

— Jesteś mym przyjacielem, czy nie? — zawołał Janek jeszcze uroczyście, tak? że aż spadł mu z głowy kapelusz.



W nocy robiłem sobie potem gorzkie wyrzuty; jak mogłem powiedzieć, że Olga Rolna pojedynek. Bo stało się tak, że byliśmy u Olgi Roland, i chociaż nie śmiałem dobrze się jej przypatrzeć, to jednak pokazało się, że była akuratnie tak piękna, jak sobie wyobrażałem przedtem. A zwłaszcza jej głos wydał mi się najśłodszym ze wszystkich głosów. I nie

mogłem się powstrzymać, aby nie powiedzieć Janicowi zaraz po naszej wizycie;

— Kocham ją więcej, niż ty.

Przy tem dobrze wiedziałem, na jaki narazam się niebezpieczeństwo. Ale rzekłem te słowa spokojnie i stanowczo, jak we śnie i jakby Janek nie był dużo ode mnie silniejszy.

A nawet dodałem:

— Czy mógłbym żyć dłużej bez niej?

Także Janek był spokojny z początku, a kiedy zawołałem, że nigdy w życiu nie widziałem piękniejszych złotych włosów i nigdy w życiu piękniejszej białej sukni, wcale się nie uniósł, tylko powiedział: Jej włosy są czarne, a jej suknia czerwona.

I dopiero po chwili zbladł, spojrzął na mnie i szepnął:

— Przecież nie możemy obaj z nią się ożenić... A ja tylko kiwnąłem głową i wyobraziłem sobie wszystko, co teraz nastąpi.

To samo Janek pomyślał... a wieczorem był pojedynek. Nie bałem się ani trochę i ani przedtem, ani potem nie trapiły mnie myśli. I tak bronią naszą były tylko laski. A mała ranka, którą miałem później na prawej .tce, piekła mnie prawie przyjemnie, i powiedziałem sobie, że piecze tak słodko, jak moja miłość.

Ale Olgę Roland kochałem odtąd jeszcze więcej, niż przedtem. Tak, jakby siedział we mnie ptaszek i śpiewał tę samą pieśń od rana do nocy. Tylko nie miałem teraz nikogo, z kim mógłbym o niej mówić.

Wpadł mi na myśl mały Piotruś i jemu zacząłem opowiadać... ale potem wziął mię jakiś wstyd, a nawet strach, sam nie wiedziałem dlaczego.

W nocy śniło mi się, że mały Piotruś podpalił całe miasto pochodnią, którą ja mu dałem do ręki. I zbudziłem się, znowu zasnąłem, i śniło mi się, że mały Piotruś dostał różę, którą Olga Roland nosiła w swych złotych włosach.

— Pamiętaj, Piotruś, — krzychałem nazajutrz — żebyś nie mówił nikomu tego, co ci opowiadałem!...

— Nie, nie... a ty opowiedz do końca!

— Także Jankowi nie mów.

— Nie... a co było dalej?

Dałem się skusić i znowu mu się zwierzałem.

... A w Wielkanocną niedzielę było, jak w lecie, i dziewczęta miały kwiaty w ręku i biły dzwony.

Na rynku, przy studni, stał Janek w jasnym ubraniu i rozmawiał z Wickiem, który był moim wrogiem.

...Oto teraz jego przyjaciel! — pomyślałem i zacząłem głośno świstać.

Słyszałem, jak mówił Janek:

— Jutro pójdziemy do zielonego stawu...

Przeszedłem naumyślnie całkiem blisko koło nich, tak, jakbym ich nie znał.  
Ale za chwilę wziął mię smutek i pomyślałem: Ei  
...Janek opowiada swemu nowemu przyjacielowi o precudnie pięknej dziewczynie.  
... byłem już daleko, za kościołem, przy wyso

kich topolach, kiedy usłyszałem jedno szeptane słowo, potem drugie :

— ...precudnie piękna, precudnie piękna... Tak, że stanąłem i obejrzałem się. A kiedy nie  
ujrzałem poza sobą nikogo i tylko wysokie topole i świątecznie białą szosę i dalej w tyle mnóstwo małych, żółtych  
domków, powiedziałem sobie:

...Tam w mieście mówią wszyscy chłopcy o Oldze Roland i słyhać aż tu ich mówienie, jako szept cichutki... i wszyscy  
są aż chorzy z miłości i tylko dlatego jest tak, jak w lecie, i tylko dlatego biją dzwony.

Ale wiedziałem, że niezadługo wszystko się rozstrzygnie... a że ja kochałem ją najwięcej, więc i ona najwięcej mnie  
będzie kochała.

Drugi dzień świąteczny był ku końcowi smutny, tak, jakby nazajutrz miał ktoś umrzeć. A po świętach zaczęła się  
znowu szkoła.

„Tomek kocha Olę Roland” — było napisane dużymi literami na tablicy.

Rozgniewałem się i poszedłem do Tomka, z którym dawniej nigdy nie mówiłem słowa, i spytałem :

— Czy to prawda, co napisane?

Tomek zaczerwienił się i spojrzał w inną stronę.

— No to co?... mruknął — Wicek opowiadał mi o niej...

Potem wszedł nauczyciel, i zrobiło się cicho. Ale Adaś, który siedzi koło mnie, napisał do Tomka list na karteczce... i  
mogłem każde słowo przeczytać.

Spytał go: H

„Jak ona wygląda?” m

A po kilku minutach przeczytał nauczyciel całkiem głośno odpowiedź, którą złapał u Tomka :

„Ma kasztanowe włosy i zieloną suknię”.

Wszyscy się śmieli... a kilku zaczerwieniło się, i ci śmieli się najwięcej. A Tomek musiał stać na środku aż do końca  
lekcji. I szepty były po wszystkich ławkach... a że okna były otwarte, więc słyszało się i kosy, które śpiewały w  
ogrodzie, i nikt nie uważał. Było coraz cieplej i cieplej — —

— Nie wiem — powiedziała jedna pani do drugiej — dlaczego ta dziewczyna podoba się głupim chłopcom... ale to  
pewna, że dostaje od nich listy i wiersze miłosne.

— Która dziewczyna? — spytała tamta pani.

— Olga Roland... Ta, która idzie właśnie przed nami i ma rude włosy i niebieską suknię — —

...Aha! — pomyślałem — oto idzie Olga Roland...

Było to w lesie. W największym ze wszystkich lasów świata, bo odkąd wyrosłem, nie widziałem większego. pełno w tym lesie było dziewcząt i chłopców.

Na dużej polanie, gdzie rosną najpiękniejsze kwiaty w świecie, była potem zabawa i nawet muzyka.

Przypominam sobie, jak sen—to wszystko. Wiem, że dziewczęta uciekały, bo miała być gra, przy której się całuje, i dopiero jakiś pan starszy musiał za nimi biegać i każdą z osobna łapać.

Potem rzekł starszy pan do Janka: |

— Teraz pójdziesz i pocałujesz dziewczyną, która ci się wydaje najpiękniejszą ze wszystkich.

A ja pomyślałem: ...Pocałuje Olgę Roland. I wszyscy pomyśleli: ...On pocałuje Olgę Roland.

Dziewczęta odwróciły się, jakby ich nic nie obchodziła zabawa. A oczy ich pełne były smutku i wstydu, jakby nie miały żadnej nadziei.

tylko Olga Roland stała dumna i pewna siebie na przedzie.

Ale Janek namyślał się, namyślał i pocałował., jakąś inną dziewczynę.

Wszyscy klaskali w ręce i krzyczeli z wielkiego zdziwienia i wzruszenia.

Starszy pan rzekł do mnie:

— Teraz ty pójdziesz i pocałujesz dziewczynę, która ci się wydaje najpiękniejszą ze wszystkich.

A ja pomyślałem: ...Pocałuję Olgę Roland. I wszyscy pomyśleli: ...On pocałuje Olgę Roland.

Zbliżałem się do niej powoli i szeptałem w duszy: ...Królowo serca mego...

Spojrzałem na nią i... stanąłem. Spojrzałem na jej usta i nagle uczułem: Olga Roland jest brzydka.

Zawstydzilem się.

Potem, nie wybierając długo, pocałowałem... jakąś inną dziewczynę.

Catowali wszystkie dziewczęta po kolei. Tylko nie całowali Olgi Roland, bo była brzydka.

— Nie rozumiem... — powiedział Janek — byłem po prostu ślepy...

I wstydziłem się wszyscy. Ale Olga Roland od tego czasu znikła.

A niezadługo potem znikło i miasto, w którym się działała cała historia. Dlatego mniejsza o to, jak się nazywało. Bo takim, jakim było wtedy, kiedy miałem dziesięć lat, teraz już nie jest.

SERCE KORY, BALETNICY.  
(WARYACKA HISTORIA.)

Baletnicą była, kochało ją raz na tydzień kilkuset ludzi. Nawet kobiety i dzieci. A kilkunastu ludzi kochało ją stale. Ogółem było tych stałych więcej... ale z czasem pozabijało się bractwo. Bo była równie niemiłosierna, jak piękna. Nazywała się Kora.

Taka niewiasta robi w mieście dużo ruchu i życia. Jest „dodatnim czynnikiem” po prostu... mimo wszystko, co mówią na ten temat poważniejsze matrony. Kora, Kora się nazywała.

Oprócz tego miała także (głównie na afiszu) nazwisko rodowe, którego jednak nikt nie mógł wymowie i które było zresztą tak nierealne, jak wszystkie rzeczy w teatrze. miała znacznie już realniejsze brylanty od różnych żyjących i przedwcześnie zgasłych dżentelmenów, także willę za miastem, papiery w banku, talent w nogach i łasi noi least — masę wierszy od różnych poetów z wąsami i bez wąsów.

Bo wiersze pisali o niej, przeciw niej i dla niej. I nie tylko to. Truli, strzelali, kradli... Karyerę dla niej robili, wyścigi wygrywali... Wogóle była stymulanssem, natchnieniem, biczem, ogniem...

Co do wierszy, robił je obecnie ośmnastoletni chłopak — zresztą wcale porządny i z dobrej rodziny.

Wiersze o niej — na razie. To pierwsze stadyum. Wierszewybuchy, wierszeoświadczenia... Dla siebie, — dlatego, że kochał. Kora odczytywała je niekiedy publicznie, (kiedy chłopaka nie było w salonie). Pisał więc... przecie dla niej... ale nie wiedząc o tem. Wogóle... miał ośmnaście lat. Nazywał się Maryusz.

był drugi, nazwiskiem Ryszard, który mógł się tem jedynie pochłubić, że go wydziedziczono — dla niej. był trzeci, nazwiskiem Karol, który dla niej zgłupiał, bo niegdyś rokował wcale piękne nadzieje, ale kiedy poznał Korę, stracił wszystkie myśli, prócz jednej. był czwarty, nazwiskiem Gustaw, który — chociaż syn chłopski — dla Kory został ministrem. I piąty, nazwiskiem Teofil, który niegdyś podobno mówił... a obecnie tylko na Korę patrzył i patrzył. szósty, nazwiskiem Artur, który przez Korę stał się największym wynalazcą tego par excellence technicznego stulecia. Było ich i więcej... ale tych sześciu, to sztab generalny, — minimum, bez którego salon Kory nie miałby fizyognomii (a niniejsze opowiadanie nie miałoby sensu).

Artur był z powołania technikiem. Miał wobec tego blond włosy i niebieskie oczy. mimo miłości, nie zapomniał, że jest technikiem. Tak głęboko i mocno tkwiło w nim powołanie, (które jest zresztą może kwestya pigmentu). rzekł do siebie razu pewnego, zbudziwszy się nagle o trzeciej zrana:

— o czym to ja?... Aha, prawda: myślałem we śnie o tej niewątpliwiej, a dotychczas jakoś technicznie nie zużytkowanej sile, która jest w... biciu ludzkiego serca. O tem śniło mi się... Właściwie cierpię nieświadomie od dłuższego czasu z powodu tego absurdu, że — kocham. POCO? POCO? Jeżeli wszelka czynność serca, przechodząca miarę najkonieczniejszą do życia... jeżeli np. kochanie jest wogóle zbyt, marnotrawstwem, to tem bardziej kochanie bez wzajemności, jak w tym przypadku, jak w moim przypadku. Co zrobić z tą nadwyżką? Czy nie dałaby się ona zamienić jakoś w ruch, w głos, w światło? Ale jak? Jak?

Kobiety lubią marnotrawstwo. Więc Kora wyśmiała naturalnie bezlitośnie praktycznego admiratoratechnika. Zdeptała go niejako jednym słowem, opluła go niejako jednym spojrzeniem — coram publico. A cały salon, (który był, rzecz prosta, wyłącznie rodzaju męskiego), aż zawył z nieklamanej radości. Ale za kilka tygodni...

Mianowicie: kobiety lubią także powodzenie. Dopóki myśliciel jeszcze myśli... bada, pyta się, drogi szuka, dopóty dla kobiet — nie jest. Zaczyna być dopiero z chwilą, kiedy z myśli „coś jest”. Coś, cokolwiek, co pewną wartość posiada... Jeśli nie wielki, nowy statek, poruszany nową siłą, to przynajmniej model, piękny, zgrabny model nowego statku. ...Za kilka tygodni stał model taki, wielkości małego roweru, — niby rzecz poważna i rzeczywista.

niby prześliczne cacko — w salonie panny Kory, baletnicy teatru cesarskiego.

— I to będzie naprawdę długo się ruszało? — nie dowierzała Kora.

— Tak długo, jak długo będzie żyło moje serce — powiedział Artur.

Salon (rodzaju męskiego) zawahał się przez chwilę, czy się śmiać, czy nie śmiać. Ale Kora miała twarz poważnie skupioną — więc nikt nie pisnął.

Poczem rozpoczęły się demonstracje na stawie przed willą.

Artur połączył „okręt” długim drutem z aparatem, umieszczonym—na swem sercu, i puścił go na wodę.

— Rusza się, jedzie! — krzyknęła Kora z uciechą. Statek płynął po gładkiej zwierciadle wody,

jakby miał duszę parową, albo elektryczną. Ale „motorem” jego było tylko — kochające serce Artura. wszyscy to rozumieli; wszyscy spoglądali z podziwem, graniczącym z przerażeniem, na młodego mężczyznę, którego sentyment działał, jak najordynarniejsza siła fizyczna.

Młody człowiek szedł, potem biegł... leciał... wzdłuż brzegu stawu za płynącym statkiem.

— Patrzcie na niego — mruknął naraz Gustaw z lekko drwiącym akcentem.

W tem leceniu lokomotywy (Artura) za okrętem było niewątpliwie coś komicznego. Wszyscy to uczyli, a kiedy Kora nieznacznie się uśmiechnęła, całe zgromadzenie wybuchło nagle głośnym śmiechem.

— Czy pan będzie biegł tale samo kiedyś nad oceanem Atlantyckim? — spytała nielitośnie baletniczka.  
— Naturalnie, że... nie — odpowiedział w pełnym biegu Artur, sapiąc straszliwie. — Kiedy wybuduję kiedyś prawdziwy statek, będę siedział naturalnie w statku...

A po kilku krokach dodał:

— Razem z panią...

— Głupstwo! — krzyknął zuchwale Gustaw. — Kiedy będzie chodziło o poruszenie prawdziwego statku, wtedy serce pańskie okaże się chyba za nędzną siłą...

— Myśli pan? — sapał Artur.

Nagle stanął, odczepił się od statku i spojrzał na nich dużemi, przerażonemi oczyma.

— Myśli pan?... — powtórzył.

Ale nagle twarz jego się rozjaśniła i krzyknął:

— Już mam! Jeżeli moje serce okaże się za słabe wtedy wezmę do pomocy i wasze serca. Zrobię baterie z serc was wszystkich, którzy kochacie najpiękniejszą kobietę tej ziemi... będzie nas sześć serc, (siedem z sercem Kory). Wszyscy siądziemy do statku, który zbuduję... i wszyscy będziemy tego statku duszą... i popłyniemy, dokąd się nam spodoba, a raczej dokąd się spodoba naszej królowej.

Projekt ten przyjęto z szalonym, głośnym entuzjazmem. Właściwie każdy wolałby pojechać z Korą we dwoje, ale zarazem czuł każdy, że to niemożliwe. I zresztą każdy w głębi duszy myślał:

...Co za rozkosz być choćby w ten sposób połączonym z Korą! A może się zdarzyć, że w ciągu podróży innych dyabli wezmą, a wtedy popłynę sam z tą jedyną kobietą... i będę jej panem; na jakąś dziką wyspę ją wywiozę i tam...

Za kilka miesięcy okręcik był gotowy. (Potrzebnego kapitału dostarczyły — długi, zaciągnięte wspólnymi siłami). A pewnej majowej nocy fantastyczny statek wypłynął z Hawru.

Z początku szło wszystko jak najlepiej. Pogoda wprost niedzielna przez ośm dni i nocy. A Kora słodka, jak miód, wesoła, wszystkich łaskawie traktująca. Kapitanem był naturalnie Artur, ale zachowywał się dosyć skromnie, i nikt właściwie nie był o niego zazdrosny, pomimo, że Kora wyróżniała go cokolwiek, stawiając mu głosem dziecięcym różne pytania technicznoserdeczne.

Ale dziewiątego dnia Kora zaczęła ziewać. I dla zabawy jęła męczyć kapitana. Najpierw delikatnie...

— Ach, jak pan rozkazuje I... Aż głowa mię boli. Boję się bardzo, żeby pan nie dostał nagle manii wielkości.

Potem ostrzej. W nocy księżycowej spytała go cicho:

— Dla kogo bije moje serce? Bo przecież bije tak, jak wasze serca... i z wami porusza okręt. Kogo ja Kocham?

Artur zbladł. Bo naturalnie myślał: Ona mnie kocha. I wszyscy myśleli: Ona mnie kocha.

A gdy Kora nachyliła się do niego i szepnęła mu do ucha imię ośmnastoletniego poety... serce Artura pękło z rozpaczy. Zachwiał się i runął.

Nikt za nim nie płakał. Kora z początku udawała poważną... ale nagle zaśmiała się pogardliwie i rzekła:

— A jednak płyniemy tak szybko, jak przedtem. Najlepszy dowód, że serce Artura nie biło zbyt energicznie.

Na to zawołał ośmnastoletni poeta:

— Naturalnie, że nie. Kramarz był, nie kochanek, kiedy wpadł na koncept, żeby robić z miłości maszynę i okręt nią poruszać.

Kora spojrzała na niego ostro i szepnęła:

— Lepiej robić z miłości dobrą maszynę, niż złe wiersze...

Maryusz jęknął:

— Nie kocha mnie... I upadł do morza.

Reszta mężczyzn nie posiadała się z wewnętrznego dobrego humoru. Każdy myślał z satysfakcją: Im nas mniej, tem lepiej. Ale Kora siedziała nachmurzona i szalem okryta na pokładzie i mówiła od czasu do czasu, patrząc na niebieskie fale:

Wszystko pochodzi z tych ciągłych waszych kłótni i zawiści. Szkoda chłopca; — co za osieci...

Była wściekła i niebezpiecznie było ją zaczepiać. Gustaw (który dla niej został ministrem) obserwował ją przez jakiś czas niespokojnie. Wreszcie nie mógł

się powstrzymać, przystąpił do niej i zaczął mówić nerwowo i cicho:

— Nie wytrzymam dłużej. Ciągła niepewność... W dodatku morze nie jest już tak spokojne, jak przedtem. To wpływa strasznie na mój ustrój fizyczny i psychiczny. Dostyc tego!... Niech pani położy nareszcie koniec tej męce!

— Może pan każdej chwili wysiąść — powiedziała Kora przez zęby.

Gustaw ścisnął jej rękę.

— Nie śmieć się!... Mówię ci, że ten statek porusza się tylko moją miłością... Tylko moją! wiem, że ty mnie także kochasz. Wylądujemy, jak najprędzej... pozbadźmy się tych ludzi!... Powiedz, że mnie kochasz...

Kora zaśmiała się po raz pierwszy od śmierci Maryusza.

I śmiała się tak okropnie, że Gustaw zrozumiał. Przez balustradę skoczył do wody.

Dziwnym trafem od tej chwili woda znowu się uspokoiła.

— Cudowna pogoda! — zawołała Kora z uciechą do swoich towarzyszków.

Była nagle tak wesoła, jak na początku jazdy.

— Tańczyć! — krzyczała ciągle — tęskni mi się do tańca!... Ach!... gdyby tu było więcej miejsca!...

Tańczyła w wyobraźni. Patrzała na wodę... i śmiała się; w głowie jej była muzyka i poruszał się cały balet...

A powodem tego wesela była nagła myśl, która jej po samobójstwie Gustawa przyszła do głowy. Myśl cudowna, wypełniająca ją gorącą dumą. Z nadmiaru wesela szepnęła jeszcze na ucho Ryszardowi, że kocha Karola... a — potem

Karolowi, że ubóstwia milczącego Teofila. A kiedy pękły z żalu i te dwa serca, zawołała z tryumfem do wpatzonego w nią niemego młodzieńca :

— Oto, płyniemy tak szybko, jak przedtem! Nic się nie zmieniło, nic. Czy nie czujesz, że płyniemy tak szybko, jak przedtem ?...

Młodzieniec, (który niegdyś podobno mówił, ale teraz z miłości dla Kory już tylko na nią patrzył i patrzył), położył rękę na swych piersiach, jakby chciał powiedzieć:

...To moje serce porusza statek. Serce moje, człowieka, który milczy. Wierz mi, serce człowieka, który milczy...

— Nieprawda! — wołała Kora ze śmiechem. — Kłamiesz tak, jak oni...

Oczy Teofila przysięgały:

— Nie kłamię. Moje serce porusza statek. Serce człowieka, który nie umie się wyrazić...

Ale Kora śmiała się i powtarzała:

— Nieprawda. Przyszła mi myśl cudowna... Myśl, że nikt inny nie porusza statku, tylko ja... ja sama ! Ha! ha! ja sama! Słyszysz? Nie kocham ciebie. Mam za szerokie serce, żeby kochać jednego. Cały świat jest w moim sercu. Mam je tak silne i mocne, że

nie potrzebuję ciebie... nie potrzebuję nikogo. Idź... do morza zimnego, ty zimny... ja chcę tańczyć.

I rzuciła go do wody, gdy jeszcze na nią patrzył. patrzył na nią, kiedy już podrzuciła nim wzburzona woda. I woda go pochłonęła i znowu podniosła do góry... i on, już trup, jeszcze na Korę patrzył.

A Kora tańczyła. Sama tańczyła na statku, poruszonym jej sercem. I kochał ją księżyc, kochały ją gwiazdy... kochało ją dzikie, wzburzone morze. Bo była im siostrą. Bo była kobietą.

O CZŁOWIEKU,  
KTÓRY SIĘ UCZYŁ KŁAMAĆ.



Ambitny człowiek. Był jeszcze młody, ale czuł, że trzeba wcześniej zacząć. Czuł, że życie pędzi, jak pociąg błyskawiczny. A właściwie niema wogóle stacyi. Niema czasu na wypoczynek, ani do namysłu. W życiu nie może się nic stać „za wcześniej”, ale co krok grozi jakieś „za późno”. Więc postanowił nie tracić czasu i zaraz się uczyć... A mianowicie—kłamstwa, bo tego jeszcze nie umiał.

Zresztą był przystojny i nie głupi. Miał także kamienicę po ojcu. Ale to nic nie stanowi. Trzeba strasznie dużo umieć. Bo inni umięją strasznie dużo. Chodzi o to: „kto silniejszy?”

Spytał się raz doświadczonego starca z siwą brodą (i z wprawionymi zębami), jak to się uczy kłamać... Starzec uśmiechnął się dobrotliwie, poklepał go po plecach i pochwalił za chęć do nauki... Ale oświadczył, że sam go uczyć nie może...

— Widzisz, mój drogi, ja sam... (Bogu dziękować) kłamię jeszcze nieźle... Ale uważasz... niejeden umie poprawnie mówić, a nie zna gramatyki... Zresztą, przyznam ci się otwarcie, że to, co umiem, zawdzięczam prawie wyłącznie kobietom... Dlatego ci radzę...

— Rozumiem — przerwał młodzieniec, który był bardzo pojętny — radzisz mi uczyć się u kobiet.

— Tylko nie myśl, — dodał starzec — że to będzie nauka, jaką znałeś dotychczas, t. j. teoretyczna... Kobieta ma tę metodę, co życie. To znaczy: kobieta nie ma żadnej metody. A mimo to nauczysz się od niej więcej, niż od filozofów. Prędzej, czy później, będziesz kłamał tak, jak ptaszek śpiewa.

— Rozumiem — ucieszył się młodzian, który był bardzo pojętny.

Za kilka dni zaczął bywać w domu damy kameliowej, którą kochało całe miasto.

— O czym myślisz, młodzieńcze? — spytała go dama kameliowa, bo stał, („oparty malowniczo o kominek”), i śledził wszystkie jej ruchy, uporczywym, nieinteligentnym wzrokiem.

Młodzieniec zarumienił się, ale odpowiedział:

— Myślę, że niema chyba na świecie piękniejszej kobiety...

Powiedział to tak głośno, jakby był w lesie, nie zaś w salonie pełnym gości. Więc wszyscy zaczęli się śmiać. A także dama kameliowa, która zresztą była ogromnie kontenta.

A kiedy zostali sami we dwoje, (bo potem zostali sami), spytała go dama kameliowa, (a siedzieli naturalnie na miękkiej kozetce):

— Czem jest twój ojciec, młodzieńcze? A młodzieniec odpowiedział :

— Rzeźnikiem.

Wtedy zaśmiała się, jakby młodzieniec powiedział był coś dowcipnego, i głaszcząc jego, („jasne, jedwabne”), włosy, spytała:

— Czy ty mówisz zawsze prawdę, młodzieńcze? „Na, masz!” — pomyślał młodzieniec, zarumienił się i szepnął ze wstydem:

— Niestety...

— Dlaczego „niestety”? — zfijeowała się dama kameliowa...

Wtedy młodzieniec opowiedział, jak i co... A ona słuchała z zachwytem.

— Więc ty naprawdę nie umiesz kłamać?

— Nie.

Cieszyła się i śmiała do łez, jakby wygrała szczęście na loteryi. Śmiała się... i tańczyła z młodzieńcem i bez młodzieńca... A kiedy już wszystko poprzewracane było do góry nogami... nagle spoważniała i, patrząc młodzieńcowi w oczy, rzekła rozkazującym głosem :

— Żebyś ty mi się nie ważył uczyć kłamać, smarkaczu !...

„Na, masz!" — pomyślał młodzieniec, westchnął i zaczął się namyślać, co robić.

Bo to było naturalnie przykre, że pierwsza kobieta, na którą trafił, nie chciała go uczyć. Wiał nieszczęście, że wpadł właśnie na damę kameliową... Stracił trzy godziny czasu — pomyślał, patrząc ukradkiem na zegarek. I postanowił pójść zaraz do domu, gdy tylko deszcz przestanie padać. Ale tak się jakoś dziwnie złożyło, że tej nocy deszcz padać nie przestał.

...Tracę niesłuchanie dużo czasu — myślał młodzieniec przez kilka miesięcy.

Bo tak się jakoś dziwnie złożyło, że przez kilka miesięcy bywał codziennie u damy kameliowej. Nie robił postępów w nauce, (...a życie pędzi jak pociąg błyskawiczny I). Z początku bardzo go ta myśl dręczyła, a z czasem pozbył się takich złych nawyczek, jak myśli. Nawet trafiało się, że całymi tygodniami był pijany z miłości. zamiast pytać się damy kameliowej, jak nauczyć się kłamać, — pytał się ciągle:

— Czy ty naprawdę mnie jednego kochasz, („najdroższa") ?

A ona odpowiadała:

— Tylko ciebie... A zresztą nikogo na świecie...

raz przyszedł do niej o pół godziny za wcześnie. Nie wiedział, że tego nie powinno się robić. Bo to nieprzyjemnie, (zwłaszcza dla tego, który przychodzi za wcześnie). Uciekł... „jak oparzony". Zdawało mu się, że świat się kończy. Serce jego wyło, jak lew, któremu ktoś nastąpił na nogę. A ona przecież powiedziała wyraźnie: „tylko ciebie" i kilka razy : „zresztą nikogo na świecie"...

— Jesteś głupi, młodzieńcze — rzekł do niego starzec z siwą brodą (i z wprawionymi zębami), do którego przyszedł się wyplakać — poświęciłeś już dla twego naukowego celu kilka miesięcy... A teraz ta nagła ucieczka?!... Przecież teraz dopiero twoja nauczycielka dała ci pierwszą lekcję... Przecież dopiero teraz dała ci przykład kłamstwa, które...

— Nie chcę jej widzieć... nie chcę... — płakał młodzieniec, (a serce jego wyło, jak lew, któremu ktoś nastąpił na nogę) — wolę się zabić...

— Jesteś głupi, młodzieńcze — powtórzył starzec — nie mów, że wolisz się zabić. To się mówi, ale tego się nie robi, (jak zauważył radca Brack w „Heddie Gabier"). Jeżeli chcesz koniecznie coś sobie zrobić, to kup sobie bilet okrężny i jedź w świat daleki. Nic tak nie łagodzi rany psychicznej, jak zapach kolejowego dymu... Zresztą — poznaj życie... Nauczy cię tak samo sztuki kłamstwa, jak kobieta... chociaż nie w tak szybkim czasie, jak ona.

młodzieniec zaczął poznawać życie. Był to dziwny człowiek... Minęło kilkanaście lat; życie gryzło go, jak pies, przyjaciele kochali go jak... przyjaciele, dużo widział i chorował, dużo się nauczył i stracił... Ale kłamać przecież jeszcze nie umiał.

...Tymczasem dama kameliową żyła... ale musiała coraz więcej corriger la nature... Bo la nature obchodziła się z nią coraz gorzej. Zrobiła z jej „twarzyczki” coś niewymownie smutnego... Coś, co z daleka wyglądało na siedmnaście lat, a z bliska na kilka stóp pod ziemią...

I raz... (tak się jakoś dziwnie złożyło) zobaczył ją „młodzieniec” — z daleka.

Zabiło mu serce. Ogarnęło go uczucie dziwnie bolesne i słodkie. Bo zobaczył swój — pierwszy zawód.

I jej zabiło serce. Ogarnęło ją uczucie dziwnie wiosenne i rzewne...

i

Bo zobaczyła swą — młodość.

— O czym myślisz, młodzieńcze? — spytała głosem tak młodym i śmiejącym, jak niegdyś...

A on przystąpił do niej i nagle zobaczył ją — z bliska. Chwilą milczał... A potem odpowiedział głosem złamanym i drżącym:

— ...Myszę, że niema na świecie piękniejszej kobiety...

Ona spojrzała na niego z bezgraniczną wdzięcznością...

Nie wiedziała, że młodzieniec w tej chwili po raz pierwszy — skłamał.

Nagle się nauczył. — A zawdzięczał to jej, kobiecie.

FAMILIA.

I.

Siedzimy sobie z wujem na ławce. Jesteśmy po kąpielu. Naprzeciw nas siedzą te trzy panie, które kąpały się równocześnie z nami.

— Zeszłego roku nosiły kobiety ładniejsze kapelusze — zauważył wuj. Jestem za leniwy, żeby się z nim kłócić.

— Bo to nie tylko olbrzymia wielkość... ale i uważasz : forma — mówi wuj.

Potem :

— W kąpielu wszystkie trzy wyglądały cudownie... Teraz, w toalecie...

Mnie podobają się i w toalecie. Ale słońce piecze; jestem za leniwy, żeby się z wujem kłócić. A on mówi dalej o tych paniach.

— W wodzie miałem je za panny w równym wieku. Za trzy siostry. A teraz jedna z nich jest matką, a tamte są córkami...

W tem ma rację. Śmieszna rzecz... Muzyka kąpielowa gra marsza z Aidy. Jedna córka jest właściwie jeszcze córeczką. Ma króciutką sukienkę.

— Czarne pończochy jedwabne — mruczy wuj.

Wzdycham. Trzy panie wstają.

Matka była najładniejsza — sądzi wuj. Jestem za leniwy, żeby się z nim kłócić.

U.

— Rosyjska familia — zakomunikował mi portyer z pewnym roztargnieniem. To mi było za mało.

Ale po pięciu godzinach zapytałem portyera znowu (dla kontroli) i znowu odpowiedział : rosyjska familia.

A nawet zajrzał do książki meldunkowej i powiedział mi nazwisko : „Olejków" ... Teraz wiem wszystko, (rzekłem do siebie ironicznie).

Ojca rosyjskiego dotąd nie widziałem, ale to nie jest punktem najważniejszym. Najważniejszy punkt nie daje mi spokoju od rana do nocy... którą z nich trzech chciałbym osiąść? Bo każda z nich jest najpiękniejsza i każda inna. Są różnego koloru. Matka ma czarne włosy, a zresztą jest z marmuru i tylko są sinawe żyłki. Jedna córka jest cała z brązu i smukła, jak neapolitańskie dziewczęta. Córeczka ma ciemnorude włosy i skórę tak przezroczystą, że o mało się nie płacze z tęsknoty.

Odkąd szaleję za nimi, nie widuję ich już nigdy w wodzie. A przy table d'hôte także nigdy nie są. Naturalnie, gdzieżby!... Są za piękne; jedzą z pewnością przedtem albo potem.

W nocy jest czasem stopni ciepła. A i szelmy komary nie dają nam spać.

Wuj powiedział do mnie o drugiej z rana:

— Znam tylko jednego Olejkowa... Ale ten z pH wnością nie jest żonaty... M

A więc i on wypytywał się portyera. H

m.

Piąsek jest całkiem mokry. Idziemy tam i sam w kąpielowych strojach. Słońce nie piecze. Morze jest smutne.

— Przecie jest żonaty — mówi wuj — stał się człowiekiem. A ja co? Zmarnowałem życie i tyle.

Wuj trzęsie się z zimna.

— Kto stał się człowiekiem? — pytam uprzejmie.

Olejków, rozumie się. Staję.

— Więc to on jest ojcem rodziny rosyjskiej?

— Naturalnie. Ten sam Olejków. Mój przyjaciel. Bóg go oświecił, poprawił się... A ja co? Ot, sierota opuszczona i tyle.

Jest całkiem błady z zazdrości i zimna.

— Olejków był przecież większym lampartem ode mnie. Dlaczego z niego jest człowiek, a ze mnie... (powiedział nieprzyzwoity wyraz). W tym jest wielka, uważasz, niesprawiedliwość. Olejków wydał dwa miliony na baletniczki i kokoty... A teraz Bóg daje mu taką wspaniałą żonę — nie, nie żonę — ale raj.

— takie dwie wspaniałe córki — dodałem cicho. Wuj powtarza:

— Dlaczego on... — dlaczego nie ja? Myślę :

— jak tylko wuj się uspokoi, poproszę go, żeby mnie przedstawił rosyjskiej rodzinie.

Ale wuj nie chce się uspokoić. W dodatku padają krople deszczu na nasze nagie ramiona.

— To jest cud boski po prostu — szepcze wuj.— Olejków żonaty!... Co za poprawa... co za łaska nieba!...

Morze jest smutne. Idziemy tam i napowrót w kąpielowych strojach.

IV.

— Chcę być także człowiekiem — powiedziałem dziś w nocy do wuja.

Jest znowu gorąco. A my znowu nie możemy zasnąć. — A od dwóch tygodni jemy codziennie przy jednym stole z rodziną rosyjską.

Napisałem do swego pamiętnika:

„Jeśli kiedyś usłyszę, że córka jest z innego świata, nie zdziwię się bynajmniej. Wczoraj wiał scirocco, a pokój mój był aż brudny z melancholii i słoty. Aż tu nagle weszła ona do mego pokoju i natychmiast zakwitły czerwone róże w powietrzu. Nie dotknąłem się nawet jej ręki. Tak ogromnie ją cenię. Mówiliśmy — czyli ona mówiła — o przeróżnych pięknych tańcach. Hiszpania, Afryka, Paryż i Moskwa, przeleciały koło mnie. Ale to nie wszystko. Cud był w jej czystym wzroku, w jej ptasim głosie"...

Spowiadam się wujowi:

— ...Bo z początku, drogi wuju... cokolwiek się wahałem, która z nich jest najpiękniejsza ... Ale teraz zdecydowałem się stanowczo...

Wuj mi przerwał :

— O matkę nie możesz absolutnie się starać. A przecież matka jest najpiękniejsza.

— Nie, — krzyczę—zdecydowałem się. Ożenię się z córeczką, z najmłodszą.

— Córki ci nie dadzą, — sądzi wuj — córeczka jest jeszcze dzieckiem. Ma jeszcze guwernantkę...

Ale ja się zdecydowałem.

— Zresztą i guwernantka jest śliczna — mruczy wuj...

A zaraz potem chrapie.

V.

— Nie rozumiem ciebie — zaczął wuj swą piątą bezowocną konferencyą z panem Olejkowem.

Byłem przy tej rozmowie; chodziło przecież o mój los.

— Dlaczego sprzeciwiasz się tak uparcie ? Powiedz mi przynajmniej powody! To się należy... Mój siostrzeniec jest gentlemanem.

— Otoż właśnie! — odezwał się Olejków.

To „otóż właśnie” było kompletnie niezrozumiałe... Może on jest waryatem, pomyślałem o swym przyszłym teściu.

— ...A tych dwoje młodych kocha się rzeczywiście. ...

— Ha, ha — zaśmiał się Olejków i poklepał mię po plecach.

...Jest napewno waryatem, — myślałem, idąc ponura obok rozmawiający.

Wuj wpadał w coraz większą pasję.

— Poprawiłeś się, prawda, ale jesteś mimo to psem, kochany pizyjacielu... Wiesz, czym jesteś? Skąpcem. Tak !

Dlaczego nie chcesz dać memu siostrzeńcowi swej najmłodszej córki? Pogardzam twą poprawą, pogardzam...

Olejków uśmiechał się pogodnie. Nagle przerwał memu wujowi:

— Pozwól, mój drogi... czy mogę pomówić z tobą kilka słów w cztery oczy?

Teraz szedłem sam nad morzem. Czekałem. Chodziło przecież o mój los.

VI.

Tego samego wieczora wuj zafundował mi dwie butelki Cordon rouge. Ale nie upiłem się przyjemnie. Bo rzecz miała się tak...

— Rzecz ma się tak, — zaczął wuj — że Olejków nie może ci dać żadną miarą swej młodszej córki za żonę.

— Dlaczego?

— Bo ona nie jest jego córką. Tylko jego kochanką.

Wuj był niezwykle podniecony.

— To nieprawda ! — krzyczę. — Olejków jest waryatem. Nakłamał ci jakieś głupstwa...

Wuj zaśmiał się.

— Olejków nie jest waryatem. Olejków jest lampartem..

Mówię drżącym głosem;

— Ona jest jego córką. Mieszka przecież w jednym pokoju z swą starszą siostrą. Wuj śmieje się.

— Starsza córka jest mianowicie także jego kochanką. Przeklęty hultaj!

Krzyczę :

— To niemożliwe! Jego żona nie mieszkałaby przecież razem z niemi...

Wuj śmieje się.

— Zona jest także jego kochanką. Nawet guwernantka jest jego kochanką. Po prostu: harem, harem...  
Nie mogę już mówić.  
— Zresztą — powiada wuj — Olejków gotów jest odstąpić ci tę najmłodszą. To niezły chłopak. Odstąpi ci ją zaraz...  
Jest mi coraz słabiej.  
— Co, nie chcesz? — krzyczy wuj.  
Nazajutrz widzę go na promenadzie z „matką”. Potem mówię do niego ponuro :  
— Ślicznie się wuj prowadzi... Ma gwoździak w butonierce.  
— Widzisz mówi — pomyślałem sobie, że jeśli już Olejków chce jedną odstąpić, to wezmę sobie „matkę”... bo podoba mi się najwięcej, \_ \_

CEZAR.

— Zazdroszczę ci — mówię do Cezara... Siedzi, a raczej leży — (trudno określić tę niedbałą, bynajmniej nie konwencyonalną pozę) — w moim pokoju, w którym świeci się trzeźwo mała naftowa lampa na biurku. Jest wogóle trzeźwo, nieuroczyście, tak jak zwykle, mimo daty . grudnia.  
— Zazdroszczę ci, — mówię do Cezara — bo nie istnieją dla ciebie daty, kalendarz, dni uroczyste. Jesteś taki brudny i obojętny, jak zwykle. Tylko raz w życiu... wczoraj...  
...Tak, wczoraj zdawało mi się, że posiadasz coś w rodzaju duszy, nerwów, temperamentu... sam nie wiem, jak to nazwać. Dostyc, że po odjeździe pani zachowywałaś się przez cały dzień bardzo niezwykle, interesująco, poniekąd sympatycznie...  
Przy słowie „pani”, Cezar siadł prosto, normalnie. Tą zresztą prawidłową, ale u niego bardzo rzadką pozę, witamy z żoną zawsze owacyjnie. Mówimy wtedy, że „Cezar udaje psa”...  
Otoż Cezar udawał psa...  
Wspomnienie „pani” wprawiało go jeszcze w stan rozdrażnienia. Widać, że nie zablizniła się jeszcze rana wczorajsza...  
To, co się działo wczoraj, można

nazwać śmiało tragedya. Po rannym odjeździe Wandy zdawało się, że Cezar dostał pomieszania zmysłów. Wył, jak obłąkana trąba, wył o pomstę do nieba, głosem strasznym, groteskowym, nadzwierzęcym. Latał z miejsca na miejsce, gryzł się w ogon, tratował wszystko, łamał nogi, szlochał... Potem zapadł w kilkogodzinny stan zupełnego odrętwienia. Kiedy nadszedł obiad, — ach, mój pierwszy samotny obiad! Cezar przywłókł się wprawdzie, z głupiego przyzwyczajenia, do stołu, ale jedzenie po prostu dla niego nie istniało. Leżał przez cały czas pod krzesłem Wandy, żył, c niejako wyłącznie bolesną myślą o jej braku.

Przez to i ja sam odczuwałem ten brak stokrotnie. Byłbym chętnie pogadał z nim o naszym wspólnym cierpieniu, — ale on nawet na mnie nie spojrzał. Pogardzał mną najwidoczniej, pomimo że zresztą kochaliśmy się serdecznie. Pogardzał mną dlatego, że ja byłem, gdy Wandy nie było. Stanowiłem dla niego taką nikczemną quantilé négligeable, jak n. p. wodi w czasie głodu albo chleb w czasie pragnienia... A wie czór, (siedziałem przy robocie, a Cezara ułożyła ju; kucharka do snu w przedpokoju), zdarzyła się rzecz; niesłychana. Pisałem właśnie słowa : „Hrabia Erazn westchnął głęboko i przycisnął z uśmiechem smętnym do ust listek róży, upuszczony przez Klotyldę" ... kiedj nagle wpadła kucharka do mego pokoju z okrzykiem — Cezar podarł koc... Niech pan zaraz przyjdzie.. Niech go pan zaraz wybije... Podarł cały koc na dro bne strzępy.

— Jaki koc? — pytam niechętnie.

— Jakto jaki?! — krzyczy wściekła kucharka ten... ten, na którym śpi co nocy, odkąd się urodził...

— Kiedy on się urodził? — pytam bezmyślnie. Kucharka wije się z gniewu na mnie i na Cezara a ja z zakłopotaniem drapię się w głowę i staram się wszystko zrozumieć. I naraz uśmiecham się zadwoony, bo znalazłem „motyw" czynu Cezara. On to zrobił naturalnie z długo tłumionego żalu za Wandą, z boleści z powodu jej wyjazdu. Przeląła się gorąca ława jego rozpaczy... J za tę myśl kocham Cezara jeszcze więcej, niż zawsze... Ale kucharka daje mi bicz do ręki.

— Niech go pan wybije...

Biorę mechanicznie instrument, który mi dała, ale nie ruszam się z miejsca. Nie mam siły, nie mam serca, aby go bić za to...

— Niech pan bije!! — pieni się okrutna istota.

Ale ja nie moge, nie moge. Patrzę na nią błagalnie... i oddaję jej bicz z tym uśmiechem, z jakim „hrabia Erazm ucałował listek róży upuszczony przez K!otyldę". Kucharka zaś mierzy mnie od lakierków aż do łysiny lekceważącym spojrzeniem i... potem sama bije Cezara. A ja zatykam uszy i cierpię, cierpię...

To było wczoraj.

Dzisiaj, (jestem z natury bojaźliwy), cały dzień od rana spędziłem poza domem ze strachu przed niemożliwym „sam na sam" z Cezarem. Wieczór byłem na wili u zamężnej stostry, niemiłosiernie tęsknili



wciąż za Wandą... Ale wkońcu raz trzeba wrócić do domu. I w tej chwili jest trzy kwadrans na dwunastą, a ja siedzę z Cezarem we dwójkę, bo kucharka zabawia się gdzieś u krewnych w ten dzień uroczysty.

Cezar siedzi na kanapie i patrzy na mnie. Uspokoił się widocznie, ale patrzy na mnie zimno, bez krzty jakiegoś życzliwszego uczucia. Zaproponowałbym mu spanie ze względu na zbliżającą się dwunastą, ale nie czynię tego, raz z braku stanowczości w charakterze, powtóre dlatego, że koc od wczoraj podarty, a wreszcie z tego śmiesznego powodu, że chciałbym do kogoś gadać. Więc mówię, (a Cezar ani się ruszy ani ogonem nie machnie, tylko słucha z onieśmielającym spokojem dygnitarza, udzielającego audyencji).

— Jesteś dziwnym stworzeniem, mój drogi. Dziś jest . grudnia, a ty siedzisz na kanapie, jak w najordynarniejszą sobotę. Wogóle jesteś oryginałem. Już choćby dlatego, że nazywasz się Cezar, a wyglądasz, jakby ci było na imię Fifi albo Pipi. Jesteś za drobny i za elegancki na Cezara. A twych wczorajszych awantur, — to już chyba sam w tej chwili musisz się wstydić. Wyprawiałeś takie rzeczy, jakbyś był obrażony na panią za to, że wyjechała, a na mnie za to, że ją puściłem. Zastanów się trochę, a sam uznasz, że nie miałeś najmniejszej racji. — Zastanów się trochę! — Dlaczego pani wyjechała? Bo jest chora. Wiesz przecież, co to jest choroba — nie? Musisz wiedzieć — przynajmniej teoretycznie, jeśli nie z doświadczenia, bo nie jesteś z silnych chłopów, tylko

z delikatnej pańskiej rasy. Wasza rodzina — to już dynastia, a nie zwykła familia. Pani musiała wyjechać ze względu na swoje nerwy... Spędzi ten czas świąteczny w sanatorium, co nie jest chyba wielką przyjemnością. Sam przyznasz, że już lepiej wcale nie wyjeżdżać, niż do takiego zakładu, do takiej — pożałuj Boże — hydropatyi... Czy to przyjemność dla młodej, pięknej osoby? Nie, to raczej ofiara, mój drogi, stanowczo — ofiara. Bo kuracja, to ciężka praca. Musisz uważać na tysiąc srogich przepisów higienicznych, na dyetę, na... nie wiem co. I to w dodatku na Boże Narodzenie. Czy słyszał ktoś coś podobnego? Rano oględziny lekarskie, potem zimna woda, potem jakieś „Knajpy” i inne wyrafinowane kary boskie... tak z pewnością przez cały dzień do końca. Jeżeli nazywasz to rekreacją, to żał mi cię, mój drogi. A dla kogo poświęca się pani? Tylko dla nas. Bo im jej nerwy będą zdrowsze, z tem większą słodyczą będzie nas traktować — t. j. mnie i ciebie. Cóż powiesz na to?

...Siedział nieruchomy i patrzył. Wielki zegar na ścianie wybił dwunastą. nagle Cezar... odrzekł głosem spokojnym, miłym, wyraźnym...

— A cóż mam na to powiedzieć? !... Jeśli panu się zdaje, że pani robi ofiarę, to niech pan tem się pociesza. Co do mnie, to nie wierzę...

Nie zemdląłem, — ale trząsałem się ze strachu. Chciałem wstać, ale w tej chwili upadłem znowu na krzesło,,

— Ty... mówisz? — wyszeptalem z trudem.

Cezar ruszył pogardliwie pyskiem.

— Albo nie wolno? Czy pan ma monopol na gadanie? Nie myślałem nigdy, że z pana taki ignorant. Przecież my wszyscy mówimy od wieków w wilię Bożego Narodzenia...

— Co to znaczy... „my wszyscy”?

— No... my, lepsze istoty... czyli, jak wy się wyrażacie : zwierzęta. — Ale dajmy pokój tej nudnej kwestyi formalnej i wróćmy do rzeczy. Dziś patrzę już chłodniej na tę sprawę. Wiem, że one wszystkie są jednakie... Niewdzięcznice, zmije, przewrotne stworzenia!

— O kim mówisz!?

— A o kim? Naturalnie o Wandzie.

— Jakiem prawem, zuchwalcze, śmiesz mówić niej w ten sposób ?

— Tem prawem, że ją kocham. to sto razy więcej od pana, bo wczoraj o mało nie zburzyłem całego domu z rozpaczy, gdy pan pisał sobie, jakby nic, o jakimś tam Erazmie... Pan wogóle nie ma temperamentu. Nawet mnie pan nie wybił, kiedy wczoraj podarłem koc ze złości...

— Czekaj łajdaku, ja ci zaraz pokażę!

— Co mi pan pokaże ? Ot, próżne przechwałki. Pan wszystko znosi spokojnie. Wanda zostawia nas samych na święta, a pan się jeszcze nad nią rozczula...

wierzy pan w jakieś tam ofiary ! Mówi pan, że ona ma „nerwy”,... a czy ja nie mam „nerwów”? He? Miałem wczoraj taki atak, że Wanda dostałaby na

pocieszenie, w podobnym wypadku, kulię brylantową. A ja co dostałem ? Kilka kości i bity od kucharki. A w sanatorium nasza Wanda z pewnością doskonale się bawi.

— Co ty wiesz, durniu ? Tam nie można się bawić. Tam nie dają ani wina, ani piwa, ani...

— Ha... ha... pan jest strasznie pierwotny. Pan nie może sobie wyobrazić żadnej rozrywki bez picia. Ja, który od urodzenia jestem abstynentem, mógłbym panu opowiedzieć cuda o rozkoszach bez alkoholu. A co się tyczy zabaw towarzyskich, to właśnie w sanator'um...

— Milcz... bestjo, milcz w tej chwili !...

— Dopiero za dwie minuty... Moge mówić do kwadrans na pierwszą...

Ale ja wyleciałem z pokoju do kuchni, porwałem bat i za chwilę Cezar wył straszliwie, bo prałem go, jak waryat. I nagle kucharka wróciła do domu.

— A to co? — krzyknęła z oburzeniem, — pan bije biednego Cezara? W samą wilię ?! Nie wstyd panu? To grzech — to obraza boska !

z PIEKŁA.

## SCENA PIERWSZA.

Oddział kobiecy szpitala powszechnego. Noc. W łóżkach śpią pacjentki. Niebieska lampa wisząca. Z przodu, po lewej stronie siedzi BIAŁA DZIEWICA (biała twarz, biała suknia, złote włosy). W pierwszym łóżku po prawej stronie leży w agonii AKACYA (czternastoletnia dziewczyna anemiczna, blada). W tyle, pod oknem, modli się cicho SIOSTRA MIŁOSIĘRDZIA. Z prawej strony wchodzi LIFTBOY (smukły, ani stary, ani młody bez zarostu, oczy i usta przypominają trupa czaszkę, mundurek chłopca hotelowego, zatrudnionego przy windzie). Zegar bije. Po ostatnim „bim” :

LIFTBOY (do białej dziewczicy) ...To pani? Aci, jakże się cieszę, że widzę panią znowu raz in natura. Bo zazwyczaj śni mi się tylko o pani. Proszę mi wierzyć... Nie lubię mówić o swych uczuciach — ale widzę panią zawsze, ile razy zasnę, jadąc tą przeklętą windą w górę, albo na dół... (skłania się głęboko; BIAŁA DZIEWICA odwraca się dumnie). Na dół z pasażerami — w górę bez pasażerów — Przykry zawód — Co? — (ziewa.) Niech się pani nie gniewa — ale jestem zmęczony, jak pies.

LIFTBOY.

(Dwie sceny).

Za dużo osób umiera. — Za dużo mam pasażerów — z biletem do piekła —

DZIEWICA (nerwowo, szorstko). Zwracam pańską uwagę, że ta kobieta jest moja (wskazuje na jedno z łóżek po prawej stronie).

LIFTBOY (z uśmiechem). Owszem — naturalnie — Niech się pani nie boi. Ta kobieta jest pani — (po kiólkiej chwili) — a wszyscy inni są moi —

DZIEWICA (z oburzeniem). Wszyscy?

LIFTBOY. Naturalnie. Zresztą dzisiaj wezmę tylko jedną — (wskazuje na Akacyę) tę panienkę. — Tamte osobistości aż później... — He, he ! — Niech sobie jeszcze trochę pochoryją biedactwa — — Pani wygląda, jak obraz włoski, quattrocento...

DZIEWICA (załamując ręce). Straszne, straszne —

LIFTBOY. Co, złota pani?

DZIEWICA. Niech pan do mnie nie mówi. — Pan jest okrutny —

LIFTBOY. Gdzież tam. Ja biedaczysko — zmęczony, jak pies — (znowu ziewa) Pardon! — Mnie pani strasznie żal. — Pani jest za delikatna na ten interes.

DZIEWICA. Nie jestem słabsza od pana.

LIFTBOY. Nie słabsza odemnie? He, he... Ach — to przenośnia. Rozumiem. Pani i wogóle tam wysoko w obłokach... mówią wszyscy symbolicznie. My zawsze po prostu... Nie trzeba brać dosłownie — — Za to pani jest piękna... (wzdycha) Tak piękna, że aż boli... Piekło polega na tem, że pani jest piękna...

DZIEWICA (zimno). Nie ma pan w tej chwili nic do roboty ?

LIFTBOY (spoglądając na zegar). Nie. Aż za dwie minuty wezmę się do tej panienki... Niech mi pani daruje te dwie minuty — Proszę mnie nie wypędzać — — (ziewa) Ja panią... (poprawia się) ja przeklinam ową wieczność i swój zawód. — Chciałbym być umierającym dobrym człowiekiem, żeby , mię pani zaniosiła na swych rączkach do nieba... (naraz z pewną złością) Dlaczego pani nie lituje się przynajmniej nade mną? Pani powinna! Tak! Kto się ma litować, jeśli nie pani?! DZIEWICA. Może pan sobie mówić, co pan chce. Ja nie mam się litować, tylko spełniać swe obowiązki.

LIFTBOY. Ja także spełniam obowiązki. Więc pani nie ma powodu traktować mię, jak dzikie zwierzę. — Jestem koiegą pani...

DZIEWICA. Nie! Nigdy!

LIFTBOY. Ludzie myślą nawet, że jesteśmy jedną istotą DZIEWICA (wzruszając ramionami). Ludzie!... iH

LIFTBOY. Mówią o nas po prostu: „śmierć”. Taki samo o pani, jak o mnie — i nienawidzą nas obojga — mnie i pani.

— Tylko w swej ostatniej godzinie kochają nas ognistą, namiętą miłością... DZIEWICA (zakłopotana). Dostyc!

LIFTBOY (z uśmiechem złośliwym). O — pani się rumieni. Pani myśli o tym pięknym, niewinnym młodzieńcu, który w gorącej drżał w jej objęciachj

DZIEWICA (rozpaczliwie). Czy pan wie, że już minęły dwie minuty?!

LIFTBOY (patrzając znowu na zegar). Tak... (wzdycha) Niestety — Teraz czeka mnie praca — Do widzenia — ach — — (wskazując na Akacyę) — Ona już na mnie czeka — już zaczyna mię kochać... (z fachowym zainteresowaniem się).

Zresztą jest to bardzo ciekawy przypadek —

DZIEWICA (z pewnym strachem). Niech mi pan nie mówi o swoich przypadkach —

LIFTBOY. Ależ ona jest faktycznie czysta, jak rosa poranna

DZIEWICA, (żywo). ...Więc należy do mnie — a nie do pana —

LIFTBOY. Do mnie !...

DZIEWICA. Pan sam mówi, że jest biała.

LIFTBOY. Ale jej myśli są czerwone — Niech się pani przekona — Niech się pani do niej zbliży... powącha jej sny...

DZIEWICA, {wahając się.) Jej sny... Ona ma dopiero czternaście lat...

LIFTBOY. ...Ale w snych snach ma już trzydzieści... Niech się pani przekona... , DZIEWICA, (cicho.) Nie chcę...

Niech pan idzie...

LIFTBOY. Idę... Droga Akacyo, idę do ciebie — {zbliza się do łóżka Akacyi; nachylając się szep

j cze czuje:) Jestem, Akacyo... jestem —

(AKACYA. {uśmiechając się błogo.) Mój... 'UFTBOY. Czujesz mię ?

AKACYA. Więc jesteś naprawdę...

LIFTBOY. Myślałaś także o innych... Ale tamci nie

są naprawdę — AKACYA. O, tamtych już niema. Ty jesteś najpiękniejszy. LIFTBOY. Kocham cię AKACYA. Kto jesteś?

LIFTBOY. Nikt. Nie bój się, nie wstydź się. — Bo ty i ja, to jedno. Rozumiesz? Ja ty, twój sen, twoja krew...

AKACYA. Cierpię tak strasznie... LIFTBOY. Pocałuję cię, a przestaniesz cierpieć... AKACYA. PocałJj mię...

LIFTBOY (całując ją). Ty... H

AKACYA. Duszę się... Nie mogę... fl

LIFTBOY. Mam znowu odejść?

AKACYA. Nie, nie... Całuj...

LIFTBOY (obejmując ją). Moja...

AKACYA. Kocham... (dusząc się) Ko... cham... (wz

cha po raz ostatni; zbliża się Siostra Miłosie

dzia i kładzie rękę na jej sercu). SIOSTRA MIŁOSIERDZIA (po chwili biegnie do drzwi

i woła drżącym głosem do sąsiedniej sali). Panie

doktorze, proszę... Panie doktorze... Umarł numer

siedemdziesiąty drugi.

## SCENA DRUGA.

Piekło. Urząd kwaterunkowy. Skromne urządzenie. Portrety reprezentacyjne na ścianach (Belzebuba i jego metresy).

Dwa biurka. Po lewej stronie drzwi do dalszych biur piekielnych. Na prawo w kącie winda, zapomocą które]

transportuje słą nieboszczyków z góry do piekła. Przy biurkach piszą KOMISARZ i PRAKTYKANT. Przy windzie

czeka WO?NY. Słychać sygnał elektryczny.

WO?NY (meldując). Nowy transport, proszę panów. PRAKTYKANT. Nowa robota... Co to będzie, panie komisarzu ?

KOMISARZ. Niech pan popatrzy do dziennika podawczegfo.

PRAKTYKANT (szukając w księdze). Gdzież tu jest ostatnia liczba? — Aha. A. V, , , . — Teraz przyjedzie coś kobiecego — ślicznie. Młoda dziewczyna. Nazywa się Akacya...

KOMISARZ (do luoznego). Onufry — proszę mi dać małe lusterko.

XOZNY (dowlipnie). Aha, dlatego, że przyjedzie panienka...

PRAKTYKANT. Onufry! Mnie także lusterko! KOMISARZ (do praktykanta). Niech pan się nie bawi, tylko pisze.

PRAKTYKANT. Akacya — Czternaście lat — (do

woźnego) Czego pan się śmieje? WO?NY. O tak... Bo tam na górze jest wiosna — PRAKTYKANT (sentymentalnie)

Zmarło się fiołecz

kowi na wiosnę... \_\_\_\_\_

KOMISARZ. Byłem najpiękniejszym oficerem jego królewskiej mości Ludwika XV. WO?NY. W Donizettim śpiewałem najchętniej. Dostawałem co rana pięćdziesiąt listów na pachnącym papierze... PRAKTYKANT. Zmarło się fioleczkowi na wiosnę. (Pauza. — Liftem oświetlonym elektrycznie zjeżdżają LIFTBOY i AKACYA). WO?NY. Rączki całuję pięknej panience... LIFTBOY (grulnańskim tonem). Precz! Gębę stulić! (iuynosi z liftu nieruchome ciało Akacyi, kładzie je troskliwie i powoli na dywanie, klęka i pochyła się ku jej twarzy). KOMISARZ (niecierpliwie). Cóż tam, panie? Prędko, prędko! PRAKTYKANT (stojący na palcach, żeby zobaczyć twarz leżącej Akacyi). Kiedy się uczyłem u Van Dyck'a, to miał on wtedy taką samą modelkę... Ale ją zepsuł jakimś brązowym sosem... AKACYA (otwierając oczy, do Liftboya). Jesteś? LIFTBOY (klęcząc). Jestem... KOMISARZ. Niech pan z łaski swojej natychmiast podniesie stronę z ziemi i przyprowadzi ją spisania protokołu. E! LIFTBOY (nerwoivo). Niech pan z łaski swojej poczeka. W tej sekundzie ona jeszcze nie jest żadną stroną... tylko moją kochanką — (całuje ją). AKACYA. Kocham... jĖ WO?NY. Ta miłość zaraz się skończy — ĘĖ

LIFTBOY (wściekle do woźnego). Cicho, bo... zabijają!  
PRAKTYKANT. Ha, ha! zabije...  
AKACYA. Jedyny... (patrzy Liftboyowi długo w oczy; naraz jednak budzi się niejako, zrywa się szybko, spogląda z przerażeniem na niego i odpycha go od siebie ze wstrętem). Ach! — Kto to jest?!  
Straszny! —  
LIFTBOY (z chłodnym uśmiechem rezygnacji). Bon. Skończyło się. Nic nie szkodzi. Teraz może pan krzyknąć dowoli, panie komisarzu — (ogarnia go nagle wielkie znużenie; siada zmęczony w drzwiczkach windy i zakrywa rękami oczy).  
KOMISARZ (uprzejmourzędowym głosem). ...A pani zechce przystąpić teraz do mego biurka. Imię — rjazwisko?  
AKACYA (jak przez sen). Coś się stało... Coś strasznego się stało...  
WO?NY (zbliża się powoli do Liftboya, kładzie rękę na jego ramieniu i mówi tonem poufałym, litośnym) jestem już przyzwyczajony, że pan mię beszta. Nic nie szkodzi. — Pan się nie czuje dobrze — he? — Pan się nigdy nie czuje dobrze — co?  
LIFTBOY (cicho). Psiakrew... Nędza, nędza, nędza...  
WO?NY. Wiadomo. — Naturalnie. — Tyle wieków jeździć. — W górę i na dół. — W górę i na dół.  
LIFTBOY. I te irytacje, wzruszenia — — Tyle wieków. — Gdybym nie był taki wrażliwy... Psiakrew!...  
WO?NY. Czy pan i za życia był taki chudy? Co pan zbroił właściwie, łaskawy panie?

LIFTBOY {sennie). Już me pamiętam. — Miałem wielki brzuch. WO?NY. Aha...

LIFTBOY. Spokój... Dobry sen... Miękkie łóżko... WO?NY. Aha... Czem pan był? LIFTBOY. Pastorem — WO?NY. Aha, aha...

Już ciebie nie kociam, Adelo. Piszę do ciebie wyłącznie dlatego, że czasem tęsknię jeszcze do waszego życia. A że lokaj twój za chwilę przebudzi się z letargu, (dostał się do nas tylko przez pomyłkę), więc może wziąć ten list z sobą na ziemię.

im rzadziej się koresponduje, tem trudniej zacząć. Rozumie się, że jestem w piekle. Choćby tylko dlatego, że znałem ciebie. Gdzie mężczyzna przebywa po śmierci, zależy od charakteru kobiety, którą kochał za życia. Nie myśl jednak, że chcę obrazić twój charakter, (który był mi zawsze obojętny); ja tylko stwierdzam, że jesteś taka, a nie inna.

Mój świat obecny jest tak ogromny, a opuściłem wasz „padół płaczu” tak dawno, że niepodobna pisać ci o wszystkim, czego nie wiesz. Rezygnując więc z wszelkiej dokładności, zaczynam relację od... wczorajszego wieczoru, t. j. od galowego przedstawienia w teatrze głównym.

Zaprosił mnie sam Belzebub. Jest to zaszczyt tak niezwykły, że nawet pesymiści prorokują mi teraz karierę. Nawiasem mówiąc, awansuję się tu bardzo

THÉÂTRE PARÉ.

powoli, bo (jak się domyślisz) osobistości tutejsze nie znają zwyczaju umierania i przesiadują zwykle kilka tysięcy lat na jednym stanowisku. Tylko niekiedy ten lub ów dygnitarz naraz popada w niełaskę i np. z ministra staje się kancelistą. Ale zdarza się to rzadko, bo od pewnego czasu Belzebub interesuje się więcej operą, niż biurokracją. Jego piekielna mość jest niezwykle muzykalny. Panowie z najbliższego otoczenia twierdzą, że nieraz nic nie robi innego, tylko gra na fortepianie.

W teatrze głównym jest miejsce na sto tysięcy osób. Bardzo to mało w stosunku do olbrzymiej ludności stolicy; tem większa rozkosz dla zaproszonych, zwłaszcza, że niezaproszona hołota niezmiernie się wścieka. Zresztą rozkosze tutejsze są trochę... dziwne, i ty nie zniosłabyś ich z pewnością. Np. wczoraj zemdląło w teatrze czterysta osób (tego samego dnia zmarłych i dlatego jeszcze nie otrząskanych z piekłem). A i nam, starszym mieszkańcom, robiło się czasem słabo, i przy niektórych scenach całą siłą woli wstrzymywaaliśmy się od głośnego krzyku.

Dali mi fotel w sto trzydziestym rzędzie, i widziałem wszystko jaknajlepiej. Ale przedemną siedział były reporter New York Herald, który nie miał żadnego pojęcia o tem, co się dzieje. Po trzecim akcie odwrócił się do mnie nerwowo i szepnął, mrużąc oczka:

— Oho, już stroją instrumenty, więc niezadługo rozpocznie się przedstawienie.

Biedaczysko nie wiedział, że przedstawienie już się zaczęło przed dwiema godzinami. Nic nie wiedział, pomimo, że niegdyś był reporterem największej gazety na świecie. Za życia był on wcieloną „aktualnością” ; wyczuwał wszystkie zdarzenia, teraźniejsze i przyszłe, słyszał, jak trawa rośnie... A teraz opóźniały się jego zmysły, jak wskazówki starego, zaproszonego zegara. O, Belzebub karze czasem strasznie złośliwie !

Jak wszystkie przedstawienia w tutejszych teatrach, tak i wczorajsze zajmowało mię aż nadto, po prostu... osobiście. Z początku indywiduum nie rozumie całej techniki piekielnego spektaklu i widząc na scenie siebie samego pyta się: co to może interesować innych. Dopiero z czasem pojmuje się wszystko, mianowicie, że... cała publiczność widzi na scenie tylko siebie. Wobec tego nudy są wyłączone, a widzowie patrzą i słuchają od początku do końca z „zapartym oddechem”.

Wczoraj grali np. zabicie twego pierwszego męża przezemnie. Doskonała sztuka; żałowałem ciągle, że ciebie nie było w teatrze. Co do samej gry, to nigdy nie sympatyzowałem z naturalizmem w aktorstwie, a najmniej wczorajszego wieczoru. Aktor, który grał moją rolę, (imponująca kreacya), nie darował tak dalece ani jednego życiowego szczegółu, że chwilami aż skakałem ze złości na własne „ja”, i gdyby nie przyzwoitość (i poiiicya!) nie byłbym .apewne wytrzymał do końca. Ciebie grała równie utalentowana osoba.

Jeżeli przytem występowały jedynie ujemne strony twojej psychy, to z pewnością nie dlatego, że nie posiadasz dodatnich, tylko dlatego, że tak chce kierunek naturalistyczny. Bądź co bądź, byłaś straszna, i nie ulega kwestyi, że gdybym był widział cię taką za życia, to szanowny twój małżonek nie znajdowałby się obecnie w niebie. Aktor grający małżonka zwrócił przez swój wygląd po raz pierwszy mą uwagę na bezdenną idyotyczność mego czynu. Człowieka, któremu trzęsą się ręce i nogi, nie truje się przecież ęyatikalni tylko — rzecz jasna — wyzywa się na pojedynek. Byłby dziś i tak na ziemi nie istniał, a mnie żaden sąd nie śmiałby skazać na szubienicę (bo i morderstwo w formie dozwolonej jest dozwolone).

Zresztą nie myśl bynajmniej, że autor dramatu (o wielki Belzebubie!) ograniczył się tylko do zdarzeń przed moją śmiercią. Przeciwnie, to, co się działo potem, zajmowało mię najboleśniej.

Czy słyszałaś kiedy przypadkiem, jak w drugim pokoju mówią o tobie? Mówią całkiem swobodnie, bo zdaje im się, że ty nie słyszysz. Sytuacya przykra, niemożliwa — bez względu na to, czy mówią źle, czy dobrze. Bo masz wtedy takie wrażenie, jakbyś patrzyła z tamtego świata na życie, w którym jest jedno puste miejsce — twoje własne. Jeżeli przeżyłaś kiedykolwiek coś podobnego, miałaś przedsmak piekła.

Adelo, to nie prawda, że ja ciebie nie ko



cham. Gdybyś mi była obojętna, nie byłbym się wczoraj męczył. Ale rzecz ma się tak, że życie to straszna drzazga, która tkwi w nas i tutaj. Może na tem polega piekło, że życie się skończyło, a mimo to boli. Kocham ciebie i w piekle. Dlatego cierpiałem tak strasznie podczas trzeciej sceny drugiego aktu. Mówiłaś po mojej śmierci o mnie. Przytem kilka obcych kobiet piło razem z tobą herbatę, a na stole leżał ostatni numer „Mód paryskich”.

Mniejsza o to, co mówiłaś. Ale opowiadałaś o mnie tym obcym kobiecym twarzom...’ r.słyszałem po raz pierwszy, jak wymawiasz moje imię i nazwisko (zresztą nazywałaś mnie całkiem inaczej). Mówiłaś o mnie, jak o człowieku, o którym się czyta w gazecie. Jak o „niejakim” X. Y. Jak o pewnej istocie, która żyła także, żyła między innymi. Jak o istocie, która żyła i przypadkiem żyć przestała, gdy ty pijesz Jeszcze herbatę i zamawiasz sobie trzy nowe suknie. Po trzecim akcie wybiegłem do foyer, zdawało mi się, że rozdrażnienie moje przechodzi wszelkie możliwe granice. Ale przystąpiła do mnie hrabina BacoIlcCastelli, która trzęsła się, jak galareta z irytacji.

— Może mi pan wierzyć, albo nie wierzyć, — zaczęła rozmowę — ale autor przesadza okropnie. Zaręczam panu, że tak źle nie było.

— Owszem, madame la comtesse, było tak źle \_  
właśnie tak, nie inaczej. \_\_\_\_\_

Zaczęła płakać.

rYTELNIR

— Przyznaję panu, że za życia czasem mówiła nieprawdę. Ale nigdy nie kłamałam tak głupio, jak utrzymuje Belzebub w sztuce.

— Przecież o pani wogóle nie było mowy...

— Jakto nie było? Czy pan jest głuchy i ślepy?! Właśnie, że o mnie o niczem innym — tylko o mnie...

... Aha! — przypomniałem sobie właściwości piekielnego stylu, i zacząłem tłumaczyć pani hrabinie, że ona widziała inną sztukę, a ja inną.

Ale kobiety słuchają zawsze z roztargnieniem wykładów teoretycznych.

— Niech tam będzie sobie, jak chce — z tą pańską techniką — ale to pewna, że inni także kłamali...

Zacząłem się śmiać.

Jakie to zabawne, że pani się przede mną tłumaczy! Przecież nie ulega wątpliwości, że pani uznaje swoje życiowe... błędy rachunkowe, bo inaczej sztuka dzisiejsza nie byłaby zrobiła na pani hrabinie najmniejszego wrażenia.

Popatrzyła mi przez pewien czas z jakimś bolesnym osłupieniem w oczy.

Vous êtes ridicule. Ja się nie irytuję wcale z powodu jakiejś mojej winy, której właściwie nie byio, tylko dlatego, że autor jest tak nietaktowny i niesprawiedliwy. Pan mówi; „błędy rachunkowe” ...boni Zgadza się na to wyrażenie. Ale wszyscy robią te błędy. Tylko jedni całkiem naiwnie, a drudzy z urny

słu. Niech mi pan powie, o ile wpływa na rezultat całego rachunku różnica między błędami kłamcy, a błędami uczonego albo idyoty? Niechże pan powie? Przecież błąd jest błędem bez względu na to, co go wywołało. O cóż to chodzi? O harmonię w świecie. A tej harmonii nie byłoby nawet wtedy, gdybym ja zawsze była mówiła szczerą prawdę. Bo nie skłamię ja, to skłamię ktoś inny, i ogólny rezultat będzie w każdym razie mylny.

Rozgadała się baba, że aż miło, i paradoksy strzelały, jak rakiety, w powietrzu. Po niewczasie przypomniałem sobie, że tutaj kobiety nigdy nie widzą swej „winy”, a jeżeli mimo to cierpią w teatrze, to nie ze względu na siebie samych (jak mężczyźni), tylko zawsze dlatego, że autor jest „tak nietaktowny i niesprawiedliwy”.

W każdym razie cierpią.

A jeżeli zachowują się przytem zawsze godnie i nigdy nie ubliżają sobie przez pokorę i skrucę, uważam to za pewną estetyczną zasługę.

Mężczyźni trzymają się tak nędznie, że aż wstyd. Między innymi mówiłem w antrakcie z inspektorem wodociągów miejskich, panem Villier, który był za życia sławnym malarzem impresjonistą.

Bez żadnego wstępu zaczął mówić płaczliwym, beznadziejnie rozpaczliwym głosem :

— Sztuka powinna się nazywać „Alkohol”. Wielkimi literami... (rysował w powietrzu)... Alkohol. Tak, jak pan mię widział w trzecim akcie...

— Ja wogóle pana nie widziałem — przerwałem I mu niecierpliwie. Ale on tego nie słyszał.

— Tak, jak pan mię widział w trzecim akcie—bydłę bez przytomności i uczucia... Tak przeleżałem najpiękniejsze lata mego życia. Pod ławą, pod stołem... pod innymi sprzętami. Mniejsza o sprzęty. A także mniejsza o życie. Ale mózg, talent, twórczość... Podczas całego przedstawienia czuję w głowie i w oczach tę — grubą mgłę, która zniszczyła mi co najmniej sto obrazów. Mgłę alkoholu. Zwłaszcza wino czerwone... „Chateau Lafitte”...

— Pan i tak zdobył sobie sławę europejską. Zaczął płakać.

— Ja gwizdę na stawę... i na Europę, i na wszystkie inne hubugi. Ale ta czerwona trucizna zniszczyła mi najprzedziwniejsze fantazy... Zniszczyła mi najsubtelniejsze pomysły wyobraźni i prawej ręki. Plamiła mi paletę, pomieszała farby i przejechała się po wszystkim krwawym pędzlem, krwawym pędzlem... Po delikatnym błękitnie nieba, po srebrnej tkaninie wiosennych obłoków, po karnacy pachnącej kobiecych aktów... krwawym pędzlem... Dzwonek zadrgał w powietrzu i pan inspektor wodociągów miejskich pośpieszył do drzwi, żeby nie opuścić ani jednego słowa dramatu swego życia.

...A po czwartym akcie czekała mnie najsilniejsza emocja. Lśniący i uroczysty lokaj dworski w purpurowozłotej liberyi przyszedł oznajmić mi życzenia Belzebuba, żebym udał się niezwłocznie do jego łoża.

— Sire, nie wiem jak wyrazić moją bezgraniczną wdzięczność za...

— Et caetera et caetera — przerwał mi Belzebub ze swym najmiłym uśmiechem i wskazał ręką miejsce na lewej stronie.

Wyglądał na czterdzieści lat, pomimo że był wieczny. Miał twarz przeżytego cokolwiek lorda, olbrzymi monokl w lewym oku, tak niebieskiem, jak morze Adryatyckie, i frak bez żadnych orderów.

— Może pan chce trochę... odpocząć—rzekł bardzo uprzejmie — a wtedy radziłbym patrzeć z wielkim skupieniem na scenę. Za chwilę poczuje pan znaczną ulgę w cierpieniu.

Rzeczywiście ; z łoży Belzebuba przedstawienie wydawało się całkiem inaczej. Widziałem wprawdzie, jak dotychczas — siebie i swój życiowy dramat, ale zarazem i to, co widzieli wszyscy inni widzowie w teatrze. Przez te obce bóle i tragedię, zmniejszała się jakoś ważność mych własnych losów. Czułem coś w rodzaju pocieszającego porządku, jakąś satysfakcję z tego, że jestem drzewkiem w nieskończonym lesie, kroplą w Niagarze,

— Ulga, którą sprawiam panu w tej chwili, służy naturalnie tylko na to, żeby pan później cierpiał tem więcej — tłumaczył mi Belzebub, — Zdaniem mojem, takie oazy są konieczne, bo zauważyłem, że stworzenia wszelakie przyzwyczajają się do wszystkiego — i wkońcu mogłyby im nawet zobojętnieć wieczne cierpienia...

...Wszystko mi jedno, co przyjdzie potem — myślałem sobie — dosyć, że w tej chwili jest przerwa, i trzeba z niej korzystać. Patrzyłem więc z niesłychaną uwagą na dół...

Ale za chwilę uczułem, jakby dotknięcia bardzo gorącej dłoni — i szybko się odwróciłem.

W głębi łoży świeciła para cudownych oczu. Była to Mała, sławna faworytka Belzebuba.

— Mówiłem panu — trzeba patrzeć na scenę — upominał mię łagodnie władca piekła.

...Ale dziewczyna była cudna, jak ogień. Patrząc na nią, odczuwałem kipiącą radość, połączoną z bólem przeraźliwym. Jej usta działały, jak krwawa przepaść rozkoszy...

— Można cierpieć i tak — rzeki Belzebub. — Mała karze na własną rękę. Psuje mi cały mój system. Zawraca głowę trzem milionom moich poddanych... Woli pan jednak znosić te kary, na które ja pana skazałem... Ja karzę o wiele logiczniej i łagodniej... Radzę przecież patrzeć na scenę...

Ogarnął mię strach niepojęty przed piekłem nieoficyalnym Maii. Przewyciężyłem się i spoglądałem znowu na scenę.

— Bravo! — mruczał niekiedy Belzebub, kiedy na deskach szumiał najdziwaczniejszy chaos.

Naraz zbladłem. A jednocześnie drgnął i Belzebub. Ujrzelśmy nagle Mała — na scenie. Siedziała wprawdzie w łoży, tuż za nami, ale oprócz tego występowała także na dole jako aktorka.

— Cóż to ma znaczyć? — krzyknął na nią Beelzebvb.

Mała zaśmiała się.

— Bardzo przepraszam, — odezwała się głosem słodkim i melodyjnym, jak wiosna — ale nie mogę się wstrzymać, żeby nie mieszać się do wszystkiego. Zapewniam Waszą Piekielną Mość, że bezemnie nie ma porządnego teatru. Belzebub' zasępił się strasznie. Siedział milczący i zamyślony, naraz o sto wieków starszy. A tymczasem Mała dokazywała tak na scenie, że aż trzeszczały deski, chwiały się kulisy i gasły kinkiety.

I opuściła się po raz ostatni kurtyna i ściemniła się widownia. Przedstawienie już się skończyło, ale Belzebub siedział jeszcze nieruchomy i pogrążony w wiecznych myślach. Dopiero kiedy Mała zaśmiała mu się głośno nad uchem, nagle zerwał się i krzyknął:

— Dostyc tego!

Wtedy i ja dostałem rozkaz opuszczenia łoża.

Nim wybiegłem jednak na ulicę, poszedłem jeszcze do parteru, gdzie przed godziną z pośpiechu zostawiłem kapelusz, binokle i rękawiczki.

Czarna, opuszczona sala była okropna, jak zły sen. Pomimo kompletnej na pozór pustki drgały jeszcze w powietrzu jakieś zapomniane jęki, szepty i ciche szlochy.

Z trudem znalazłem swój fotel. A kiedy się schyliłem, żeby podjąć przedmioty, które opuściłem na ziemię, spostrzegłem nagle, że przede mną siedzi jesz

cze były reporter New York Herald, (który niegdyś słyszał, jak trawa rośnie.)

Odwrócił się i szepnął, radośnie mrużąc oczka;

— Już stroją instrumenta... Już! — Za chwilę rozpocznie się przedstawienie.

### III.

#### AKACYA.

Obiecałem jej sto koron, jeśli mnie nie zdradzi. Nie chciała. Ofiarowałem jej pięćset. Nie chciała. Zapędziłem się aż do pięćdziesiąt cztery tysięcy. Bo przecież nic mnie to nie kosztowało. Ale też i na nic mi się nie przydało.

Nie chciała.

— Gdybyś miał pieniądze, nie byłbyś potrzebował mię gwałcić — zauważyła całkiem słusznie.

Zdecydowałem się, żeby powiedzieć drżącym głosem:

— Zlituj się...

Ale w głosie moim za mało było wzruszenia. „Nie wyszło”.

Wobec tego zamknąłem na klucz drzwi pokoju, potem zaś wyjąłem z biurka rewolwer.

— Już nie wyjdiesz nigdy z tego pokoju — rzekłem do niej (w pozie stojącej), celując w jej serce.

— Hi... hi — zaśmiała się pogardliwie. I spytała:

— Czy długo już tu jesteś?

— Trzy miesiące.

Więc mógłbyś wiedzieć, że tu nie można nikogo zastrzelić.

Zapytałem ze strachem:

— Co chcesz zrobić?

— Pójdę do najbliższego komisariatu.

— Niech cię dyabli wezmą — mruknąłem.

— Przecie i tak już mię wzięli — dowcipkowała. Gdybyż przynajmniej oburzenie jej było szczere I

Ale to zimna bestya. Wstrętna.

— Adieu — mówię do niej.

Sam otworzyłem jej drzwi. Poszła.—

— Czem pan był za życia? — spytał mnie sędzia śledczy. Ach te głupie, znane formalności!.. Myślę i odpowiadam :

— Amantem.

— Naturalnie, — zachichotał — widać to z pańskiego zachowania. Znowu dowcipy!

— Byłem aktorem — mówię bardzo poważnie, prawie ostro.

Teraz on robi się mniej miły.

— W takim razie nie pojmuję, — oburza się — jak może człowiek z lepszych sfer, z inteligencji—dopuścić się takiego czynu!

Dobry sobie.

— Przecież tutaj nikt nie jest święty. Rozgniewał się jeszcze więcej.

— Święty czy nie święty... co to ma do rzeczy! To, co pan zrobił, było po prostu głupie. Ta dziewczyna jest przecież prostytutką... Mógł ją pan mieć

za drobnostkę — nie, pan napada na nią, zadaje jej gwałt...

Bo nie miałem właśnie tej drobnostki.

— To mógł pan później zapłacić. Kiedy ja wogóle nie mam pieniędzy.

Zdziwił się.

— Dlaczego nie?

— Niech się pan spyta tego, który skazuje na wieczne kary. Przecież ja sam kary sobie nie wybrałem.

Nareszcie zrozumiał.

— Ach... pan jest skazany na wieczny brak pieniędzy?

Kiwnąłem głową. Ale sędzia rzekł po chwili :

— Mimo to jest pan winny. Bo trzeba znieść nie tylko karę samą, ale i wszystkie jej konsekwencje. My tu nie jesteśmy dla rozrywki. Kto nie rozporządza odpowiednimi środkami, musi się zadowolić miłością bezpłatną.

Dobrze, dobrze — przerwałem mu niecierpliwie. A za kilka dni dostałem sześć miesięcy ciężkiego więzienia.

Siedzę. Mija tydzień. Dyrektor więzienia „prosi” mię do siebie.

— Niech pan zaśpiewa — mówi do mnie.

— Nie umiem śpiewać.

— Pan się myli — zapewnia mię i wskazuje na jakąś sofę w kącie. — Wiem od tej panienci, że pan ma głos.

Na sofie siedziała osoba, której zawdzięczałem sześć miesięcy więzienia.

...Co to znaczy? — myślę.

Jednocześnie widzę, że dyrektor więzienia jest pijany. Ergo ryzykuję śmiało małą aryę. Własny śpiew podoba mi się coraz więcej.

— Dosyć! — woła naraz osoba na sofie. Obejrzałem się; dyrektor spał. Więc mogłem przestać.

Mówię do niej:

— Cóż to za koncept?!

Sama nie wiem... Chciałam cię zobaczyć — to wszystko.

Zbliżam się do niej. Jest tylko w koszuli.

— D... daj mi spokój — jęczy i broni się dzwoniąc zębami.

— Żmijo mówię ze złością.

— Tak... wiem...

— Przez ciebie jestem w więzieniu!

— Tak, wiem. — Ale przed pięcioma minutami kochałam się w tobie, jak wariatka.

— Przed pięcioma minutami?

— Tak. Ale teraz... już nie, bo cię widzę. Możesz wrócić znowu do więzienia.

Zaśmiałem się wściekle.

Czekaj ty... Nie puszczę ciebie teraz... Niech się dzieje, co chce...

Ale zaczęła krzyżeć, jakby z niej skórę zdzierali. Dyrektor się zbudzi\*"Wyprowadzili mię z pokoju.

Nazywała się Akacya.

Wiłem się z tęsknoty za tą nędzną istotą. Tańczyłem w celi, jak hyena. Drapałem się do krwi, gryzłem kraty żelazne... Jeśli pan nie będzie jadł — upominał mi dozorca — to weźmiemy pana na tortury.

Rzekłem radośnie:

— Nie możecie mi sprawić większej rozkoszy. — Tortury byłyby dla mnie rajem.

Ale nie było raj. Schudłem, jak patyk. W dzień i w nocy całowałem namiętnie słowo Akacya. Napisała do mnie na karteczce :

— Jesteś bogiem moim. Nie śpię, nie jem... bo ty mię męczysz, mój drogi boże... I bije mię strasznie moja pani, bo nie chcę iść w nocy na ulicę.

Ten list także całowałem. Zrozumiałem całe piekło. Wziął mię strach wielki, że mógłbym z czasem cokolwiek oszaleć. Ale powiedziałem sobie:

— Za dni czterdzieści wyjdę z więzienia i będę ją miał. Cóż może mi się wtedy stać ? Będę ją miał... i dla nas dwojga przestanie istnieć piekło. Będę jej drogim bogiem — i skasuję wszystkie kary wieczne.

A nazajutrz wzięli mię przecież na tortury, (bo nie chciałem jeść). Śpiewałem hymn pochwalny o Akacyi, kiedy wyrrywali mi obcęgami paznokcie.

A kiedy stara piekielna manikura skończyła operację prawej ręki, krzychałem:

— Hura! Teraz bierz się do lewej!

Minęło więzienie, ale moja r?ka jest wieczna.

Przed sekundą kochałam eia jak waryatka — mówi do mnie Akacya, ilekroć spotka mię na ulicy. A musi mię codziennie spotykać. Bo zawsze idę za nią, kiedy wiosłuje po trotuarach, podnosząc wysoko suknię. Ach, my dwa zegary przekłete, my dwa wieczne wahadła. A kto do niej kiwnie, z tym ona idzie. Tylko ze mną nie — ze mną nigdy. Bo skazany jestem na wyieczny brak pieniędzy.

— Zobaczysz! — grożę jej.—Wezmę cię znowu siłą. Odpowiada :

— To pójdę znowu do komisaryatu. To nasza konwersacya.

Czasem opowiada mi z płaczem, jak straszliwie mię kocha... w myślach i w samotności.

— Ale niestety — skarży się — niczego na świecie tak się nie boję i brzydzę, jak urzeczywistnienia swych myśli... Ryczę gniewnie, szyderczo:

— Ha, ha, to widać — (krzyczę tak głośno, że oglądają się wszystkie dyabły) — pewnie dlatego jesteś tak czynna w kierunku horyzontalnym...

— Ależ to przecież moja kara wieczna mówi ona. Śmieję się:

— Za co kara? Przecież umarłaś jako czternastoletnia panienka.

Ona wzdycha:

— Tak... miałam cztersaście lat, kiedy umarłam. Ale ty nie wiesz, mój złoty, ile w tym wieku się grzeszy... w myślach w samotności.

## JA JĄ ZNAM

Podczas mego pierwszego pobytu w Amsterdamie byłem bardzo szczęśliwy. Dlatego mogę powiedzieć, że Amsterdam należy do najpiękniejszych miast w Europie. Miałem nawet pieniądze, chociaż nie przypominam sobie zład. Zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu, że, przechdząc przez jakąś ulicę, powiedziałem sobie, że tu chciałbym mieszkać, a już na drugi dzień rzeczywiście tara zamieszkałem. Powodem mego dobrego humoru była między innymi wolność, która jednak trwała tylko sześć tygodni.

Otoż patrzyłem wieczorem przez okno i myślałem o tem i owem. Nie wiem, czy stary dom, stojący naprzeciw, miał dwa czy trzy piętra. Ale to wiem, że na najwyższym piętrze mieszkał smutny pan w okularach i z brodą, która nie była właściwie siwa, tylko czarna i biała. Widziało się obok siebie dwa prądy; na jednej brodzie starość i młodość.

W jego pokoju było zawsze ciemno; może robił oszczędności na sztucznym świetle. A siedział

może dlatego przy oknie, że bał się siedzieć w ciemnym pokoju. Bardzo to dobrze rozumiem. Chociaż wydaje mi się, że musi być o wiele nieprzyjemniej patrzeć na jasną ulicę, gdy się czuje za sobą ciemny pokój. Pewny jestem, że ma się jakiś niemiły dreszcz na plecach. Dlatego u mnie świeciła się lampa.

Zato pan z przeciwka trzymał sobie zapewne małpę, albo papugę, albo jakieś inne zabawne zwierzę. Bo, siedząc przy oknie, czasem nawet dość często, nagle się odwracał i coś mówił, do ciemnego pokoju. Mówił niejako na glucho, tak jak się mówi monologu, albo do papugi czy małpy, W każdym razie nie dostawał żadnej odpowiedzi. Z całego wyrazu jego twarzy i z obojętnych ruchów było widać, że mówi bez echa.

— Przykre takie życie!.. — pomyślałem sobie, kręcąc papierosa, i przypatrywałem się z pewnym zajęciem smutnemu panu, który od pół godziny jeszcze bardziej zmarkotniał i pogrążony w myślach zapomniał nawet mówić do ciemnego pokoju.

' — Papużka się nudzi — powiedziałem do niego wzrokiem — jest niejako twoim obowiązkiem utrzymywać rozmowę. Pomyśl tylko, w jak bajecznie ciepłych i rozkosznych klimatach żyło to rajske zwierzę. A teraz nudzi się pociemku. Jesteś sto razy okrutniejszy, niż biegun północny.

Ale on widać nie dosłyszał mego wzroku. Przesunął ręką po czole. Tak, jakby w duży westchnął „Czego ja ule przeżyłem?..” Albo: „Gorzka starość...”

...Ma się pewne obowiązki wobec małp i papug—zarzucił mój wzrok surowo — było jej nie kupować, jeżeli wystarcza ci własna melancholia. A skoro ją raz kupiłeś, to musisz bawić się w konwersację, choćby wszystkie struny twojej duszy jęczały ze zgryzoty. Widzę z rysów twojej popielatej twarzy, że musisz być dobrym człowiekiem. To zawzięte marszczenie czoła nic nie znaczy. To nie jest złość, tylko cierpienie. Jesteś mimo wszystko niezły chłopak, ale powinieneś zwracać większą uwagę na psychiczne potrzeby swej papugi. Pomyśl sobie, że to stworzenie ma niesłychanie dużo opętanego gadania, które aż piszczy za wolnością. Pomyśl sobie...

Mój wzrok nagle oniemiał. Coś bardzo ciepłego i miękkiego położyło mi się na oczach. Jednocześnie uczułem zapach fijołków, który objął miłośnie mą duszę.

Odwrociłem się... kobieta.

— Kto pani? Zaśmiała się cicho.

— Ha, ha... dobry wieczór.

— Dobry wieczór — odpowiedziałem, czerwieniąc się po uszy,

Moge powiedzieć otwarcie, że miała nagie ramiona i rozpuszczone włosy. Czy słyszał ktoś co podobnego? biła, bądź co bądź, w stroju białym, powiedzmy: domowym.

Czekałem, co teraz będzie.

— Pan mnie przecież zna — powiedziała tak



jasnym głosem, jakby była pewna, że zrobi mi niespodziankę.  
Byłem zakłopotany. Nie, to się tak nie da... trzeba zobaczyć przy lampie.  
Nie poznałem jej i przy lampie. Cóż teraz zrobić? Byłem zakłopotany.  
— Pan mnie przecież zna — powtórzyła tak wesoło, jak przedtem.  
Nie, nie znam. Jakby to jej powiedzieć? „Niestety nie mam przyjemności...” czy jak?.. Bóg mi świadkiem, że nie wiem, co się mówi w takich nagłych wypadkach. Powiem: „Nie mam przyjemności” całkiem poprostu.  
Ale ona już wiedziała, że jestem zakłopotany.  
— Niech pan sobie przypomni,..—powiedziała łagodnie i sympatycznie — niech pan tylko pomyśli...  
Pogłaskała mnie nawet delikatnie po ręce. Bardzo przyjemnie.  
Teraz niezadługo sobie przypomnę. Z pewnością. To się zawsze czuje przedtem, wie z góry: za chwilę sobie przypomnę... Chociaż na razie...  
Te oczy... Boże, te ogromne, piwne oczy i ta blada twarz i usta...  
— Pan mię' przecież zna...  
Może krewna. Bawiły się ze mną przed dwudziestu laty trzy małe córeczki dalekiego stryja. Wszystkie trzy w białych sukienkach...  
— Niech mi pani pomoże. Kilka szczegółów. Przecież wiem już teraz, że panią znam. Tylko nie wiem, jak i co...

Córeczki dalekiego stryja nie były z Amsterdamu. To coś podobnego, ale nie to. Mniej więcej ta sama okolica mózgu, czy przeszłości, Ale nie to. Jej oczy mówią wyraźnie „ciepło, ciepło...”

...Ale nie to.

— Niech pan sobie przyponmi.

Wiem, że ją znam. A cała tajemnica w oczach. Ta twarz rozumie się niejako sama przez się. Ta twarz, to coś tak znajomego, jak moja własna. Widzę ją w każdym razie codzień. Ale gdzie? Widzę ją codzień.

— Ja panią znam.

Pocałowała mnie nagle w usta. Tak, to ona. Ale kto? Ona. Ta jedyna, jedyna...

— Powiedz mi, jak się nazywasz. Chce mi się płakać, bo nie mam bliższej sobie istoty. A nie wiem, jak cię nazwać. Wymów swe imię, ażeby spadły jakieś mgły, które są między mną a tobą. Żeby zobaczyć, czy jest dla nas ten sam świat, to samo słońce, te same drzewa i ulice. Wymów to jedno słowo. Bo inaczej będę myślał, że znam cię tylko ze snu.

Schyliła się i zbliżyła swoje usta do mego ucha, żeby wymówić to „jedno słowo”. Ale nagle otworzyły się drzwi... a ona uciekła ze strachu do drugiego pokoju.

Wszedł—smutny pan z przeciwka.

— Przepraszam... —powiedział markotnym, ale spokojnym głosem — przepraszam, że przeszkadzam

Ale chciałbym zobaczyć, czy niema tu przypadkiem...

Powiódł dokoła wzrokiem jakby szukał jakiegoś przedmiotu.

Czego, proszę pana"? — Czy nie ma tu przypadkiem mojej żony... Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— !... pan żartuje. Zdaje mi się nawet, że pan nie ma żadnej żony. Pan mieszka przecież tu zaraz naprzeciw. Szukał dalej.

— Tak, mieszkam tu zaraz naprzeciw, ale... mam żonę, owszem, mam żonę.

Poszedł nagle do drugiego pokoju i natychmiast wrócił, prowadząc za rękę kobietę z rozpuszczonymi włosami.

— Dziękuję, znalazłem — powiedział do mnie uprzejmie.

A potem do niej:

— Chodź do domu...

— Panie, to musi być pomyłka! — skoczyłem do drzwi i wziąłem kobietę za rękę.

Ale pan z przeciwka rzeki z gorzkim, smętnym uśmiechem:

— To nie pomyłka, to moja żona...

— Ależ... ja ją znam!..

Kobieta rzuciła mi się z płaczem na szyję.

— Ja ją znam—szeptałem, wdychając w siebie zapach fikołków, który łączył się miłośnie z mą duszą.

To się panu zdaje — powiedział pan

w okularach — daję panu słowo, że to się panu zdaje.

I zaniósł ją w ręku, jak kanarka.

— Uprzejmie dziękuję—powiedział jeszcze raz w przedpokoju.

Nie spałem całą noc. A stróżowa powiedziała mi, że to naprawdę jego żona.

Jeżeli się ma dużo czasu i dobrej woli, to można stać cały dzień przy oknie i czekać, aż się zjawi na ulicy pewna osoba.

Wtedy bierze się kapelusz i biegnie się na dół. Zresztą to nie była ona, tylko jej mąż. W każdym razie nadzwyczajna sposobność.

— Panie, na chwileczkę! Korzystając ze znajomości, chciałbym się spytać, czy nie sprzedałby mi pan papugi albo...

— Nie mam żadnej papugi.

— ...albo małpy. Chcę właściwie małpy.

— Nie wiem, dlaczego pan przypuszcza... Nie posiadam.

— Byłbym przysiągł, że pan posiada. Mieszkam przecież naprzeciwko i nie chcąc wiem niejedno. Pan siedzi wieczorami przy oknie, a nieraz mówi pan coś do ciemnego pokoju...

— Zresztą nie ma pan żadnego życzenia?

— Nie. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że mam ogromnie dużo książek w kufunku. Przyjemnie czasem wieczorem coś przeczytać zamiast siedzieć przy oknie i patrzeć na ulicę. Czy pan nie ma dreszczu na plecach, gdy pan czuje za sobą ciemny pokój? Dostają także codziennie gazetę w trzech

językach. Po francusku, po angielsku... co pan woli. Czytałem wczoraj niezmiernie ciekawy artykuł o trąbie morskiej. Jestem pewny, że to pana zainteresuje.

Potem spytałem delikatnie;

— Jak się ma pańska żona? Zaczerwienił się i mruknął:

— Dziękuję.

Szedłem z nim bardzo długo i opowiadałem mu o swoich podróżach. Czasem się uśmiechał jednym okiem i przecierał chusteczką okulary. Widocznie bardzo dobrze się bawił. Nawet robił czasem krótkie uwagi.

Przeszliśmy razem do parku i .siedliśmy na ławce. Spytałem go delikatnie:

— Jak się nazywa pańska żona? Zachmurzył się i powiedział:

— Niech pan lepiej skończy o Pompei i Herkulanum. Niech pan nie mówi ciągle o mojej żonie.

Czułem, że zbladłem.

— Bardzo pana przepraszam, ale chciałbym się dowiedzieć... Od czwartku o niczem innym nie myślę. Przyznam się panu otwarcie, że nie śpię w nocy, bo nie mogę sobie przypomnieć, z kąd znam pańską żonę.

Uśmiechałem się. Ale czułem, że zbladłem. Pan w okularach machnął ręką.

— Pan jej wcale nie zna... tylko...

— Tylko?

— Tylko ona jest... hm...

Skrzywił się boleśnie i splunął. Potem spytał:

— A mumie są?

— O czym pan mówi?— spytałem ze złością.

— O Herkulanum. To śmieszne, że pan ma łzy w oczach. Daję panu słowo, że ona panu wmówiła.

To śmieszne, że miałem łzy w oczach.

— Jak to mi wmówiła?

— No tak, jak wielu innym. O czym tu gadać! Daję panu słowo, że ona chora. Mam z tego powodu ciągle kłopoty.

Opowiedział mi o kłopotach. Pokazało się, że trzeba u nią ciągle uważać, jak na ptaszka. Bo jest chora.

Uderzył mnie w kolano.

— Bardzo przyjemnie mówi się z panem... Tylko niech pan już da spokój mojej żonie.

Poszliśmy nawet razem na piwo.

Ale na drugi dzień zobaczyłem ich razem.

— Ja ją znam! — krzyknąłem prawie głośno. Śniła mi się już, gdy byłem dzieckiem. Znam ją lepiej, niż matkę, niż siostrę, niż wszystkich ludzi. Mogę zamknąć oczy, a wiem, jak wygląda.

Kiedy siedzę wieczorem przy oknie i patrzę . na ulicę, to zaraz wiem, po co przyjechałem do Amsterdamu. Mógłbym płakać całymi godzinami, a łzy nie przestałyby sprawiać mi rozkoszy. Byłem jeszcze dzieckiem, a już wiedziałem, co mnie czeka. Na to człowiek żyje. byłem jeszcze dzieckiem...

Są wsie i miasta bez nazwy, które znam tak, jak tę kobietę. Jest cały świat bez nazwy, który

znam tak, jak tę kobietę. Czasem słyszę ztamtąd głosy... Albo ktoś uśmiechnie się zdaleka i kiwnie do mnie białą chustką... Zdaleka... Coś zapachnie z morza, gdy stoję w nocy na pokładzie. Albo coś zagra w lesie. Jest gdzieś cały świat bez nazwy...

— Proszę pana, przyszedłem...

— Czego pan chce?

— Przyniosłem gazety w trzech językach,

— Powiedziałem pann wczoraj że u mnie niewygodnie. Po co pan przyszedł? Jeżeli pan chce, to możemy pójść do parku.

— Jak się ma żona? Dziękuję.

W mieszkaniu pachniały jej fijołki. Ale on prawie wyrzucił mnie za drzwi. Drżałem jeszcze na ulicy ze wzruszenia. Spostrzegłem, że i on źle wygląda.

— Pan chory zauważyłem po drodze.

— Mam ciągle kłopoty.

„Aha! — pomyślałem z radością — sam będzie mówił o żonie”.

Ale on uśmiechnął się złośliwie jednym okiem.

Co panu do mojej żony? Panu się wydaje, że pan jedyny człowiek, który ją zna. Ale znają ją najrozmaitsi ludzie. Pan nie ma pojęcia... Ona ma coś takiego w oczach.

— Nikt jej tak nie zna, jak ja!

Zaśmiał się, jak skrzypiący wóz. Ale zaraz potem posmutniał i westchnął. To nie jest najgorsze...

— Co?

— To, że mam z nią ciągle kłopoty... pierwszy raz tyle o niej mówił.

— Ale to jest najgorsze, że... że... jakby panu powiedzieć?... Tylu ludzi ją zna, a ja jej nie znam.

Spojrzał mi bystro w oczy.

— Uważa pan; tylu ludzi ją zna, a ja, mąż...

— Pan, mąż...

— Jej nie znam.

— Hm...

— Nie znam.

Nigdy w życiu tyle o niej nie mówił.

— Ale jest przecież nie tylko moją żoną, lecz i kuzynką. To niejako moja krew. Dziadek, który zbankrutował, miał niegdyś ten wielki dom handlowy nad kanałem. Znałem dziadka. Znałem jej ojca. Znam miasto, w którym się urodziła, bo to nasz Amsterdam, uważa pan...

— Wasz Amsterdam.

— Znam od dziecka wszystkie te miejsca, które zna ona. Ho ona jest z tego samego świata, co ja.

— Pan myśli?

— Ona jest z Amsterdamu. Znam wszystko, co ona widziała, słyszała i przeżyła od dziecka. A jej... ,

— Jej pan nie zna.

Otworzył szeroko oczy, jakby się zdziwił, że wiem tajemnicę, którą mi sam powiedział.  
— Naprawdę jej nie znam. A nawet boję się

jej oczu, nienawidzę jej duszy. Z początku nie wiedziałem nawet, że jest chora. Tak jej nienawidziłem, że byłem zaślepiony jak z miłości. nie czułem, że jest tylko chora.

— A z kąd pan się dowiedział, że jest chora?

— Przyjechał do Amsterdamu murzyn z Afryki, który miał złote kolczyki i strasznie białe zęby...

Murzyn?

— Był tak samo natrętny, jak pan. Mówił ciągle, że ją zna. Krzyczał za mną na ulicy: „Ja ją znam”!

— I co?

— Ona mu to wmówiła. Jej chore oczy mu to wmówiły tak, jak panu. Ona jest niebezpieczna. Ona mi zepsuła życie... Serce bilo mi młotem.

— Pan jej nienawidzi — powiedziałem cicho ja... Dlaczego pan się z nią ożenił? I

Uśmiechnął się jednym okiem.

— Ot! ożeniłem się. Bo taka była historia: Mówiłem panu o domu handlowym jej dziadka, u którego mój ojciec był prokurystą. Otoż nim jej dziadek zbankrutował, uważa pan... Ale pan nie uważa!

— Nie uważam, — powiedziałem drżącym głosem — bo myślę ciągle, że chciałbym być na pańskim miejscu.

— He, he!..

— Dałbym panu z ochotą swoje życie, a niech mi pan da swoje. Przyjmę nawet ten ciemny po |

kój, w którym pan mieszka. A dam panu wszystko, co mam.

— Jaki pan śmieszny!

— Panie, błagam pana na klęczkach, niech pan mnie zrozumie! Dam panu przecież wszystko, co mam. Niech pan sobie idzie, a ja zostanę. Nie będzie pan miał ciągłych kłopotów. Pojedzie pan do Pompei i Herkulanum. Pan jej nienawidzi. Ona ma chore oczy. Jej dziadek zbankrutował. Pan jej nie zna, a ja...

— He, be!..

— Ja ją znam! ja ją znam! Niech mi pan da to szczęście, którego pan nie chce. Panie, panie...

— To nie można.

— Dlaczego? Dlaczego nie można?

— Bo to moja żona... he... he!..

— Niech pan się nie śmieje w takiej chwili! Niech pana dyabli wezmą! Błagam pana na klęczkach.

— He, he... U nas, w Amsterdamie nie można ...

— Niech pana dyabli...

— U nas... he, be!., w Amsterdamie, bierze się żonę na całe życie.

Ta rozmowa śni mi się nieraz po nocach. Jeszcze dzisiaj. I wcale nie płaczę. Przeciwnie, wtedy jestem najszczęśliwszy. Bo Amsterdam należy do najpiękniejszych miast w Europie. A te sny mają dziwnie miły zapach fijołkowy, który łączy się miłośnie z moją duszą.

## SALA KONCERTOWA.

Była raz idealna sala koncertowa. Nie duża. (jak wszystkie prawdziwe perły) ale czuta i wrażliwa, jak serce wybornych skrzypiec. A posiadała tem większą wartość artystyczną, że o jej istnieniu nikt w mieście nie wiedział. Nawet właściciel, gospodarz domu, nie znał jej wartości (jak zwykle właściciele pereł). Spoczywały więc w idealnej sali koncertowej stare i życiem zmęczone rowery, wytańczone suknie balowe, poźółkle, dawno przeczytane książki i inni weterani z anorganicznego świata. Oprócz tego czekało tam w ukryciu kilka flaszek słodkiego wina; tak jak dojrzałe panny czekają na mężczyzn.

Czule i wrażliwe ściany tęskniły za nokturnami Szopena, za dziewiątą symfonią Beethovena i za sonatą a la Kreutzer... Akustyka ich zachowała się' przedziwnie w tęsknocie, a nawet z każdym dniem jeszcze rosła i rosła. ...Potem miasto dostało nowego starostę.

Miał młodą żonę, tytuł hrabiowski, dużo ambicyj i inne... obowiązki reprezentacyjne.

— Trzeba działać... Trzeba coś robić—myślał w dzień i w nocy.

Bądź co bądź postanowił nająć całe piętro i przyjmować tout le monde we wszystkie nieparzyste piątki.

Najął całe piętro, wraz z idealną salą koncertową, która wyglądała na pozór, jak zwykle sale śmiertelniczek. Ale pan starosta miał sławne oko, które już u pierwszy rzut wiedziało wszystko. Spostrzegł więc przedewszystkiem, że u suficie są jakieś malowane śliczności z osiemnastego wieku.... I że naprzykład sala ma kształt kwadratu i jeszcze inne przymioty towarzyskie.... Wiedział wszystko, do czego nie potrzeba ucha... Albowiem jego ucho nie było tak dobrze urodzone, jak oko.

— Czy będzie koncert?—spytał sufit.

— Zdaje mi się—odpowiedziała jedna ze ścian poprzecznych.

— Ciekaw jestem, czy śpiew, czy fortepian, czy cała orkiestra —szeptała ściana z oczami...

Ściana z oczami nie była tak muzyczną, jak jej towarzyszki. Dlatego mogła rozważać już na zimno szczegóły, podczas gdy tamte ściany czuły tylko dreszcz radosny: będzie deszcz dźwięków... będzie muzyka...

Na razie czekała ich jednak nieprzewidziana choć nie długo trwająca przykrość.

Któs otworzył okna i do sali weszło z szumem i hałasem ordynarne powietrze...

A idealna sala koncertowa nienawidziła powietrza. Zaczęła drżeć z zimna, kurczyć się... a czułe jej serce przez jakiś czas bić przestało...

Potem kazał pan hrabia zamknąć. I sala koncertowa przysłała do siebie... A do wieczora była już w najlepszym humorze... Zwłaszcza, gdy zapalono świece i powstał ten rozkoszny nastrój, w którym tony fortepianu i skrzypiec żyją swobodnie, jak mewy w nadmorskim klimacie...

Tymczasem cicho i strasznie zbliżało się fatum.

O pół do dziesiątej pokazało się, że nie będzie koncertu, tylko najbanalniejszy jour najpodlejsze przyjęcie pod słońcem... sala koncertowa zaczęła się mścić, mścić...

Burza zapowiadała się, zanim przyszli pierwsi goście.

...Bo kiedy pani hrabina weszła do sali, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku, nagle przyszło jej na myśl:

— Ciekawa jestem, czy będzie ten młodzieńcy, różowy chłopiec, którego widziałam onegdaj na rynku...

Ledwie to pomyślała, kiedy lokaj, idący za nią, odrzekł z głupim uśmiechem:

— Nie wiem, proszę pani hrabiny... Jeśli zaproszony, to chyba i będzie...

Pani starościna stanęła, jak wryta.

— Co to jest? Czy jestem chora? Mówię głośno to, co myślę...

— Chora?—zdziwił się lokaj.

— Milcz! — krzyknęła pani hrabina, zbladła, przeszły ją straszne dreszcze i o mało nie zemdląca.

Spojrzała na lokaja, który patrzył na nią dziwnie poufałym, prawie bezwstydnym wzrokiem.

Gdyby żyła w innych czasach, kazałaby tego niewolnika rzucić na śniadanie dzikim zwierzętom... Bo to, co słyszał o młodzieńcu, różowym chłopcu...

Pani hrabina poprostu zgasła, pomimo, że jeszcze nie zaczął się wieczór. Ogarnęła ją szalona trwoga... Są pewne rzeczy, których człowiek się trzyma, jak pijany płotu... A do tych pewności należy i to, że jego myśli nie mają głosu.

Pani hrabina straciła grunt pod nogami... Siadła cichutko na fotelu, złożyła ręce u piersiach i czekała, co będzie...

Czekała, aż ją wezmą i zawiozą do domu waryatów...

Ale odezwał się dzwonek. I pani hrabina się zbudziła. Przeszła do drugiego pokoju. Jej automat, zwany twarzą, zaczął robić towarzyski uśmiech.... Stała i przygotowana była na przyjęcie gości...

A koło niej stanął, w tej samej pozycji i z tym samym uśmiechem, jej mąż, pan starosta...

I drzwi się otwarły i weszło kilka osób... Dwa podłe zrobione fraki i trzy przez miejscową krawcową przeinaczone ekszłubne suknie...

— Co za figury! — pomyślała pani starościna. przytem ogromnie się ucieszyła, że może znowu myśleć pocichu...

— Jak marzenie, wygląda kochana pani — rzekła do burmistrzowej...

Wzięła „marzenie” pod ramię i zaprowadziła je do idealnej sali koncertowej...

Ale zaledwie się znalazła w tej przebiegle akustycznej sali, zaczęła się toczyć rozmowa, jak gorączka, w której brały udział wszystkie zaproszone osoby, (o ile także weszły do sali) i jej mąż i ona sama, mimowoli, ona sama (jak we śnie), rozmowa dziwnie bezwzględna, pełna sprzeczności, wprost potworna w swej szczerości, okropnie zagmatwana, rozmowa, jak skandal... straszna, nieprawdopodobna..

— Ślicznie państwo mieszkają—zaczęta uprzejmie pani burmistrzowa i dodała zaraz jakimś innym głosem:

— Naturalnie, jak się kradnie... Gdyby mój mąż kradł tak, jak twój, to mielibyśmy także meble Louis XIV...

— Wogóle jestem głodny—zauważył jakiś samotnik siedzący w kącie...

— Czy pani była na wystawie obrazów? — spytał gruby komisarz panią sekretarżową...

I dorzucił:

— Z największą przyjemnością pocałowałbym cię w szyję... Tak, śliczna wystawa... Szkoda, że ci brakuje dwóch przednich zębów.

A do młodego praktykanta mówiła starsza matka dwóch niewydanych córek:

— Dlaczego kochany pan tak rzadko nas odwiedza... Smarkaczu jakiś nie mówiłabym ja z tobą, gdyby nie to, że, że może ożenisz się z Ewunią... Niedawno temu pytała się moja córka Ewu

nia, dlaczego pan Izidor tak dawno u was nie był... Ale jeżeli nie masz, majątku, to naturalnie nie potrzebujesz się trudzić..., Vi najgorszym razie daru ci i młodszą... ale się ożeń, Ważnie, ożeń się...

Wszedł lokaja niosąc na tacy szklanki z limonadą i powiedział:

— Wolelibyście wino... Naturalnie... Czego jeszcze? Ha, ha... Musicie udawać, że wam smakuje... Woda z cukrem...

Nie ma tu ani jednej baby tak ładnej, jak Frania, pokojówka... Na zdrowie!... Niech żyje Frania!...

— Kiedyż będzie właściwie kolacya? — pytał zniecierpliwiony samotnik.

Do bladego radcy sądowego przystąpił starszy adjunkt...

— Jakże szacowne zdrowie pana radcy?

— Dziękuję, nieźle...

— Jakto? Chyba nie wiesz, że masz raka.

— Co?!...

— Nic... Chwałą Bogu, że nieźle... Ale w każdym razie umrzyj... Cały sąd już czeka... Opróżni się choć jedna posada...

Nie bądź tak nieużyty... Umrzyj!...

Podczas tego rozmawiał w drugim pokoju gospodarz z dwoma młodszymi urzędnikami starostwa,

— Oto moje intencje, kochani panowie—kończył rozmowę spodziewam się, że mnie rozumiecie...



— O, panie hrabio! wykrzyknął z zachwytem Benjaminek.

A młody komisarz szeptał:

— Odkąd mamy pana starostę, zaczęło się U nas nowe życie... Wieje coś świeżego...

— Duch czasu...

Przeszli do idealnej sali koncertowej.

— Zresztą — dorzucił komisarz — gdybyś nie był hrabią i nie miał pieniędzy, byłbyś największym osłem w środkowej Europie.

— Twoja żona jest bajecznie zbudowana — westchnął Benjamin z melancholijnym uśmiechem....

Pan starosta zbladł i spojrział na obydwóch osłupiałym wzrokiem...

Jednocześnie zauważył w sali kilka dziwnych spojrzeń i obłąkanych ruchów. Na kanapie leżała jakaś dama zemdlona, a dwie inne śmiały się spazmatycznie...

Szybko skoczył do swojej żony.

— Na miłość Boską... co tu się dzieje?

— Nie wiem—odpowiedziała. A potem zemdląła także.

Za kilka godzin przenieśli pana starostę do innego powiatu.

## KONCESYJA

Miałem wrażenie, że nad głową przyjaciela mego, Anatola, wisi miecz Damoklesa. Przedewszystkiem: pił stosunkowo za dużo, t. j. więcej, niż zazwyczaj. Powtóre: mówił stosunkowo za dużo, t. j. nie tylko rzeczy najkonieczniejsze, jak zazwyczaj. Po trzecie: zapewniał mnie ciągle, że jest w dobrym humorze, więc zapewne bał się czegoś złego od losu. A losem mego przyjaciela, Anatola, była jego żona.

Kobieta piękna i dobra, ale o... dwadzieścia lat od niego młodsza.

Gdybym ja miał żonę o dwadzieścia lat od siebie młodszą, miałbym bezwarunkowo uczucie, że wisi nademną miecz Damoklesa. A więc i on musiał mieć to uczucie.

Nie pytałem się go o żonę. Sam zaczął. A wiedziałem już pół godziny przedtem, że sam zacznę.

— Trzeba ci wiedzieć — mówił, robiąc pogo

dny, a nawet filuterny wyraz twarzy—że moja żona ma dwadzieścia lat, gdy ja mam czterdzieści..

— A! —zdziwiłem się uprzejmie, bo patrzył mi wyczekująco w oczy.

— Słowo honoru — zapewniał głośno, choć zdziwiłem się tylko słabo.

I jeszcze dodał:

— Tak jest rzeczywiście... chociaż mógłby ktoś myśleć, że trochę przesadzam.

Nie myślałem bynajmniej, że on trochę przesadza. Ale powiedziałem jeszcze raz „A!” żeby mu zrobić przyjemność, Potem całą kwestyę uważałem za ostatecznie załatwioną. I zacząłem robić spokojnie gaiki z chleba, aby mieć pewien zapas po walki z panną Hermioną, która stała za bufetem.

A po chwili rzekłem.

— Maią u nas wakować cztery posady starszych radców skarbowych: Dowiedziałem się w departamencie dwudziestym. Jeżeli to prawda, to do rnkku ty i ja...

Ale on mi przerwał;

— Wiesz, co powiedziałem niedawno do mojej żony? Mam dwa razy tyle lat, co ty, moja droga. Proszę cię, zastanów się nad tem... Tego roku składa się tak pięknie, że możesz powiedzieć wszystkim: „Mój mąż ma dwa razy tyle lat, co ja”... Potem będę wprawdzie zawsze o dwadzieścia lat od ciebie starszy, ale ta różnica nie da się już nigdy wyrazić tak efektownie... powiedziałem „etektownie”... jak właśnie w tym roku... Ha, ba... Dobrze—co?...

śmiał się nienaturalnie. — Dobrze... co? —pytał natrętnie.

Mruknąłem: — Hm... I robiłem dalej gaiki.

— Więc śpiesz się—mówiłem—śpiesz się, Loleczko, z graniem młodej żony starego męża... Ha,

Zaczął mnie irytować. — Nie rozumiem... —rzekłem sucho — po co... jakim celu powiedziałeś to żonie. Wytrzeszczył oczy. — Nie rozumiesz?... To moja metoda. Uśmiechnął się chytrze. Napił się wina, przysunął się do mnie i mówił cicho:

— Moja metoda polega na tem, że... psuję jej z góry każdą rmantyczną przyjemność... Rozumiesz? Jestem niejako sikawką, funkcjonującą przed pożarem... O dwudziestu latach różnicy wieku mogłaby sobie sama kiedyś pomyśleć...

— Ale ona to przecież wie!

— No, tak, wie... ale tu chodzi o formę. O to, że „mój mąż ma dwa razy tyle lat, co ja”U kobiet jest wszystko kwestya formy. Więc żeby sobie nie pomyślała kiedyś sama w tej formie—albo żeby jej ktos... hm... jakiś... ktoś... tego w ten

sposób nie powiedział, więc ja jej to mówię naprzód. Drwię z góry z roli d'une femme incomprise, zanim ona tę rolę grać zacznie... Kozuniiesz? Zacząłem trząść głową.  
— Jesteś wstrętnie skomplikowaną małpą.

Ale on tego nie dosłyszał, I ciągnął dalej: — Niema co mówić, małżeństwo to polityka...  
I jak zawsze w polityce zwycięża zimny rozsądek.

A ja...

Popatrzyłem na niego, bo byłem ciekaw, czy powie: „a ja mam zimny rozsądek”. Ale powiedział: — ...A ja jestem synem kupca i nauczyłem się od dziecka brać rzeczy praktycznie. Lubię, panie tego... muzykę i t. d., ładną książkę i t. d... ale nienawidzę romantyzmu w życiu. Nienawidzę. Bo z tego pochodzi wszystko złe. Miałem kolegę, także był taki... no i w końcu zastrzelił się, czy jest w Ameryce. Ona jest z innej klasy, a ja iestem z innej klasy. Ona jest z tej klasy, gdzie ma ją mało pieniędzy, a dużo czasu.

Zaczynał być niedyskretnym.

Powiedziałem z naciskiem:

Zeszłego roku była o wiele cieplejsza wiosna, niż tego roku. Jest tylko osiem stopni w cieniu... A z Wenecyi telegrafują, że jest siedem stopni.

Spojrzał ua mnie z pewnem zawstyżeniem. Dodałem:

— Reaumura.

Chwycił mnie za guzik, czego bardzo nie lubić

— Ja kocham żonę... To jest znana rzecz. I ona mnie kocha... Nie myśl, że ten rys jej charakteru...

— Jaki rys jej charakteru?—spytałem, bębniąc palcami.

— No... ten jej romantyzm...

— To nie rys charakteru, tylko... dwadzieścia lat.

— Wszystko jedno — przerwał mi niecierpliwie—dosyć, że. ma pewne skłonności do przesady... w życiu... Nie da się zaprzeczyć, że ma pewne skłonności do przesady. To nic złego. Ale w niej coś jest. Ona widzi wszystko inaczej, jak jest. Ja ci coś powiem... ale ty mnie nie zrozumiesz... Ona chce, żeby wszystko było inne, jak jest, więc widzi wszystko tak, jak chce. Ty mnie nie rozumiesz... ale ona chce np. żeby ja był inny, jak jestem...

— O, to rozumiem—mruknąłem niegrzecznie.

— Chce, żeby ja byt taki romantyk... uważasz... taki, co ma dziwne życie i dziwne przygody w życiu... Taki, co ma jakieś straszne tajemnice, np. dwie żony... albo coś w tyra guście... Nie uwierzysz, jeżeli Ci powiem, że chociaż ona mnie kocha, to jednak myśl, że są na świecie jeszcze inne kobiety, które ja mógłbym kochać... albo którym...

Spuścił oczy.

— ...Którym ja sam nie byłbym obojętny... nie byłaby jej przykra... ale przeciwnie... rozumiesz?... przeciwnie... nawet przyjenma...

Chwycił mnie znowu za guzik.

— Czy to nie szaleństwo?... Kocha mnie... bezwarunkowo ogromnie, a przecież chciałaby, żeby... W głowie ci się miesza. To jest właśnie ten rys jej charakteru. To jest właśnie objaw tego romantyzmu, z którym ja walczę... walczę... Otarł pot z czoła i dokończył cicho:  
— ...Z powodzeniem.

Spojrzałem mu w oczy.

Z powodzeniem —powtórzył wyzywająco

i to właśnie za pomocą tej metody, tej... mojej metody, o której ci mówiłem... Kobietę trzeba wychowywać. Jestem nieubłagany. Możesz sobie pomyśleć, ile mnie to samego kosztuje. Ale przysiągłem sobie: żadnych koncesji, żadnych koncesji!...

Patrzył niespokojnie na prawo i na lewo, jak człowiek, bojący się zamachu. Ale machał energicznie ręką.

To jedna droga—mówił coraz głośniejszym głosem—być sobą, być zawsze sobą, być zawsze sobą... Nie ustępować ani kroku, nie sprzeniewierzać się własnej indywidualności. Oblewam ją ciągle zimną wodą... Mówię jej ciągle: „Moja droga, życie jest takie, a takie... Życie to zadanie rachunkowe, nie powieść francuska. Poważny mężczyzna patrzy trzeźwo na życie. Poważny mężczyzna nie jest taki, jak ty go sobie wyobrażasz. Wyszłaś za urzędnika, moja droga. Wyszłaś za syna kupca, nie za człowieka, który ma dużo czasu"... Tego wszystkiego jej nie mówię, uważasz, ale całym moim postępowaniem, że tak powiem... wskazuję jej drogę... Powoli i nieznacznie przerabiam ją na innego człowieka. Otwieram jej nowe... hm, tego... horyzonty życiowe...

— Brawo!—zawołałem, udając entuzjazm. m

Popatrzał na mnie z podejrzliwością.

Rozumie się—mówił trochę ciszej — że to nie łatwo... Ot, jak wogóle z wychowaniem... Trzeba być ciągle sur le qui vire, ciągle na nowo wycho |

wywać... Ona ma bardzo niespokojną rodzinę. Tam się zawsze coś dzieje. Różne szkodliwe rzeczy.

— Jak to szkodliwe rzeczy?

— No... rozumiesz... takie zdarzenia, które mi psują wychowanie Loli, bo ją strasznie zajmują, podniecają jej chorobliwą fantazję... jej skłonność do przesady w życiu... Różne szkodliwe rzeczy... Np. jej kuzyn jest rzeźbiarzem. Uda mu się jaka figurka, to zaraz robi się hałas i wszyscy o tem mówią... Lola była u rodziców i wraca do domu z czerwoną twarzą. Nie lubię, kiedy Lola ma czerwoną twarz... „Czy wiesz?... Antoś dostał złoty medal!" „No i cóż to wielkiego?—mówię całkiem zimno — cóż w tem dziwnego? Zrobił porządnie swoją robotę i koniec, Gdyby były dla urzędników złote medale, to twój mąż dostałby nieraz, nie dwa... ale o razy w roku... Bo twój mąż robi codziennie porządnie swoją robotę"... Dobrze... co?...

— Dobrze —mówię, przypatrując mu się uważnie. Był coraz bardziej podniecony, wiercił się na krześle i machał rękoma.

— Ona mnie kocha... bezwarunkowo ogromnie... ale to dziecko. I mój rozsądek musi ciągle walczyć z jej przesadną fantazją...

— twój rozsądek naturalnie zwycięża — powiedziałem ironicznie.  
Anatol uśmiechnął się tryumfująco. Spojrzał na mnie wzrokiem, przenikającym moją ironię i powiedział cicho:  
— Nie śmieję się... Od kilku dni jestem naj

szczęśliwszym mężem w świecie... Od kilku dni żona moja kocha mnie tak, jak...

— Cóż jest właściwie powodem tej zmiany? Zmrużył tajemniczo oczki.

— Powodem tej zmiany jest, że Wanda Mokrzycka rzuciła się z okna.

— Jakto?

— No, mówiłem ci, że to niespokojna rodzina. Tam się ciągle coś dzieje... Kuzyn dostaje złoty medal. Kuzynka rzuca się z okna...

— Wanda... Wanda... Czekałże... Coś o niej słyszałem... Że się w tobie kochała... czy...

Anatol się uśmiechnął.

— To nieprawda — rzekł mi prawie do ucha.

— I ja tak myślałem szepnąłem, patrząc na jego łysinę—ale z kąd powstała ta plotka?

— Moja żona rozpowiada to wszystkim... Jest przekonana, że ja jestem powodem tego sensacyjnego samobójstwa....

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— Ależ ty jej przecież wytłomaczyłeś, że... Spoglądał na pól chytrze, a na pól ze strachem.

— Ja jej nic nie wytłomaczyłem... Przeciwnie.

— Przeciwnie?... Zaśmiał się cicho.

— Mon cher... mówił zawsze jpnon chertz pod wpływem alkoholu)... cóż chcesz?... Ijola była u rodziców i wraca do domu z czerwoną twarzą... Nie lubię, jak Lola ma czerwoną twarz... Ale tym razem oczy jej były takie dziwne...

Błyszczały one a przytem były zamgloué... „Czy wiesz, że Wanda

rzuciła się z okna"?... Chciałem ją zaraz oblać zimną wodą. Chciałem zacząć: „I cóż w tem wielkiego?... Co rok rzuca się tyle a tyle waryatów i t. d.". Ale Lola chwyciła mnie za rękę... „Tolku, przyznaj się... ty wiesz, dlaczego ona to zrobiła"... Aha! — czuję nagle: ona myśli, że Wanda... „Przyznaj się, przyznaj się" — błagają prawie jej oczy... I naraz... ty mnie nie zrozumiesz — naraz ogarnęła mnie gwałtowna chęć, żeby powiedzieć jej to, czego tak gorąco pragnęła...

— I skłamałeś?...

— Nie... Tylko się nie broniłem... a raczej broniłem się tak słabo, że Lola nagle krzyknęła: „Wanda zabiła się dla ciebie"!... Potem odwróciła się, milcząc... A w chwilę później rzuciła mi się na szyję... „Ty... potworze!... Wszystkie za tobą giną, wszystkie..." I w tej chwili czułem, że kocha mnie tak, jak nigdy...

Nastąpiła chwila milczenia.

— Mój drogi — zacząłem — ty jesteś...

— Hultajem... co? — spytał mnie Anatol.

— Nie,, ale... niekonsekwentny... Zrobiłeś małą... ale dość niebezpieczną koncesję... na rzecz... romantyzmu... twojej żony.  
— Niebezpieczną?..  
Poruszył się niespokojnie na krześle...  
— Myślisz?..  
— Ty to sam czujesz — rzekłem bezlitośnie i zimno:  
Patrzył na mnie bezradnie...  
— Ale...

— żadnego „aie“!... Należysz do piechoty zdrowego rozsądku... Sprzeniewierzyłeś się sobie,, siadając na konia, z którego prędzej, czy później,, zlecieć musisz... Nie byłoby sprawiedliwości, gdybyś me zleciał...  
Mierzyłem go surowym wzrokiem.  
— Nad głową twoją wisi...  
Chciałem powiedzieć, „miecz Damoklesa”. Ale on spytał boleśnie:  
— Co wisi? Więc rzekłem:  
— Wisi mój kapelusz... Podaj mi go i chodźmy z tej nudnej restauracji.

## MAŁA OPERACJA.

Narcyz Rymowski stał pewnej nocy wiosennej przy otwartym oknie i używał — nocy wiosennej. Nie używał jej dla siebie, tylko dla literatury. Więc noc błądła z oburzenia, jak panna, którą kochają tylko dla posagu. Ale Narcyz na to nie zważał, tylko wdychał w siebie chciwie zapach śpiących bzów i krzewów — obok dymu egipskich papierosów. Nie był to ogród jego, tylko miasta i publiczności, ale to nie ma nic wspólnego z używaniem. Zaś między ogrodem a oknem literata ciągnęła się opuszczona ulica, zalana księżycowym światłem.

Przez ulicę szedł mały człowieczek z siwą brodą, który niekiedy przystawał, przed bramą tego lub owego domu, jakby się namyślał, czy wejść, czy pójść dalej. I wszedł do kilku domów, zapewne tam, gdzie widział oświetlone okna. „A ile razy wyszedł z takiego domu na ulicę, to jasne okna gasły”... Komponował z nałogu Rymowski, który się czepił tematu, że człowieczek

z brodą to — śmierć... choć w gruncie rzeczy myślał, że to stróż nocny.

Otóż przystanął ów staruszek także przed domem Rymowskiego i literatowi naprawdę zabiło serce, bo odczuwał dość intensywnie swój „temat”. I o mało naprawdę nie zemdlał, gdy po chowili zapukano trzy razy dość silnie do jego pokoju.

Staruszek wszedł. I bez przygotowania zaczął mówić:

— Ma pan szczęście. Jestem taki dobry duch, który chodzi po ludziach i pyta: czy kto czego nie potrzebuje?...

— Niby handeles — szepnął nieśmiało Rymowski,

Ale za chwilę zawstydził się, że ma tak mało fantazyj. Ho staruszek nic handlował niczem, tylko całkiem bezinteresownie pytał: czy kto czego nie potrzebuje? Krótko mówiąc był dobrym staruszkiem z bajki.

Należało tylko powiedzieć całkiem prosto: chcę tego, albo owego.

Rymowski miał tak mało fantazyj, że powiedział:

— Buteleczka od wina pusta... zdałoby się tego... hm... Nie mogę znaleźć srebrnej papierošnicy po dziadku... byłoby dobrze, gdyby... hm... Jutro trzeba czynsz zapłacić, a tu panie... hm... i t. d.

Nareszcie opamiętał się i umilkł. Staruszek przeszedł nad tem mruzeniem o papierošnicach i czynszu z taktem do porządku dziennego.

— Więc czego pan sobie życzy? — spytał. Tak,

jakby dotychczas Rymowski nie wyrzekł był ani słowa.

Mam rozmiękczenie mózgu — rzekł do siebie Rymowski, i postanowił przez chwilę milczeć, a potem dopiero mówić.

Zaczął się namyślać:

— Czego ja sobie życzę?

Staruszek czekał cierpliwie, Rymowski milczał. Staruszek gładził srebrną brodę i czekał. Rymowski myślał... A po chwili rzekł głosem, ogromnie markotnym i cichym:

— Ja nie chcę niczego. Staruszek spojrział na niego uważnie.

— Tak pan myśli? każdy czegoś chce... kto żyje, ten zawsze czegoś chce...

Rymowski uśmiechnął się cierpko i skinął głową:

— Właśnie. Kto żyje.

— A pan?

— Ja jestem — literat.

Dobry staruszek się zastanowił. A potem rzekł z pewną uciechą:

— A to już wiem. Pan chce czegoś chcieć... Rymowski chwycił go za rękę.

- O!.., Jaki pan inteligentny!...
- Innemi słowy: pan chce żyć.
- Właśnie.
- No tak, no tak... ale jak to zrobić?... Rymowski zatarł ręce.
- A, to już pańska rzecz—powiedział, ciesząc się z kłopotu staruszka.

I zaczął szczebiotać

— Od czego pan duchem?... Próbowałem hydropatyj, gimnastyki szwedzkiej, kuchni wegeteryańskiej, małżeństwa, powietrza górskiego.

Staruszek skrzywił się i machnął ręką. Literat zmieszał się i umilkł.

— Pół do trzeciej —rzekł staruszek:—nie mam już dużo czasu...

Rymowski wołał:

— Już wiem! — rzekł tryumfująco — niech mi pan nic nie da, tylko weźmie...

Co?

— Mój tak zwany „talent literacki"! Staruszek się zawahał. Potrząsnął głową.

— Kj, co też pan... Zawsze to szkoda... Taki dar... No a sława swoją drogą...

— Nie potrzebuję sławy — przerwał mu Rymowski — bo ją mam... Napisałem tyle, że wystarczy na nieśmiertelność...

— Do pewnego stopnia—dodał przezornie.

A potem, „nie chwaląc się", obja.śnił staruszkowi, że należy niejako do powag, do wielkości z granitu... Przedwczoraj obchodzono z wprost bajeczną uroczystością dwudziestopięciolecie jego działalności na „niwie... i t. d."... Dostał złote pióro od panien niżej lat czterestu, tekę drogocenną od matron i t. d. Słowem już jest, już nie potrzebuje się starać...

Staruszek patrzył na niego z podełba.

— No, i pan myśli, że jak panu zrobię tę operację... czyli wyjmę z mózgu ten „talent literacki"...

to panu będzie lepiej?... To będzie pan używał lepiej piękności, szczęścia i burz tego świata?... " — Tak... Myślę...

Staruszek wyciągnął Rymowskiemu z mózgu tak zwany „talent literacki".

Potem pobłogosławił go i wyszedł tak prędko, że literat zapomniał nawet podziękować za przysługę.

Od tej chwili — było właśnie dwudziestego ósmego maja, trzy kwadransy na czwartą i niebo gorzało na część wstającego słońca — zaczęło się nowe życie dla nowelisty, Narcyza Rymowskiego.

Miał ciągle apetyt. Ciągle łaknął życia, ciągle czegoś pragnął, ustawicznie do czegoś tęsknił...

— Mam pragnienie, pragnienie.. — myślał w dzień i w nocy—świat to mała piwnica.

Miał pragnienie...

Zabłyły dla niego nanowo barwy, zadźwięczały nanowo tony...

. Przedewszystkiem miał trzy cudne obrazy. Pierwszy obraz na ścianie, pędzla iakiegoś starego Anglika. Przedstawiał zachód słońca nad rzeką, płynącą przez małe średniowieczne miasteczko. Kupił był ten obraz przed pięciu laty na licytacji w Antwerpii i przez dwa tygodnie szczerze i spokojnie się w nim kochał. Ale potem obraz sprzykrzył mu się



tak, jak wiele innych rzeczy. Stał się dla niego—meblem, Rymowski siedział nieraz, pracując przed „Zachodem słońca nad rzeką” i nie widział ani rzeki, ani słońca.  
Teraz, po operacji, nagle obraz przecudnie

zmartwychwstał. Rymowski zbudził się rankiem,  
spojrzał na „Zachód słońca” i zaraz wyskoczył z łóżka...

— Cudny! cudny!...—zawołał radośnie.

Ale zaraz potem ogaruęło go pragnienie. Nie mógł naprawdę „nasyć się widokiem” obrazu.

— Co mi z tego, że on wisi tam gdzieś na górze. —mruknął pośepnie.

I nie wytrzymał: skoczył na stół, zdjął „Zachód słońca” ze ściany i powiesił go w najjaśniejszym miejscu, śmiesznie nisko, prawie tuż nad biurkiem...

— Tak... to co innego—powiedział z dziwnie zmysłowym uśmiechem—tak ma przynajmniej światło i kwitnie... a ja go ciągle widzę...

W kilka dni ogarnął go niepokój.

— Ach ten, obraz!... Patrzę na niego i patrzę, a nie mogę się nim nasyć... Ładny owoc zje się i koniec... Ale przed tym obrazem stoję godzinami i patrzę... i mara ciągle te samą tęsknotę... . A to tylko jeden obraz... A tam czeka na mnie cały świat...

Mechanicznie chwycił za papier i pióro, aby „pozbyć się obrazu” czyli — napisać o nim nowelę.

Ale już po kilku słowach przekonał się, że — pisać—zapomniał,

Stanął więc znowu przed „Zachodem słońca”, a potem zdjął go znowu ze ściany, przysunął tak blisko do twarzy, że uczył ostry zapach farby—potem wziął nóż, leżący na stole i najspokojniej w świetle zaczął krajać i krajać... I przestał do

piero wtedy, gdy „Zachód słońca” zginął i zostały tylko ramy, a w nich krwawe, żółte, zielone strzępy płótna...

Teraz dopiero spostrzegł, że zniszczył obraz. ogarnął go niesłychany strach przed samym sobą.

— Nie, ja tego nie zrobiłem—powiedział, patrząc na dziwny trup, kłębiący się na ziemi.

— Ja tego nie zrobiłem... — szepnął, czerwieniąc się jak dziecko, do służącego, który wszedł do pokoju.

...Zaczął opowiadać śmiesznie zawiłą historię o nożu, który upadł przypadkiem na obraz, czy o obrazie, który zleciał na nóż..

A potem usiadł gdzieś w kącie, pełen zimnego strachu, drżący, przygnębiony, cichy...

Pod wieczór odwiedziła go jednak nowa radość, zbudził go—drugi obraz.

Ten drugi obraz to — żywa, piękna kobieta, która wyglądała jak co wieczór z okna domu stojącego naprzeciw.

— Dzięki ci— rzekł z zachwytem — dzięki ci, że jesteś...

Wzrokiem pieścił jej białą twarz i szyję, całował czerwone usta. Oczy jego znały ją oddawna — ale tylko oczy. Patrzył na nią często i chętnie—ale tak, jak na piękne dzieło sztuki. Dopiero teraz czuł ją niejako wszystkimi zmysłami, czuł w niej kobietę—ciałem i duszą!

I, nie namyślając się długo—jakby chodziło o rzecz najzwyczajszą w świecie—postanowił pójść do niej i „wyznać jej swą miłość”.

Gdy wszedł do jej mieszkania, była sama. Na widok jego zbladła i spytała: „Czego pan sobie życzy”. otrzymała odpowiedź, że „pan” kocha ją bez granic, i sam się dziwi, dlaczego już przedtem tego jej nie powiedział.

— Mam męża—zaczęła się bronić.

— Tak? — spytał obojętnie, jakby nie zrozumiał lub nie dosłyszał.

...Widocznie czasu nie miał, bo zaraz objął ją w pól i namiętnie do siebie przycisnął.

Uroniła się rozpaczliwie, bo... kochała go oddawna. Broniła się tęskniącym ciałem i cierpiącą duszą. Broniła się pieściami i swą godnością kobiecą, nożyczkami i ciągiem „kocham męża”,

ł Narcyz Rymowski został —jej kochankiem.

Innemi słowy: stał się katastrofą jej życia. Dawniej brakło jej szczęścia—teraz miała nieszczęście. Ile razy był u niej ten „mężczyzna z przeciwka”, tyle razy zdawało się jej, że jest w niebezpieczeństwie życia.

Patrzył na nią tak, jak morderca na swą ofiarę.

Raz, gdy siedzieli sami wieczorem, w półciemnym pokoju, uczuła tak wyraźnie zimną stal jego spojrzenia, że strach jej wybuchł gwałtownie.

— Ty mnie zabijesz!—przeraźliwie krzyknęła. Wtedy Rymowski drgnął, uśmiechnął się jak zbudzony ze snu i krokiem pijanym wyszedł z pokoju.

Na ulicy uświadomił sobie, że przed chwilą chciał naprawdę zabić kobietę.

Była to myśl, którą należało natychmiast obez

władnić, odurzyć, aby nie ruszała się w mózgu i nie sprawiała boleści. Więc trzeba było pójść natychmiast do kilku dobrych towarzyszków i wziąć ich na dobrą kolację.

Od chwili tego postanowienia zaczęły się dziać z Rymowskim dziwne rzeczy. Przez kilkanaście dni nie był w domu, a po za domem prowadził tak burzliwe, dla siebie i dla spokoju publicznego niebezpieczne życie, że zaczęto go pilnować, a nawet w gazetach jęły się zjawiać dość przezroczyście aluzje i wzmianki o stanie zdrowia naszego sławnego nowelisty.

Aż pewnego dnia zamknięto go z troskliwości w jego mieszkaniu.

Narcyz stał godzinami przy oknie i patrzył z rozkoszą na swój — trzeci obraz. Tym obrazem trzecim był piękny widok na ogród i miasto.

Widok ten nie dawał mu zadowolenia (jak nie dawały mu go przedtem tamte dwa obrazy). Ale ponieważ był, więc trzeba było i jego jakoś "się pozbyć".

Trzy dni Narcyz męczył się i tęsknił. Trzy dni kochał się w kwitnących bzach, w szmaragdowych trawnikach, w srebrnych wieżach kościelnych i w smutnych postaciach kominów na dachach. Kochał się i cierpiał. I dopiero czwartego dnia zrana widoku i życia gruntownie „się pozbył”. Trup jego, odnaleziony przez kogoś w rowie, miał ramiona miłośnicie otwarte. Ramionami temi chciał objąć i uścisnąć... ukochane życie. Tylko dlatego rzucił się z okna.

Pędziłem przed siebie ostatnie dni, jak czarne owce.. Wołałem: „Prędszej, prędszej, czarne dni”!

Na tydzień przed podróżą dawałem wskazówki, co i jak trzeba zapakować...

— Ależ to jeszcze czas — mruzczała matka.

— Ho, ho!... Tydzień tylko... Zaledwie tydzień... „A raczej sto pięćdziesiąt godzin” — dodawałem w duchu... Nie głośno, bo się wstydzilem... Wiedziałem, że tamci ludzie są całkiem inni, a w każdym razie nie tak dokładni i skrupulatni w obliczaniu czasu przed podróżą... Co im tam jedna godzina mniej czy więcej!...

...Prędszej, prędszej, czarne dni...

Naprzeciw okna był stary, żółty mur. Na murze były ciemne malowidła takich mistrzów, jak deszcze, dym i czas...

Były obłoki i panny młode w długich welonach i amazonki na koniach arabskich... Przeważnie obłoki i kobiety...

Znałem na wylot całe towarzystwo, bo nieraz nudziłem się haniebnie, pisząc z urzędu różne głupie rzeczy, więc, pisząc, patrzyłem przez okno.

Patrzyłem przez okno z pewną litością, bo amazonka najgrubsza schudła i pozieleniała z rozpacz, że miałem niebawem wyjechać...

Bardzo mi przykro, ale wyjechać muszę.

— Tak, pani łaskawa, za czterdzieści osiem godzin i trzydzieści minut... Dokąd? Doprawdy, nie chce mi się poraz setny opowiadać całej historii. Co pani z tego? I tak nie mogę wziąć pani z solia. Tylko to jedno powiem, że niezadługo zacznie się moje królestwo. Czy pani wie, co to wakacje? Tylko to jedno powiem, że są Rotszyldy, mający trzydzieści milionów, i że ja właśnie jestem takim Rotszyldem. Tylko to jedno, Mam trzydzieści pereł, jedna większa i jaśniejsza od drugiej, mam trzydzieści białych dni... Gdzie są? Tam, niedaleki, za sto czterdziestą ósmą godziną, tam, gdzie się rozjaśnia, tam, gdzie jest taki duży jasny otwór jak koniec tunelu. Już niezadługo tunel się skończy, pani droga, już niezadługo zabłyśnie pierwszy biały dzień.

Amazonka na koniu arabskim ciemnieje. Biur ko moje ciemnieje. Papiery na stole i obrazy na ścianach ciemnieją,

jakby się oddalały. Wszystkie ulice, miasto całe się oddała. Bo już się żegnam ze wszystkim... Minął ostatni

poniedziałek. Trwał najdłużej ze wszystkich dni czarnych, ostatnich... Słońce zaszło o kilka godzin później, niż miało.

Gdy kończy! się ten długi podziemiałek, uśmiechnął się jeszcze do mnie ironicznie, czerwono...

— Do widzenia—szepnął—do widzenia!... Minął wtorek, minęła środa...

— Masz załatwić przed odjazdem następujące rzeczy—rzeki do mnie starszy i poważny człowiek.

Powiedziałem starszemu człowiekowi, że zrobię wszystko co do joty.

A ostatniego dnia upomniał mnie ten człowiek:

— Nie nie zrobiłeś! Ja ciebie nie puszcę, dopóki wszystkiego nie załatwisz...

Główną rzeczą jest to, żeby siedzieć już raz w wagonie. Dlatego dziękowałem Bogu, że już nareszcie siedzę w wagonie.

...Przez okno widziałem mnóstwo ludzi, którzy musieli zostać. Ludzi bez białych dni, okropnie biednych. Odprowadzili tylko swoich krewnych na dworzec, a teraz muszą wracać do miasta.

Ze mną inna sprawa! Od dziś zaczyna się nowe życie.

— Za trzydzieści dni musisz wrócić—rzeki do mnie poważnie starszy człowiek.

Przedewszystkiem chodzi o to, żeby już być w wagonie. Przedemną leży świat. Jestem tak niesłychanie wolny, że kręci mi się g)wa, gdy o tem pomyślę...

A jak tylko ruszymy z miejsca, zacznę mówić z tą panną, która siedzi naprzeciwko.

Przedemną jest tysiąc możliwości i awantur. Niema rzeczy, której nie zrobię, gdy zechcę. Jestem jak ptak. Pociąg rusza, a ja jestem jak ptak...

Teraz jest ciemno, ale jak tylko wyjedziemy z dworca, zacznę mówić z tą panną, która siedzi naprzeciwko.

Robi się jasno...

Spytam na razie tego pana, który siedzi w kącie, czy wolno zapalić papierosa.

Powiedział, że wono. Wobec tego wypada palić. To nieprzyjemne, bo przed chwilą paliłem. W dodatku powinienem był spytać się panny nie zaś tego pana w kącie. Ale nie mogłem, bo ona czyta książkę. Jak tylko skończy czytać, zacznę bezwarunkowo z uia mówić.

A żeby załatwić jakoś tę sprawę z paleniem, wychodzę na korytarz.

Nie piłem, ale jestem pijany. Patrę przez okno ua pola całkiem czerwone od wieczornego światła... i głowa mi się kręci. To wszystko moje... wszystko moje... Taka sympatyczna biała szosa między drzewami, którą można zajść... Bóg wie, jak daleko,.. A tam błyszczą się okna białego domu. Jestem nieskończenie szczęśliwy.

Ten pan, którego się pytałem, czy wolno palić, wychodzi na korytarz...

Patrzy się wesoło na świat. Patrzy się tak, jakby wyszedł na małą pogadankę. Opiera się o okno, wyciąga cygaro z kieszeni... bardzo sympatyczny człowiek.

Ale nie wiem, o czym mam z nim gawędzić. Najlepiej będzie, jeżeli on sam zacznie. W każdym razie zwracam jego uwagę na czerwone pola.

— A tak — mówi, kiwając głową — to od słońca.

— Właśnie, od słońca...

Widzę, że mi się przypatruje. Naraz się

pyta:

Pan się z czegoś cieszy...

Ja?...

— Tak się pan jakoś uśmiecha... Jestem w pewnym ambarasie.

— Tak... —mówię —uśmiecham się, bo... jakby to powiedzieć... odziedziczyłem majątek...

To niezłe uzasadnienie.

Pan z cygarem otworzył lekko usta i patrzy się na mnie, jakby widział pierwszy raz takiego człowieka, więc odwracani głowo w inną stronę.

Teraz chciałbym, żeby pan z cygarem zapomniał jakoś o tym majątku, który odziedziczyłem.

Ale im ciągle na mnie patrzy. I mówi:

— A to przyjemnie... Bardzo przyjemnie... Po kim to pan odziedziczył, jeśli wolno spytać?...

Czuję, że się czerwienię.

— O!... po dalekim krewnym... Bardzo dalekim...

Patrzę z napięciem na czerwone pnia, czy nie ma gdzie zajęcia, albo coś podobnego, żeby mózgi pokazać temu panu.

Ale niema. Więc on znowu się pyta:

— A... hm... dawno pan odziedziczył?...

— Co?

— ...Czy dawno pan...

— Niedawno, nie... — mówię prędko — przed samym odjazdem. Ale mniejsza o to. Nie przykładam do tego najmniejszej wagi...

— He... be... nie przykładam pan...

— Nie. Właściwie nie dlatego się uśmiecham...

Ale głównie dlatego, że robię bardzo piękną podróż... ale tym razem...

— Gdzie pan wysiada?

— W Mori. Ale to najmniejsza. Dopiero potem zaczyna się właściwa przyjemność. To, z czego się głównie cieszę...

Ale w Mori pan wysiada?

— Tak, tak... Tylko to nie koniec, powiadam panu... Ho potem przychodzi najważniejsza część podróży. Piesza wędrówka do Włoch... Idę brzegiem jeziora przez cały dzień, a potem...

Opowiadam mu jak i co. Ale nie wiem, czy on słucha. Zły jestem, że mówię, bo on ma roztargnione oczy. Muszę teraz dokończyć, bo zacząłem, ale mówię raczej do siebie, mówię niewyraźnie...

Patrzy się na mnie tak, jak przedtem, kiedy się dziwił, że odziedziczyłem majątek.

Boję się, żeby nie wrócił znowu do tego majątku. Więc mówię:

— Czy widział pan tę piękną pannę, która z nami jedzie?

Ziewnął.

— To Włoszka... Ucieszyłem się bardzo.

— Co pan mówi?... Włoszka?...

— Jedzie do Werony.

Dlatego taka piękna, że Włoszka... O, dlatego taka piękna!...

Siedzisz sama w przedziale, piękna moja! Pozdrawiam cię oczyma... Czy widzisz?... Mam trzydzieści pereł, trzydzieści białych dni...

Jak tylko skończy czytać, muszę do niej mówić. Może się stać tysiąc cudów, bo to dopiero pierwszy... dzień, a naprzeciw mnie siedzi taka Włoszka.

W wagonie ciemno. Jest nas troje... Ona, ja i ten sympatyczny pan.

Sympatyczny pan wstaje.

— My położymy się po tej stronie... A pani po tej..,

Włoszka się uśmiecha: — O grazie tante.

Minęło mnóstwo czasu... A ja nie śpię. W wagonie ciemno... Lokomotywa gra piosnkę, którą raz gdzieś słyszałem dzieckiem... 'A ja się kocham.

Staram się powtórzyć w myślach tyra samym głosem, co ona: "Grazie tante.. grazie tante... grazie tante...

...Pociąg śpiewa tę piosenkę, którą lubię od dziecka. Zdaje się, że sympatyczny pan śpi, jak zabity. Więc jest nas dwoje... Ja i ona...

W nocy się zbudziłem ua chwilę. przez tę chwilę wpadło mi na myśl, że nie zrobię pieszej wycieczki brzegiem jeziora Garda do Włoch...

Wpadło mi na myśl, że pojadę do Werony.

Przytem zauważyłem, że jej twarz biała leży na drogocennej materyi z czarnych włosów... I włosy czarne pachną, i cały wagon pachnie...

Jak tylko otworzy oczy, zacznę do niej mówić.

Zbudziłem się drugi raz... nad ranem. Pociąg nie grał... Stał. Sympatyczny pan już nie leżał, tylko patrzył, czy ja nie śpię...

Naglepowiedział: — Jesteśmy w Mori. Pan wysiada... Włoszka w tej chwili zbudziła się i przetarła oczy.

— Ja nie wysiadam — rzekłem nieśmiało do sympatycznego pana.

Na to się zerwał, chwycił za kapelusz i powtórzył, jakby ze strachem:

— To Mori... Pan powiedział, że pan tu wysiada...

— Ja nie wysiadam—odrzekłem nieśmiało. Wtedy... sympatyczny pan nagle sam wysiadł. Ruszyliśmy z miejsca.

— O, ten pan wysiadł — powiedziała Włoszka po fraucusku...

Ucieszyłem się, bo do mnie przemówiła. '

— Tak, wysiadł...

— A!... Madonna!... A mnie się zdawało, że pani z nim razem jedzie...

Byłem szczęśliwy, bo do mnie mówiła.

— Ja nie jadę razem z tym panem... Wzięła się za głowę.

— A!... Bu panu w nocy wypadł czarny portfel na ziemię...

Śmiałem się, bo do mnie mówiła.

— Oui, mademoiselle... mam czarny portfel... Wzięła mnie nagle za rękę:

— Nie, nie... pan już nie ma czarnego portfela... Bo ten pan, który wysiadł, podjął go i schował...

Pomacałem lewą kieszeń...

Oui mademoiselle... nie mam czarnego portfela...

— O... Madonna!... I pan się uśmiecha... A pieniądze?!...

Zacząłem się śmiać.

— Tam nie było pieniędzy..., Ja mam wszystkie pieniądze... w takim małym woreczku pod koszulą...

Teraz ona się śmiała.

— A!... w takim woreczku.

— Tak... pod koszulą... Coraz więcej się śmiała.

— ...Który mi uszyła matka...

— Ach, tak...

Coraz więcej się śmiała...

A słońce świeciło... Czulem szczęśliwy, że to południowe słońce... Pierwszy dzień biały... I było nas dwoje... Ona i ja.

Czekała, czy jeszcze coś nie powiem. Ale ja nic nie powiedziałem. Bo nie wiedziałem co... Tylko słońce świeciło.

Więc wzięła znowu książkę do ręki...

Co do siebie byłem spokojny... Ho —ho —teraz już łatwo! Za kwadrans zacznę z nią mówić... Jak tylko miniemy najbliższą stację, zacznę znowu z nią mówić...

...I będę z nią mówił aż do Werony. A w Weronie z nią wysiadę... Ona się uśmiechnie. „O, pan także tu wysiada”? A ja odpowiem: „Także tu”...

I spytam się, czy ona tu mieszka. Odpowie, że nie... tylko ma załatwić kilka interesów... Przenocuje tu jedną noc... jedną noc... a nazajutrz wróci do Roveredo... „A w jakim hotelu pani zamieszka”... Odpowie: „W Aquila Nera”... Na to ja rzeknę z uśmiechem, lecz spokojnie: „Ach, to się dobrze składa, bo i ja w Aquila Nera”... Na dworcu czeka już omnibus hotelowy, wsiadamy razem i... ..Pociąg' staje.

Permesso signore...

Włoszka zbliża się do mego okna i otwiera je szybko.

Jesteśmy na stacji... Boże, Boże... czy daleko to jeszcze do Werony?...

Włoszka stoi tak blisko, że czuję jej kolana. Od dziś zaczyna się nowe życie!... Czuję jej kolana...

Prawie boję się własnej odwagi. Bo nagle do niej mówię:

Właściwie miałem jechać tylko do Mori...

— Do Mori?...

Włoszka nagle wychyla się przez okno i woła:

— Beppo!... Beppo!...

A potem śmieje się, jakby z radości... Ja nie wiem, dlaczego — ale znowu śmieję się z nią razem.

Beppo!wołała Włoszka i śmieje się.

Wchodzi jakiś brodac do wagonu... W jednej ręce walizka...

Niech go!... Teraz nie będziemy już sami... Ale za to w Weronie...

— Mio marito —mówi Włoszka i śmieje się. A potem tłumaczy:

— Mon mari...

Powtarzam w myślach mechanicznie: „Teraz nie będziemy już sami”...

POTWÓR.

Będę się starał przedstawić sprawę zupełnie rzeczowo i sprawiedliwie od początku do końca. Zdaje mi się, że można mi zaufać. Jestem znany z bezwzględnej sprawiedliwości i z tego, że strzegę się wszelkiej przesady. Nasz sklep towarów kolonialnych istnieje, chwała Bogu, od stu pięćdziesięciu lat (w tym samym domu) i już ta okoliczność — pominąwszy znany fakt, że dziadek mój był burmistrzem — zwalnia mnie chyba od obowiązku roz. wodzenia się nad tem, kim jestem i do jak dobrej należę rodziny. A co do zmarłego niedawno dobrowolnie i brzydsko Szymima Alkiewicza, to znałem go od dziecka, fnie będąc z nim jednak nigdy w przyjaźni, ani w nieprzyjaźni) i posiadam oprócz tego pozostałe po nim listy i inne papiery, więc nikt chyba nie wątpi, że widzę jego życie jaśniej i prawdziwiej, niż inni mieszkańcy naszego miasta, nie wyłączając nawet żony i dzieci nieboszczyka.



Na Pytanie ; czy Alkiewicz był „zbrodniarzem”?— odpowiedziałbym zapewne przecząco. Muszę przyznać, że co do faktów... podkreślam: faktów... nie można znaleźć nic karygodnego w jego postępowaniu i życiu. Przeciwnie, trudno zaprzeczyć, że Alkiewicz, czynił wiele... dobrego, to znaczy: rzeczy, które trzeba by uznać bezwarunkowo za dobre gdyby nie to, że niestety, czynił je właśnie Alkiewicz. Wiedzą przecież wszyscy, że wspierał najuboższych i najędźnierzych, że dawał brudnym dzieciom pieniądze na książki i na odzież, że nieraz ostatni cent w jego kieszeni dostawał się najwstrętniejszym kalekom i że pozostawił wreszcie między innymi „, mówię, tysiąc guldenów dla swego rodzinnego miasta... owe nieszczęsne pieniądze, o których obecnie tak dużo i niepotrzebnie się mówi.  
...Stanowisko swoje w sprawie zapisu Alkiewicza zaznaczyłem wyraźnie i ściśle w mowie, wypowiedzianej onegdaj w ratuszu. Czy może doradzałem, żeby przyjąć? Nie, powiedziałem kilka razy: Nie przyjmaj! Podniosłem en passant, dla przykładu, że przyjmowanie podarunków, choćby najmniejszych, „cóż to jest, reńskich? — bagatelka, głupstwo, które można ostatecznie wziąć albo nie wziąć), od niewątpliwych waryatów, złodziejów, albo dzikich ludzi sprzeciwia się najprostszym zasadom etycznym. Podniosłem to nawiasem i tylko dla przykładu, więc nie pojmuję żalu, który czują do mnie żona i krewni zmarłego. Bo nie twierdziłem przecież, że Alkiewicz był złodziejem albo

waryatem, lecz zrobiłem niejako małe porównanie, aby przekonać tem prędzej moich zacnych, choć trochę powoli myślących kolegów w radzie miejskiej. Zdaje mi się, że argumentacja moja była trafna i przekonująca i nie jest to z pewnością moją winą, że w sprawie zapisu Alkiewicza nie zapadła dotychczas ostateczna decyzja.

Alkiewicz nie był waryatem i nikt tego nie utrzymuje. Alkiewicz był tylko... wstrętny i tu do tego niema różnicy zdań! Gdyby ciało jego było takie, jak dusza, to można by to ciało zachować na wieczne czasy w spirytusie dla potomności i dla obcych. Dusza jego była potworna i wątpię czy jest druga taka dusza na świecie.  
Agata Alkiewiczowa jest w gruncie swego serca czcigodną niewiastą i za życia męża zapatrywała się z pewnością tak samo na jego duszę, jak i my wszyscy, ale teraz go broni, bo umarli mają zawsze rację. Ludzie utrzymują, że Agata musiała go kochać, choćby tylko z wdzięczności. Ale ja byłem zawsze głębokim znawcą duszy i myślę inaczej.  
Dlaczego Alkiewicz ożenił się z Agatą? Dlatego, że była — brzydka. Dobrze, to wiemy wszyscy. Wiemy, że Alkiewicz kochał wszystko, co brzydkie tak, jak np. ja, albo my wszyscy kochamy to, co jest piękne. To rzecz, znana aż nadto.  
Alkiewicz ożenił się z Agatą, dla jej krzywych

ust, nieregularnych rysów, małych oczek, tua je długiego nosa, dla jej lewej łopatki, położonej niżej, niż prawa, (czy też dla prawej, położonej wyżej niż lewa), dla jej kłów, przedstawiających zęby dla jej baranich kudłów, oznaczających włosy... To wiemy wszyscy. Ale nawet osoba tak szpetna, jak Agata Alkiewiczowa, pragnie być niekiedy choćby troszeczkę piękną i nie może być szczerze wdzięczną mężczyźnie, który ją poślubił właśnie i wyłącznie dla jej brzydoty. Bo co uczynił Alkiewicz tej kobiecie, biorąc ją za żonę? Pozbawił ją raz na zawsze miłej możliwości łudzenia się choćby przez trzy sekundy: Kto wie, może jestem mimo wszystkiego podobna do Wenery medycerskiej?... A tem samym odebrał jej wszystko. Żyję sześćdziesiąt lat, mam dużo doświadczenia i czuję: on tej kobiecie wziął artykuł wiary w swoje własne ciało, który to artykuł następuje w niewieściem credo zaraz po „Wierzę w Boga”... Małżeństwo z Alkiewiczem musiało jej być ciągiem, upokarzającym memento: Jesteś brzydka, brzydka, brzydka. Alkiewicz urodził się w naszym mieście, na ulicy Krętej No, jako syn ślubny bardzo bogobojnych i uczciwych małżonków. Pierwszy raz płakał, ze strachu czy wstrętu, (opowiadała mi jego matka, gdy ujrzał kulę, przedstawiającą naszą ziemię. Kuli nienawidzi! Nie jadł pomarańcz ani

Jabłek., bo go brzydziła ich okrągłość. Można go było drażnić do szaleństwa, pokazując mu okrągłe przedmioty i aż do siódmego roku życia bał się chodzić po ulicy, bo inne dzieci męczyły go strasznie piłkami i kulami z gliny lub błota. Potem to minęło; może zapomniał, a może tylko nauczył się znosić wszystko cicho i spokojnie... I zaczęło się mówić o nim dopiero później, gdy chodził już do szkoły. Pokazało się, że tak, jak są np. osoby nie wiedzące, co jest czerwone, a co zielone, tak on nie wiedział, co jest piękne, a co brzydkie. A może i wiedział, ale coś wręcz przeciwnego jak inni ludzie.

Trudno uwierzyć, ale mówił mi ówczesny nauczyciel, że, tłumacząc dzieciom obrazki na ścianach, przekonał się o jakimś niepojętym kalctwie duszy u małego Alkiewicza, polegającym na tem, że ten zresztą wcale pojętny i zdolny uczeń wyraźnie brzydził się wszystkim, co jest proste, harmonijne i symetryczne. Zastanawialiśmy się długo nad tem, czy to możliwe i czy nauczyciel się nie myli. Wezwaliśmy doktora Salskiego, jako rzeczoznawcę i rozprawialiśmy długo w restauracji pod „Trzema gruszkami”. Zrobiliśmy nawet wspólną wyprawę do mieszkania Alkiewiczów, tak, jak się idzie do obserwatorium astronomicznego patrzeć na księżyc, albo tak, jak urzędnicy robią komisje. Przestraszyli się wszystko troje: ojciec, matka i synek, bo było nas blisko dziesięciu, a za parkanem cisnęło się jeszcze mnóstwo ciekawych ludzi, oczekujących, co z tego będzie. Wstydiłem się

troche, nietyle za siebie (bo sam zachowałem się dobrze i z wrodzonym taktem), co za innych członków wyprawy, mających bardzo surowe i uroczyście miny, a zwłaszcza za doktora, który nie wiedząc dlaczego, uspakajał matkę tak, jak łagodny sędzia śledczy. Matka poczęła załamywać ręce, płakać i pytać się ze strachem: czy jej syn popełnił coś złego? Doktor nie odpowiedział jej wprost przecząco, tylko oświadczył, że „zadamy małcowi kilka drobnych pytań”. Zaczął od pytania: „Co jest piękniejsze, czy to jabłko rumiane, czy tamto robaczywe”? miał nawet w tym celu przygotowane dwa jabłka w kieszeni) ale „malec”, nie odrzekł ani słowa. Notaryusz spytał, co piękniejsze: czy motyl

czy ropucha? Ale doktor się skrzywił i szepnął, że zła metoda, bo trzeba dziecku „arf oculos demonstrare”, (a notaryusz nie miał w kieszeni ani ropuchy, ani motyla)... Zresztą malec nie odpowiadał tak samo na ropuchę, jak przedtem na jabłko. Był blady, zaciskał zęby i drżał jak osika. Matka żegnała się ciągle i szlochała bez wyraźnego powodu, a ojciec trząsał przestraszony dużą głową i nieśmiało próbował ująć nas wódką. Ale nauczyciel oznajmił energicznie, że nie przyszedł tu na wódkę i spytał małego Alkiewicza, czy woli „czworoboki regularne czy nieregularne”.. Uśmiechnęliśmy się wszyscy pobłażliwie, a malec nagle — dostał konwulsji. I tak skończyło się śledztwo. Ale najgorsze jest to, że od tej chwili Alkiewicz nie odpowiadał już nigdy nauczycielowi na żadne

pytania. Nawet w szkole nie odpowiadał. Z wielką szkodą dla siebie, bo rzecz naturalna, że po kilku tygodniach trzeba było wydalić milczącego ucznia. I rodzice wysłali go z domu, gdzieś do innego miasta. Alkiewicz nie był u nas długo, przez lat kilkanaście i zjawił się dopiero później, już jako dojrzały mężczyzna. ,

Powiadam zawsze do żony, że w świecie nic się nie ukryje. Kiedy Alkiewicz osiedlił się nagle u nas, wszyscy już dawno zapomnieli, jakim był w swej wczesnej młodości, (a nawet mnie samemu owo „śledztwo” i inne rzeczy zniknęły na razie z pamięci); w dodatku mało kto z nim mówił i nigdzie go się nie widziało: ani na żadnym weselu, ani na pogrzebach, ani w kasynie miejskim, a przecież wszyscy jakoś go znali, tak, jak się zna chorobę, albo nieszczęście i wszyscy zastanawiali się nad tem, co też on przez cały dzień robi, czem zajmował się podczas swej nieobecności u nas (mówiono, że kształcił się i żył przez cały czas w stolicy), a przedewszystkiem dlaczego, odziedziczywszy po jakimś, tu nieznanym, zapewne dalekim, krewnym, dość duży majątek, osiadł właśnie w naszym małym miasteczku, a nie pozostał tam w „świecie”.

Ludzie nie zadawaliby sobie z pewnością takich pytań, gdyby nie czuli, że w Alkiewiczu „coś

jest”, że to osoba niepewna, wątpliwej wartości i nie całkiem jasnego charakteru. Człowiek ma delikatny węch, taki, jak zwierzę i zawsze wyczuje sobie równego, a instynktowo boi się tego, który jest inny, jak inni. Wszyscy czuliśmy, że Alkiewicz jest „inny”, że czemś się od nas różni, choć nikt nie wiedział na czem właściwie polega różnica. Ja sam— przyznaję otwarcie—choć jestem z pewnością człowiekiem poważnym i —Bóg świadkiem!— nie mam czasu na żadne dzieciństwa, nie mogłem przejść ulicą koło Alkiewicza, jak koło innego człowieka, ale mimowoli stawałem, oglądałem się, a nawet nieraz nie mogłem się wstrzymać, aby nie pójść za nim kilka kroków, ukradkiem, cichutko... tak, jakbym był na tropie czegoś dziwnego, jakiegoś osobliwego zdarzenia lub czynu, który Alkiewicz popełni za chwile... za kilka minut... tu, czy gdzieindziej... dyabli wiedzą... I tak odprowadzałem go czasem, aż do bramy jego domu, jak agent policyjny, z jakąś rozpaczliwą, mimowolną wytrwałością i wstydzając się okropnie... a gdy wszedł już do bramy, stałem jeszcze na tropie, patrząc do góry na zaslonione okna i medytując: co się kryje za temi oknami”?

Dowiedziałem się od żony, z której to opowiadała nasza sługa, przyjaciółka sługi Alkiewicza), że ten człowiek wydaje masę pieniędzy na ubogich, zwłaszcza na obdarte dzieci, na jakichś okropnych kaleków, z pod ciemnej gwiazdy, że przez cały dzień i do późnej nocy pisze jakieś olbrzymie dzieło i że luźne kartki rękopisu formalnie zalewają wszyst

kie stoły, komody i podłogę. Wogóle ma pnować w jego mieszkaniu chaotyczny nieład i nieporządek; żaden obraz na ścianie nie wisi prosto, ani jedna szata nie stoi porządnie, plecami do muru, jak u wszystkich ludzi, ani jedno krzesło nie ma czterech nóg... a nawet pokoje mają tylko trzy kąty... I chociaż temu wszystkiemu nie bardzo wierzyłem, to jednak nagle coś mię tknęło i zacząłem sobie przypominać niektóre szczegóły z lat dziecięcych Alkiewicza, jego „kalectwo”, jego dziwne wyrdrażenia o pięknie...

Alkiewicz był właściwie przystojnym mężczyzną. Ale w oczach miał jakiś przykry wyraz, coś brzydsko podstępного, wzbudającego nieufność.— Myślałem dużo o tym wyrazie oczu Alkiewicza i przyszedłem do wniosku, że pochodzi właśnie z jego przewrotnych pojęć o tym, co jest piękne. Nauczyciel pokazał nam książkę, napisaną i wydaną przez Alkiewicza, która wywładała rzekomo burzę wśród uczonych i artystów w stolicy i była powodem, że autor stał się przedmiotem najstraszliwszych napaści, pośmiewiskiem dla wszystkich i musiał w końcu ukryć się przed ludzką pogardą w naszym miasteczku. Książka nazywa się „Moja etyka”, a nauczyciel utrzymuje, że to istna „Biblia szatana”, z punktu widzenia „normalnego artysty” i że „otwierają się przepaści”, gdy się ją czyta.

Nie znam się na takich rzeczach, więc książki nie czytałem, ale to, co o niej wiedziałem od innych, utwierdzało mię w przekonaniu, że Alkiewicza dusza żyje w bałwochwalczej adoracji brzydoty i że ta brzydota właśnie, ta ukochana przez duszę jego brzydota, odzwierciadla się w jego oczach, szpeci jego twarz (niegdyś może piękną) i sprawia, że Alkiewicz robi wrażenie—zbrodniarza.

Czy nie był naprawdę zbrodniarzem? Czy człowiek, kochający brzydotę, nie kocha zarazem zbrodni?

Teraz, kiedy nie widzę tego człowieka, gotów jestem przytoczyć kilkanaście i więcej taktów przemawiających za jego moralnością. Ale dlaczego przedtem, za jego życia, patrząc w jego oczy — Iak czułem, jak wszyscy? Nie mam najmniejszej pewności, że myliłem się wówczas, a nie 'mylę się teraz.

Za życia jego nienawidziłem go tak, jak wszyscy i nie broniłem go wcale, kiedy szeptano, że swój niby odziedziczony majątek, zdobył w jakiś tajemny, nieuczciwy sposób. Ale co do późniejszych zdarzeń, które sprowadziły, może pośrednio koniec Alkiewicza, to nie mieszałem się bezwarunkowo do niczego, nie prześladowałem ani jego, ani jego rodziny... a na dowód mógłbym przytoczyć własne słowa zmarłego, które na kilka dni przed śmiercią do kogoś powiedział, (myląc się stanowczo), że jestem jego „jedynym przyjacielem”.

Nie byłem nigdy przyjacielem Szymona Alkiewicza i nie wiem, z kąd ma to przyszło do głowy. Nie byłem nigdy przyjacielem jednostek, które czują i myślą inaczej, jak większość wykształconych osób. Mam wstręt instynktowy do wszelkich kalectw ciała i duszy, a więc i wielką nieufność do człowieka, któremu się wydaje to pięknem, co przez tyle wieków wszyscy normalni ludzie uważali za brzydkie.

Agata Alkiewiczowa utrzymuje, że mąż jej nieraz mawiał:

— Tyle jest światów, ile dusz; dlaczego oni nie chcą uznać mego świata? Nie ma ani brzydoty, ani piękna wspólnego dla wszystkich, tak jak nic ma świata wspólnego. Oni zgadzają się z sobą tylko dlatego, że nie czują, albo dlatego, że kłamią...

Przez powtarzanie takich nonsensów (w dodatku bezczelnych i obraźliwych) Agata Alkiewiczowa bez wątpienia tylko szkodziła swemu mężowi. I chociaż Dylem przyjacielem jej zacnej rodziny (a nie jak mniemał Alkiewicz, przyjacielem jego), ja muszę przyznać, że właśnie ona stała się bezpośrednią przyczyną całego nieszczęścia.

Bo Agata była nie tylko brzydka jak dyabeł, ale i bliska fatalnej czterdziestki, gdy się z nią żenił Alkiewicz. Bóg wie ile w niej tęskniło niezaspokojonej miłości, i wobec nagłego szczęścia (któ

rego z pewnością oddawna przestała się spodziewać) straciła poprostu marne resztki swego kobiecego rozumu.

Na kilka tygodni przed ślubem chodziła od do mu do domu, obnosząc niejako wszędzie swoje „szczęście”, swoje potwornie śmieszne rumieńce i przedślubne dreszcze i chwaliła się, spuszczając wstydliwie, małe oczka, jak to zymek ją kocha i jak „nigdy nikt nikogo tak namiętnie nie kochał”, a jej naiwne zwierzenia, i uśmiechy, i rumieńce działały, jak przeraźliwe, gorszące obrazy majestatu miłości.

I nie było domu, gdzie wszyscy nie czuliby tak samo: że dzieje się jakiś skandal bez nazwy, zapowiada się jakaś oblakana zbrodnia bez kary... A z domów te uczucia oburzenia i wstrętu wylały się na ulice, i na Agatę wskazywało, jak na waryatkę, mnóstwo szyderczych palców, których nie widziała, sypało się mnóstwo słów zatrutych, których nie słyszała... I zanim ten ślub się odbył, wszędzie go już było pełno, wszędzie go już obrzucono błotem i przekłeto, Bo nie ma większej zbrodni na świecie od — brzydoty Agaty Alkiewiczowej. Tak, nie ma. I teraz czuję, jak nigdy, że Alkiewicz był przecież zbrodniarzem.

Nasza policja zakazała raz kiermaszu na cele dobroczynne, raz zgromadzenia fyzyerów z porząd

kiem dziennym „Broda d la Henri IV” i tym podobnych rzeczy. Jestem stanowczo przeciw zakazywaniu takich niewinnych rozrywek zamożnej inteligencji i fryzyerów. Ale gdybym był policją, zakazałbym niewątpliwie ślubu Szymona Alkiewicza z gorsząco brzydką dziewicą Agatą.

Nie przypominam sobie więk.szego zgorzenia w mieście. Policy a wmszała się dopicrt wówczas, kiedy Alkiewicz niejako się zbudził, spostrzegł co się dzieje i porwany nagłym, bezmiernym gniewem, cisnął kilka przekleństw, okropnych, ciężkich, jak kule armatnie w rozpasany i wrzeszczący tłum przed kościołem. Na to musiała policja zasłonić jego i „pannę młodą”, stanąć przed nimi, jak mur z żelaza, pstrych szmatek i złożonych guzików, bo inaczej kamienie roztrzaskałyby im głowy, a brudne pazury ludu rozszarpałyby im piersi.

Wtedy to wzrok mój spoczął na bladej, pomarszczonej twarzy Tytusa Czeremchy, ojca Agaty, poważnego i szanowanego niegdyś radnego miasta, którego siwa broda trzęsła się, jak gołąb w śmiertelnym leku. I strasznie dotknęło mnie nieszczęście człowieka, który przez tyle lat żył w uczciwości i sumiennej pracy, a któremu zawdzięczałem niejedną radę i pomoc skuteczną.

Więc — wiedziony uczuciem litości — stanąłem niejako po stronie Alkiewiczów. Nie całkiem i niezbyt otwarcie, ale niejako stanąłem po ich stronie. Może być, że nikt tego nie zauważył (nie mogłem przecież, mając rodzinę i stanowisko, zanadto się narażać), ale sercem byłem przez chwileczkę po ich

stronie... I nawet (zasłmiony murem policyjnym)

ściskałem i lekka dłoń Alkiewicza, chcąc przez to wyrazić tylko współczucie dla starego Czeremchy.

Nie ulega wątpliwości, że Alkiewicz uczul ten uścisk lekki, ho spojrzął na mnie z uśmiechem wdzięczności (który był zresztą mocno nieprzyjemny), i może od tej chwili powziął błogie, choć mylne przekonanie, że ma we mnie przyjaciela.

Muszę zresztą podnieść, że gniew Szymona Alkiewicza trwał tylko krótko i nie był niczem inueni, jak nagłym, przejściowym „napadom”, niejako chwilowem zbudzeniem się ze „snu na jawie”. Może być, że Alkiewicz nie byłby się wcale uniósł, gdyby nie usłyszał takich wykrzykników, jak: „hultaj!” i „zrodnarz!”, albo pytania: „komu skradłeś twój maiątek”? Bo za chwilę zdawał się być znowu spokojnym i szczęśliwym, a nawet, trudno zrozumieć! patrzył z u.zmiecheni dziwnego zadowolenia na tłum ohydny, cisnący się do powozów, jakby te twarze, skrzywione szyderstwem, te namiętnością zalane oczy i te brudne, chude, zaciśnięte pięści sprawiały mu najwyszukańszą rozkosz, i jakby nie było ua świecie piękniejszego widoku.

W tej chwili stanęło mi jasno przed oczyma, co za przepaść leży między nim a nami i jak wyłączone jest tu na wieki wszelkie porozumienie! Te szpetne oczy i twarze i podniesione pięści pragnęły namiętnie wyrazić mu nienawiść i pogardę, a on je kochał, bo były — brzydkie, i na odwrót: Alkiewicz wychylał się z powozu, jak król wśród owa

cyjnych okrzyków poddanych, i widać było, chciałby cały świat objąć miłością i przestać mu dużo słonecznych uśmiechów; ale te jego uśmiechy podsycaly tylko powszechną wściekłość, bo były brzydkie.

Gdybym był policją, nie byłby się nigdy odbył ślub Alkiewicza publicznie.

Była wiosna, ziemia pachniała, a żona Szymona Alkiewicza chodziła po ludziach — żebrać o miłość...

To dziwne, że kobieta potrzebuje o tyle więcej ludzkiej sympaty, niż mężczyzna. Zdaje mi się, że Alkiewicz żyłby długo i szczęśliwie, pomimo że istniało całe miasto, które go nienawidziło. Żył daleko od miasta, choć w mieście, i wystarczyło mu zupełnie kochanie żony i dzieci. Ale Agacie to nie wystarczyło i potrzebowała serc wszystkich.

Nie miała ich przedtem, przed ślubem. Ale wyobrażała sobie, że właśnie ten ślub będzie początkiem piękniejszego życia. Myślała, że „małżeństwo sadza kobietę na tron, i wielcy i małuczcy, bogaci i ubodzy... wszyscy muszą przyjść do niej i ze czcią się pokłonić i codziennie zdobić jej tron świeżymi kwiatami miłości”...

Te ostatnie słowa, wyjęte z pamiętnika Szymona Alkiewicza, dowodzą, jak ten potwór mimo wszystko umiał wyczuć to, co inni czują, a nawet wyrazić te obce uczucia powszechnie zrozumiale i pięknie. Spytałem niedawno nauczyciela, jak to sobie wytłumaczyć. —Odrzekł: — Te słowa Alkiewicza dowodzą, że był komedyantem, bo tylko konie

dyanci, tylko artyści... znają obce uczucia i (dla „stylu”) wyrażają je obcymi słowami...

Dosyć, że Alkiewicz wiedział z pewnością, co jego żona, Agata, cierpi i jak chodzi po ludziach i daremnie żebrze o miłość.

I z pewnością nie tylko szczerze się nad nią litował, ale i boleśnie za nią się wstydził.

...Bo Agata Alkiewiczowa poniżała się strasznie, chodząc po tej żebrze o miłość. Jak przybłęda, który się ciśnie do drzwi, przez które wyrzucono go już sto razy, jak pies liżący nogi, które go kopią... Tłumaczyła wszystkim i zaklinała się na wszystko, że mąż żadnej zbrodni nie popełnił, i tylko dotknięty jest dziwną ślepotą duszy, z której ona sama niebawem z pewnością go wyleczy. A ludzie milczeli zimno, albo odpowiadali jej bezlitosnym szyderstwem, że ..wyzdrowienie Szymona Alkiewicza byłoby największym nieszczęściem właśnie dla jego żony, bo, dowiedziawszy się, co jest piękność, opuściłby ją z pewnością”... Ona zaś, nie słysząc szyderstw, nie czując obelg, skomliła dalej i dalej szła i wszędzie prosiła o miłość...

Może być zresztą, że wkońcu zmęczona i zrozpaczona Agata jeła robić swemu mężowi coraz to straszliwsze i niesprawiedliwsze wyrzuty, męczyć go dniem i nocą, mścić się na nim za wszystkie doznane upokorzenia i bóle, za całe owo, biedne, niby przez niego złamane życie. A może być także, że Alkiewicz uczul nagle, jak i jego podrastające dzieci rosna w nienawiści do ojca, w żalu do nie

go, za samotność swych lat pierwszych, za prześladowania ze strony okrutnych rówieśników.

...I zrobiło się nagle ciemno w małym świecie Szymona Alkiewicza. Może „zbudził się” znowu, tak, jak wtedy, na swym ślubie, przed laty, i powiódł dokoła błędnym, zdziwionym wzrokiem i spostrzegł, że—jest sam.

Wtedy uśmiechnął się brzydko, wziął gruby sznur i powiesił się na klamce drzwi swego małego pokoju, w którym był taki nieporządek i były tylko trzy kąty.

...Ale rozpisalem się długo i szeroko o życiu i śmierci Szymona Alkiewicza, a tu chodzi raczej oto, żeby się wreszcie zdecydować, co począć z jego zapisem dla miasta. Irytująca to rzecz, że dla takiej drobnostki (bo cóż to jest, reńskich?— bagatelka, głupstwo, które można ostatecznie wziąć albo nie wziąć) codziennie odbywają się długie posiedzenia w ratuszu i tylu poważnych obywateli traci tyle drogiego czasu.

...Przeoglądałem mechanicznie papiery, pozostałe po Alkiewiczu i czytam między innymi ustęp następujący:

„— Jakże smutne i nudne jest miasto, w którym się urodziłem i obecnie mieszkam! Wszystko takie proste, jak kij, i regularne, jak dzień powszedni, i symetryczne, jak małe myśli małych ludzi

Jakże brzydkie jest miasto, w którym się urodziłem!... Domy stoją sztywnie i w równych szeregach, jak żołnierze i mają na głowie brzydkie, płaskie, czerwone czapki. Niema tu ani jednego miejsca, ani jednego budynku, niema tu nie, co bym lubił... I tylko lubię czasem spoglądać na fasadę ratusza, którą wygląda, jak twarz zajmująco nierówna, cudownie skrzywiona... A ten piękny wyraz twarzy ratusza pochodzi może ztąd, że z lewej strony jest pięć okien i pięć figur z kamienia, gdy z prawej strony są tylko trzy okna i trzy figury. Zresztą cieszą mnie jeszcze inne nierówności i zmarszczki... Jest mech nad czołem twarzy i duża, czarna plama nad wielkimi ustami"...

...Wyraz twarzy ratusza... twarzy ratusza —powtarzam kilka razy z ironicznym uśmiechem.

A potem wpada mi, jak z nieba, dobra myśl do głowy.

O.

Na jutrzejszym posiedzeniu w ratuszu postawię mniej więcej taki wniosek:

Legat .Szymona Alkiewicza miasto—przyjmuje. A użyje go na — restaurację i odświeżenie ratusza. Mianowicie: na usunięcie pewnych nierówności, zmarszczek i innych braków na twarzy... przepraszam... fasadzie głównej. Użyje go na częściowe pokrycie kosztów tak ważnych i koniecznych robót, jak: wybicie czwartego i piątego okna po pra

wej stronie, (od środkowego portalu), wzniesienie dwóch jeszcze pomników zmarłych ojców miasta po tej samej stronie i t. d.

... Nagle dusza moja zadowolona, a sumienie lekkie, jak ptaszek. Nagle rozumiem siebie i boskie intencje. Wiem, na co jest życie nawet takiego potwora.

Rachunek mój i miasta z Szymonem Alkiewiczem załatwiony. Requiescat in pace!

JOUR FIXE



Najczęściej było ogromnie nudno. Goście ziewali tak cynicznie, że aż odpowiadało im echo (bo w salonie była za dobra akustyka). Ale niekiedy zbierali się wypadkiem wcale możliwi ludzi.

Naprzykład z pierwszorzędnymi pięknościami signora Aurora. Albo z arystokracją księcia Cosimo, Albo ze światem literackim, poeta Heliotrop.

Salon był własnością rodziny Fioravanti (zwykli kupcy, ale zresztą wcale porządni ludzie), Przy tem należał do najpiękniejszych grobowców na całym cmentarzu. A jeżeli była pełnia, to oświetlenie było wprost królewskie...

Przynawiała to nawet panna Flora (? w roku na żółtą febrę), która zresztą narzekała na wszystko.

Mebli nie było żadnych tylko kilka dużych kamieni i dwie stare trumny) ale za to były cudowne malowidła na ścianie (pędzla Fra Filipa). A zawsze pachniało morze, czasem z słodką mimoszą, a niekiedy z kwiatami magnolii.

—Baedeker utrzymuje, że Piza ma najpiękniejszy cmentarz we Włoszech — rzeki księżę Cosimo, mieszając herbatę — ale to nieprawda... Nasz o wiele ładniejszy...

—Tak—zgodziła się gospodyni (z domu Fioravanti, i —Messina ma ładniejszy...

— Przedewszystkiem lepsze powietrze — ciągnął Cosimo leniwie konwersację.

—Bo nad morzem — dokończyła apatycznie Fioravanti.

Pomyślała: Choćby o najgłupszych rzeczach... Byle nie milczeć.

Na szczęście wszedł drugi gość. Ubiór jego był jeszcze dosyć biały, więc widocznie umarł niedawno. Nawet twarz była o tyle zakonserwowana, że się odgadywało dawny kolor włosów. a uim gospodyni zdołała przedstawić go księciu, tenże powstał i zawołał:

—Anselmo!...

—Tak, Anselmo —potwierdził przybyły i spojrzał uważnie na księcia.

Gospodyni była (nie wiedzieć dlaczego) mocno zakłopotana i jęła prędko mówić o pogodzie...

Ale Anselmo spoglądał ciągle na księcia (który nie unikał bynajmniej jego wzroku) i wreszcie ku najwyższemu zdziwieniu pani Fioravanti, serdecznie się roześmiał.

fa

— O, pan się śmieje—rzekła Fioravanti.

— Iiardo panu do twarzy—dodał księżę. Anselmo się uklonił.

— Tanie gracie... Za życia się nie śmiałem... I sam się dziwię, że odkąd tu jestem...  
— To wpływ miejsca i klimatu — zauważył Książę, zapalając swobodnie papierosa,  
— Zwłaszcza ostatnie lata mego życia — mówił Anselmo — były o wiele smutniejsze, niż czas obecny na Campo Santo...

Książę uśmiechnął się przyjaźnie.

— Bardzo wierzę... I szczerze pana przepraszam za te ostatnie lata, które niejako z mojej winy spędziłeś w więzieniu...

— To moja wina—przerwał Anselmo — a raczej...

— A raczej niczyja — dokończył łagodnie książę.

Niczyja —powtórzyło echo.

Nastąpiła cisza. I słychać było jak na ziemi, nad morzem szumiały cyprysy. Weszła Sighora Aurora (? w r. ) na miłość w towarzystwie poety Heliotropa i słynnego złodzieja Pafnucyusza.

Gospodyni przedstawiła obecnym Anselma. Aurora zaczęła go zaraz kokietować, pokazując swe złote plomby i potrząsając brylantami, które zdobiły jej suchą czaszkę. Ho był z całego towarzystwa najmłodszy.

— Na co pan chorował? — zaczęła kouwerysację.

Wskazał z uśmiechem na Cosima.

—Chorowałem ua księcia... Całe życie przemyślałem nad teru, jakby go zabić... I wkońcu go zabiłem...

— Ozy to prawda? —spytała Aurora obecnych...

— Prawda—odpowiedział książę — on chorował na mnie, a ja na niego... Całe życie drżałem przed jego sztyletem i w końcu ten sztylet mnie zakłuł...

Patnucyusz się zaśmiał.

— Oj, głupie życie... Anselmo, dlaczego zabiłeś księcia?...

— Bo kochałem Włochy. Cosimo był wrogiem wolności...

Poeta spytał:

Cosimo, dlaczego byłeś wrogiem wolności?

— Po kochałem Włochy... Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Oj, głupie życie, głupie...

Fioravanti się skrzywiła, bo nie lubiła hałasu.

— Kto chce herbaty?—spytała, aby ich zająć herbatą.

Ale towarzystwo śmiało się coraz więcej, stukalo szkieletami i śpiewało w takcie:

— Oj, życie, głupie życie.

Aż nagle jęły żelazne drzwi domu Fioravantich i w progu zjawił się wysoki mężczyzna.

— Co to za śpiewy i krzyki — powiedział z niesmakiem—w grobowcu Allegrich narzekają, że przez was spać nie mogą.

Aurora spójrzała na niego z wdzięcznym uśmiechem...

— Nie zrzędz, Enrico, nie zrzędz... Chodź i baw się z nami...

Enirico nawet na nią nie popatrzył (bo to był

człowiek, który za życia kochał bardziej pieniądze, niż kobiety). Wszedł jednak i usiadł, a nawet zaczął pić herbatę, którą mu podała sigmira Kioravanti.

Książę i Pafnucyusz grali gdzieś w ciemnym kącie w swe własne kości. A poeta w górę patrzył i cicho, a miłośnie rozmawiał z księżycem.

Enrico pił i jadł, ale mruczał. A kobiety usiadły przy nim blisko i czuie na niego spoglądały bo ich nigdy nie kochał). Enrico mruczał:

— Śpiewacie zawsze to samo... Zawsze „oj, głupie życie”... Lichy kuplet uliczny... Banalni jesteście... Banalni i zazdrośni... Wiecie, że życie jest słodkie, jak miód... I dlatego wyjecie... Bo wam tęskno za życiem...

— Nie tęskno, Enrico — mówiła z goryczą pani Kioravanti — mój mąż bił mnie niemiłosiernie w dzień i w nocy...

— Dobrze robił — mruknął Enrico — a co robi teraz?

— Śpi — rzekła Fioravanti z pogardą — śpi w drugim pokoju, w towarzystwie przodków. W tej rodzinie śpią wszyscy... Ja jestem z Carnesich...

Szumiało morze i szumiały cyprysy.. A Heliotrop słodko i cicho rozmawiał z księżycem...

— I mnie za życiem nie tęskno, Enrico — szeptała Aurora — miałam hebanowe włosy i zbieleły pod wieczór, tak jak noc bieleje nad ranem... Miałam oczy jak gwiazdy i gasły i zgasły... Miałam usta jak róże i rubiny i zwiędły i spaliły się w popiół...

— Wygrałeś — powiedział książę Cosimo do Pafnucyusza złodzieja.

I znowu grać zaczęli. Pafnucyusz siedział odwrócony I nikt nie widział, jak oszukiwał księcia.

— Wszyscy żyliście jak dzieci—mówił Enrico do kobiet —i dlatego nie macie miłych wspomnień... Czekaście... ja wam opowiem, jak żyłem...

I zaczął im mówić o swych bogactwach (był największym kapitalistą w Messinie) i bardzo się chwalić, jak mu było dobrze, aż do samej śmierci.

Na to wszedł do salonu zmarły przedwczoraj (na zazdrość) młodzieniec, który chodził już przeszli) godzinę od grobu do grobu i wszędzie się pytał, czy tu wypadkiem nie leży piękna Aurora.

Wszedł do salonu i spytał:

— Czy tu nie leży piękna Aurora? Enrico odrzekł sucho:

— Najpierw się puka, zanim się wchodzi... I dodał:

— Tu nikt nie leży... To salon, uważa pan, a nie alkowa.

Tymczasem Aurora rzuciła się już na szyję młodzieńcowi, który jej nie poznał i nawet niegrzecznie od siebie odtrącił.

— Powiedzcie mi —prosił — powiedzcie, gdzie ona? Była piękna jak słońce zanim ogarnęła mnie noc zazdrości i zacząłem jej złorzeczyć... Teraz wyleczyła mnie śmierć... i znowu kocham... Gdzie Aurora?

— Tutaj — odpowiedział Enrico z uśmiechem

złośliwym i wskazał palcem na (trochę już nadpsu ty, ale jeszcze błyszczący) idła młodzieńca.

Ale młodzieniec nic uwierzył i bardzo się rozgniewał.

— Nie szydź ze mnie, błaznie! — krzyknął z płaczem i wybiegi z salonu, by dalej się wałęsać od grobu do grobu i wszędzie pytać, czy tu wypadkiem nie leży piękna Aurora.

Enrico popijał herbatę i rezonował i dalej się przechwalał:

— Osły, osły... Żyliście jak waryaty i dlatego nie macie wspomnień... Ciebie, Auroro, zdradziła piękność i dlatego był gorzki twój zachód... Jak można liczyć na piękność?... Tego młodzieńca koniec był gorzki, bo ty go zdradziłaś... Jak można liczyć na kobietę!... Nikt z was nie miał pięknego życia, bo żyliście jak dzieci...

Pii herbatę i przechwalał się i kłamał:

— Tylko moje życie było piękne od rana do wieczora... I teraz mam o czym myśleć... Bo miałem miliony... A złoto się nie psuje i złoto jest wierne... Cieszyłem się niem aż do końca... Kiedy umierałem, w skrzyniach moich więcej było pieniędzy, niż w całej Messynie...

Kiedy tak mówił, wstał nagle Pafnucyusz, zbliżył się do niego z nienacka i zaczął mu się śmiać w oczy tak zuchwale i brzydtko, że Enrico zdrzął i oniemiał...

— Nie kłam Enrico — szeptał złodziej — nie kłam, Enrico... Gdy umierałeś skrzynia twoja była pusta...

Zrobiło się cicho... A potem wybuch! śmiech ogólny... Bo Enrico tak się trząsł ze wstydu czy gniewu, że odpadła mu dolna szczęka i rozbiła się na kamiennej posadzce...

A Pafnucyusz opowiadał z tryumfem, Jak okradł skąpca... Jak złoto oszukało Enrica na starość z młodym złodziejem...

Enrico wstał i powiedział oczami (bo ustami już nie mógł) do gospodyni:

— Dziwnych ludzi przyjmujesz w twym domu, signoro Fioravanti...!

I odszedł.

Wśród ciszy słyhać było głos Heliotropa, który patrzył w górę i mówił:

— O, cudna nocy, moja kochanko... Srebrny śnie ziemi...

Fioravanti myślała:

— Poeta Heliotrop miał prawdziwe życie... Bo go nie żył i tylko śnił... A życie jest snem... Poeta Heliotrop miał życie...

Adam siadł naprzeciw niej przy stole, a kiedy wypła szklanę, to jej zaraz dolewał i patrzył się uważnie iak pije i czy się jeszcze nie śmieje.

— Nie jesteś już tak blada, jak przedtem... Wyglądała teraz trochę inaczej, jak na ulicy.

Ale oczy były naprawdę czarne... Najpierw kryły się bojaźliwie, ale potem zaczęły spoglądać na niego.

Adam nagle bez powodu się zmieszał.

— Dlaczego nie pijesz?

Patrzała na niego tak śmiało i ciekawie, że ogarnął go niepokój...

Zacząła mówić... Zacząła wypytywać się go o różne rzeczy... Kim jest, gdzie mieszka i jak się nazywa...

Adam spostrzegł, że ona nie ma czarnych włosów, tylko kasztanowe, i że właściwie jej oczy nie są czarne, tylko piwne.

A kiedy wybiła dwunasta godzina, zaśmiała się po raz pierwszy.

J przez chwilę Adam przestał mówić. Bo zaśmiała się tak dziwnie i przykro, jakby chciała mu naumyślnie ból sprawić... Adam wiedział jednak, że to nie było naumyślnie, i powiedział sobie, że to, bądź co bądź, bardzo piękna dziewczyna... I myślał sobie wogóle co tylko mógł, byle nie być smutnym i pozbyć się niepokoju.

Zaczął nawet po chwili udawać, że się w niej kocha, i robił to długo i z wielkim przymusem, nie wiedząc sam dlaczego udaje. A chcąc jej dowieść, że nie ma przed nią żadnych tajemnic, odpowiadał jej dokładnie i szeroko na każde pytanie, a nawet zwierzył się jej z tego, że dostał niedawno list od znajomej z Sambora, i że ma przyjaciela w domu obłąkanych, którego musi odwiedzić. Pomimo, że

to właściwie go nie pytała.

Powiedział jej wszystko, co go męczyło przez cały dzień.

Muszę pójść do przyjaciela w domu obłąkanych —mówił, unikając jej wzroku—muszę, a naraz okropnie się boję...

Jeszcze dziś rano tak się nie bałem, ale teraz nagle czuję takie jakieś zimno

I strach, kiedy mówię „w domu obłąkanych"... Przecież wiem, że mi tam nic złego nie zrobią... A nie mogę sobie wyobrazić, jak tam pójde,,. I nie wiem, kiedy się na to zdecyduję.

Na to ona powiedziała nagle coś niespodziewanego. Powiedziała coś ze śmiechem, czego Adam nie dosłyszał, a co przecież tak dobrze zrozumiał, że aż zbladł.

— Kiedy tak mówisz... — zaczął drżącym głosem.

Ale ona znowu spowzazniała i, udając starszą siostrę, poradziła mu, żeby poszedł do przyjaciela jak najprędzej,

— Idź najlepiej jutro, to się pozbędziesz...

Adam kiwał posłusznie głową. Siedział skulony i drżał w duszy jakby z zimna, ale powtarzał mechanicznym głosem dziecka:

— Pójdę, to się pozbędę... Pójdę, to się pozbędę...

Teraz ona sama dolewała wina jemu i sobie. Była bardzo podniecona i —śmiała się. Adam cierpiał bardzo, patrząc na jej prędkie ruchy i słuchając jej głosu. A przytem prześladowała go myśl, że to jakaś całkiem obca i, może, niebezpieczna osoba. Uważał bacznie, czy nie wyspuje mu kieliszka jakiegoś proszku... Bo miała takie oczy...

— Musisz pójść koniecznie—przypominała mu co chwila, jak ua złość, to, co go czekało.

— Pójdę — odpowiadał Adam zgnębiony i drżący.

Zdawało mu się, że ta kobieta, z którą siedzi i pije, to jakaś znajoma z ciężkich snów i gorączkowych nocy. Ale siedzieć z nią musiał, bo ją przecież sam zaprosił.

była już trzecia rano, kiedy zawołał chłopca i kazał mu przynieść znowu butelkę. Ale chłopiec zaczął przeproszać i tłómaczyć, że trzeba już zamknąć restaurację.

Kiedy zegnali się na ulicy, dziewczyna spytała go raz jeszcze:

— Pójdiesz jutro?

— Jutro... — odpowiedział.

Poszedł jirędko, bojąc się nawet spojrzeć po za siebie.

Ale nazajutrz nic się już nie bał. Bo świeciło słońce.

Pon)ysłał, że tej dziewczyny z pewnością nigdy nie zobaczy. A jeżeli kiedy przypadkiem ujrzy ją zdaleka, to ucieknie.

A gdyby go nawet złapała gdzieś znienacka i spytała się, czy... już Ijyl, to skłamię, że był.

I będzie sobie żył spokojnie i szczęśliwie.

Odwedzi z pewnością Leona. Ale... nie zaraz, rójdzie dobrowolnie i wtedy, jak będzie miał ochotę. Jest przecież panem swej woli i nikt nie może go zmusić. Pójdzie za sześć dni... czyli za osiem... a może aż po świętach. Najlepiej po świętach. do świąt będzie wolny.

Ale czwartego dnia rano przyszedł znowu—list.

Nagle, jak nieszczęście.

Adam nie otworzył nawet koperty, bo poznał pismo i wiedział, co to jest i od kogłt. Zresztą nie miał odwagi, bo w liście mogły być gorzkie wymówki, albo i coś gorszego...

Ale to jedno było pewne, że już nie ma rady i trzeba pójść koniecznie do keona. Trzeba si)bie przysiędz, że się pójdzie.

Trzeba sobie oznaczyć ścisły termin. Skazać się na tę i na tę godzinę.

Powiedzieć: przysięgam, że pójdę jutru o jedenastej rano...

Potem zrobiło mu się zimno. Uśmiechnął się, ale wargi mu drgały.

— To głupstwo — szepnął. Zaśmiał się głośno i powtórzył:

— Głupstwo... Zobaczą zwykły dom waryatów... Zrobię mały spacer i wstąpię do zwykłego domu waryatów...

Trząsał się coraz więcej. Wziął nawet na siebie płaszcz, żeby nie dzwonić zębami.

Potem siedział długo, nieruchomie wpatrując się bacznie w jeden punkt...

Na ścianę, przy oknie padało słońce. Szedł taki pas szeroki i jasny, a na tym pasie słońca tańczyły i płynęły, drgając, czarne, równoległe nitki, na dół i do góry... na dół i do góry... Tak, jakby światło odbijało się o jakąś wodę... Adam jął szukać bezmyślnym, sennym wzrokiem tej wody... Bo gdzieś musiała być... Albo w pokoju, albo za oknem...

— O czym ja myślę? — krzyknął na siebie z wściekłością—o czym?

Uderzył się silnie w czoło.

— Przecież jutro rano o jedenastej... Wstał, zaczął biegać po pokoju i powtarzać nerwowo, mechanicznie:

— Jutro... jutro... jutro...

Nagle chwyciła się go myśl o możliwości jakiegoś dobrego wyjścia, jakiegoś nadszpedziewanie pomyslnego zwrotu, ratunku... I począł instyukto

wa szukać listu. Ho w liście mogła być poprostu niespodzianka,.. Trzeba go przeczytać, bo może zawierać całkiem coś innego, jak to, co myślał... Może nie być wcale od siostry Leona, albo może być w nim wiadomość, że Leon umarł, i że wobec tego nie potrzeba się już trudzić do domu waryatów, tylko, ieśli łaska, ua cmentarz...

Przeszedł go dreszcz radosny. W liście mogła być śmierć Leona. Ułaskawienie... Gdzie list?

Nie mógł go znaleźć. Nie wiedział już sam gdzie go położył, czy rzucił... A to przecież list, od którego zależy spokój, szczęście... Poprostu ułaskawienie...

— Cóż u diabła!... Nie mógł się zgubić... nie mógł się zgubić...

Na czworakach i z coraz większą złością szukał długo pod stołem, pod komodą, pod łóżkiem.

— Czego pan szuka? — spytała gospodyni, która weszła w tej chwili do pokoju.

Wstał natyelinu.zst, blady z przerażenia.

— Nic... — szepnął.

Gospodyni spojrziała na niego ze zdziwieniem.

— Nic nie szukani—powtórzył obcym, drewnianym głosem.

i schował przytem obie ręce po za siebie. Jak mały chłopczyk. A kiedy gospodyni wyszła, ogarnęła go bezwładna rozpacz...

...Ona mnie znowu podpatruje... Szpieguje tak, jak przedtem. Ma złe .sumienie, bo... list skradła. Tak, jak robiła to dawniej. He razy ją spytałem, gdzie list, to udawała, że się dziwi i że żaden list

nie przyszedł... Znowu skradła. Znowu ktoś ją podmówił, przekupił...

...A teraz już nie ma ratunku, kiedy list skradziony...

Rzucił się na sofę, a przez głowę snuły mu się męczące, rozpaczliwe myśli.  
...Nie ma listu... I cóż zrobić? Nie ma dowodu, że jestem wolny. Skazaniec mówi, że król list napisał... Ale to na nic...  
Bo nie ma dowodu, czarnego na białym... Więc będzie szubieniczka... Można jęczeć i zaciskać pięście... ale szubieniczka swoją drogą... Każdy może powiedzieć, że pismo zaginęło... Nie ma głupieli...  
Ocknął się znowu... Ale już przez cały dzień czuł się jak skazaniec. Chociaż chodził po głównych ulicach, był tam, gdzie dużo ludzi i słuchał rozmowy, śmiechu i nawet muzyki.  
...Zresztą aż do wieczora świeciło słońce... I było jak w lipcu...  
Czasem przez sekundę myślał o czym innym. Jechało kilka powozów, a pierwszy powóz ciągnęły białe konie. I w powozie siedziała panna w białej sukni i z zakrytą twarzą... Któs powiedział:  
— Ona ma osiemnaście lat, a on czterdzieści. Adam się zastanowił.  
...Dwadzieścia dwa lat różnicy—wyrachował sobie.  
A potem pobiegł szybko za powozem, żeby zobaczyć jak to wygląda...  
Ale nagle się wstrzymał. Tak jakby sobie przy

pomniął, że właściwie ma iść w inną stronę i nie ma czasu.  
...Dlaczego nie robie, co mi się podoba — spytał ze zdziwieniem.  
I przestraszył się w tej chowili, bo usłyszał, jak ktoś szepnął: „jutro”...  
A więc dlatego... Ten jego strach był zazdrosny i wszystko i nie pozwalał mu o czym innym myśleć. A on słuchał go jak wierny pies i zawsze do niego wracał.  
Pachniały akacje. Było gorąco i okna wszystkich domów były otwarte.  
...Grają sonate pathetique — zauważył Adam i stanął pod jednym oknem.  
Ale strach ukłuł go w serce. ...U czym myślisz? — spytał się go, jakby z uprzejmym uśmiechem i delikatnie—przecież wiesz dobrze, że jutro rano o jedenastej...  
...Do diabła! — krzyknął Adam — sam się mecze. Dlaczego nie patrzę się spokojnie na panny w białych sukniach i nie słucham, jak grają na fortepianie? Moznaby całkiem zapomnieć i być szczęśliwym. Ale rzecz ma się wyraźnie tak, że sam chcę cierpieć.  
Był pewny, że właśnie na tem polega strach. Na tem, że człowiek sam chce cierpieć.  
I bał się ciągle albo myślał o strachu. Nie odstępowało go przez cały dzień zimno. Pomimo, że tłómaczył sobie ciągle, jak to jutro będzie przyjemnie. I pomimo, że czekał go tylko zwykły dom waryatów, a szło się do tego domu bardzo pięknie

przez dalekie przedmieście i robiło się właściwie pyszny spacer.  
Strach zawarł z nim taką przyjaźń, jak z człowiekiem, którego nazajutrz mają stracić, i był z nim ciągle i wszędzie aż do późnego wieczora.



A kiedy, zmęczony całodzienną torturą, rzucił się jak nieżywy na łóżko, to strach siedział jeszcze przy nim, tak jak siedzi niańka przy dziecku i szeptał łagodnie, dobrotliwie i słodko;  
...Jutro rano... Pamiętaj, że jutro rano musisz koniecznie...

Przy umywalni stał wysoki, chudy pan i obcierał się ręcznikiem. Miednica była pełna krwi.  
Adam patrzył na niego jak przez sen. Myślał; „zkaąd znam tego człowieka”. Nie był pewnym, czy to znajomość z kawiarni, czy jakiś dawny kolega. Znał go zresztą na wylot, tylko nie wiedział kto jest i jak się nazywa.  
Wysoki pan spojrział na niego z ukosa.  
— Niech pana dyabli wezmą — rzekł bez gniewu.  
Adam się uśmiechnął.  
— O mało nie wybił mi pan oka—mówił wysoki pan, obcierając sobie twarz.  
Adam myślał: „zkaądże znam tego człowieka”? Nieznajomy robił rozmaite ruchy lewą nogą.

— Nie jestem pewny, czy niema zwichnięcia. Kziicil mię pan na ziemię, jak worek.  
— O! — zdziwił się Adam.  
A potem zaczął się tłumaczyć:  
— Myślałem, że pan złodziej. Bo tu, na drugim piętrze, obrabowano zeszłego roku starą wdowę, która miała książeczkę kasy oszczędności. Zresztą śniła mi się właśnie bardzo przykra awantura... Niech pan uwzględni, że była dopiero szósta.  
— Bo taka była umowa—przerwał pan, wkładając kamizelkę—powiedziałem, że przyjdę dziś raniutko po pana i pójdziemy na spacer.  
— Nic nie wiem—zdziwił się znowu Adam,  
— To ma pan krótką pamięć. Adam się zamyślił.  
— A teraz pójdziemy na spacer — spytał ciekawie.  
Wysoki pan wyjął z kieszeni mały grzebyk i zaczął się czesać.  
— Jest dwadzieścia stopni w cieniu... Czy pan myśli, że dam sobie zepsuć taki piękny dzień?  
— Śliczny dzień — potwierdził Adam.  
— Czy pan gotów?  
— Tak.  
Adam się zerwał.  
— Zaraz — powtarzał śpiesznie i zaczął się krzątać.  
Przewrócił przytem krzesło i skrzynkę z gwoździami, która stała na krześle. i

— Pat, pst... — syknął nieznajomy i podniósł do góry grzebyk.  
— Przepraszam — zmieszał się Adam i zaczął chodzić ua palcach.  
Mimo to weszła zaraz do pokoju gospodyni.

— Co tu jest?—spytała, rozglądając się.  
Ale wysoki pan kiwnął tylko ręką i zaraz wyszła.  
Adam uśmiechnął się z satysfakcją. A potem zbliżył się do nieznajomego.  
— Nikt mi nie chce wierzyć—szepnął mu prawie do ucha—ale teraz pan sam widział. Cna czeka tylko na sposobność...  
— Hm — mruknął wysoki pan, patrząc do lustra...  
A potem spytał zimno:  
— Pan nie chce iść na spacer?  
— Owszem, owszem...  
Adam zaczął znowu się krzątać. Myślał sobie przytem, że trafiło mu się coś pysznego. Czy on temu winien, że nie może dziś dotrzymać przysięgi? Nie. —Winien jest ten człowiek, który go ciągnie na spacer. Ogarnęła go taka radość, że uczul potrzebę głośnego gadania i zbliżył się znowu do nieznajomego pana.  
— Powiem panu tylko jeden fakt—rzekł, mrugając dowcipnie oczami.  
— Jaki fakt?  
— Względem tej osoby, tej mojej gospodyni. Nieznajomy nawet się nie odwrócił, tylko mruknął:

— Niech pan się ubicia, bo nie mamy czasu.  
— Bo ja chciałem tylko...  
— Opowie mi, czcigodny pan, ua spacerze...  
— Tylko słówko... Bo wczoraj przyszedł list. Teraz wysoki pan się odwrócił.  
Pan dostaje znowu listy?—spytał z pewnem zajęciem.  
Adam cofał się.  
— Pan wie o listach...  
Nieznajomy klasnął niecierpliwie palcami.  
— Naturalnie, że wiem... Któż ma wiedzieć, ' ieżeli nie ja... Więc przyszedł znowu, tak, jak przed dwoma tygodniami?  
Adam spojrzął na niego ze strachem i z podziwem  
— Ach, pan wie wszystko. Pan iest tak pewny siebie i tak... Muszę przyznać, że jak pan kiwnął tylko iednym palcem na tę osobę, to ona zaraz wyszła.  
— A co było w tym ostatnim liście?—przerwał szybko nieznajomy, patrząc mu w oczy.  
Adam się zawahał. Ale przecież odpowiedział wszystko. Nieznajomy wysłuchał go cierpliwie i z zajęciem.  
— To dziwne—rzekł przy końcu.  
— Prawda?—potwierdził Adam z pewnem zadowoleniem.  
Nieznajomy położył mu rękę na ramieniu.  
— Jakże się nazywa ten... przyjaciel, którego pan ma odwiedzić?  
— Nazywa się... nazywa się... Leon.

— No tak, ale... z nazwiska?  
— Nie wiem.  
Nieznajomy przez chwilę się zamyślił.  
— Gdzie ten list?—spytał nagle.  
— Przecież panu mówiłem...  
— Co?  
— Że ona skradła.  
— Ach tak... skradła...  
Nieznajomy spojrział, z roztargnieniem na zegarek.  
— Ja panu coś powiem.  
Adam spojrział na niego oczekująco. Miał uczucie: „teraz czegoś się dowiem... on mi wyjaśni wszystko, co mię niepokoi i męczy”.  
— Powiem panu, że to się dobrze trafia. Bo my możemy zaraz tam pójść.  
Adama przeszedł dreszcz.  
— Tam? —spytał cicho.  
— No, tak — mówił prędko nieznajomy — bo pan chce odwiedzić przyjaciela. Więc pójdziemy tam... na spacer.  
Adam milczał.  
— Niech pan się ubiera.  
— Zaraz — szepnął Adam — tylko...  
— Co?  
— ...Bo ja moge pójść i w inny dzień...  
— Ależ dlaczego? — przerwał mu nieznajomy szorstko — dlaczego odkładać?  
Adam uczył takie zimno, jak dzień przedtem. Czuł, że ten człowiek go zmusza i że teraz niema już wyjścia.

— Weźmiemy fiakra — powiedział nieznajomy!!  
— Co? — krzyknął Adam, prawie płaczliwie, z nagłym strachem—przecież mamy iść na spacer...  
Nieznajomy się zawahał.  
— Ma pan rację — rzekł z łagodnym uśmiechem — po co jechać, kiedy tak ładnie... Pójdziemy sobie powoli, pieszo...  
Niech pan tylko się ubierze...  
— Już się ubieram — mówił Adam drżącym głosem.  
Nieznajomy rozsunął firanki i otworzył okna. W pokoju zrobiło się jasno i czuło się, jak wpłynęło ciepłe i świeże powietrze.  
— Un tu gospodaruje, jak u siebie — myślał Adam — i będę musiał go słuchać. Bo to już taki człowiek. Doprowadzi mię w końcu do tego, że zrobię to, czego się bałem. I będę mu nawet wdzięcznym, jeżeli się pozbędę. Zrobi niejako wszystko za mnie, tak jakby mną ruszał.  
I nabrał trochę otuchy. Ale był mimo to blady i miał głos dziwnie słaby.  
— Czy my tam długo będziemy? — spytał na schodach towarzysza.  
Nieznajomy szepnął coś niezrozumiałego. Adam przypomniał sobie naraz inną rzecz. Gospodyni pocałowała mię w rękę, kiedy wychodziłem. Nigdy tego nie robi.  
— No i cóż?—mruknął nieznajomy.  
— Zdawało mi się nawet, że ma zapłakane oczy... Dlaczego? Może widziała, że się na nią gniewam... Co?

— Może.

Nieznajomy był tak wysoki, że na ulicy oglądali się za nim ludzie. Szedł bardzo szybko.

— Przejdziemy prędko przez te nudne ulice — mówił do Adama—ludzie są nieprzyjemni, A potem nie będzie ani domów, ani ścisku, tylko piękne ogrody i wille.

— Tak, ludzie nieprzyjemni—powtórzył Adam— patrzą się w oczy. Może patrzą się dlatego, że pan taki wysoki.

— Z pewnością — potwierdził towarzysz.

Ale Adam dodał szybko, jakby mu było żal tego, co powiedział:

— Zresztą nie wiem, czy... tam nie będzie jeszcze gorzej. Ale pan powiedział, że tam długo nie zostaniemy... Prawda?

Pomówię tylko z Leonem i pójdziemy.

Patrzył niespokojnie na towarzysza.

A kiedy byli za miastem, zaczęły się naprawdę wille i ogrody. Droga prowadziła pod górę. Adam szedł coraz wolniej i nagle stanął.

— Pan zmęczony?—zauważył nieznajomymi wziął go pod ramię.

— Czy to jeszcze daleko? — spytał Adam. — Serce mi bije.

— To nic —rzekł nieznajomy—to przejdzie. Adam nagle się zmarszczył. Nie podobał mu się głos towarzysza.

— Oho! Pan mnie uspokaja — mruknął, czerwieniąc się — niema sensu ranie uspakajać. Niech pan nie myśli, że ja się boję. Nie jestem dziecko.

Wczoraj się bałem, ale kiedy już raz powiedziałem sobie, że pójdę, to pójdę. Trzęsły mu się policzki.

— Ależ, drogi panie...

Towarzysz objął go wpół. A potem powiedział szybko, wskazując głową do góry:

— Niech pan spojrzy na ten wysoki, stary kasztan? Co? śliczne drzewa.

Adam spuścił głowę i powtórzył smutno, bojaźliwie:

— Śliczne drzewa.

A za chwilę powiedział, patrząc na ziemię. — Jak ja będę z nim mówił?... Tylko tego się boję... Powiedziałem panu, że to mój przyjaciel... Ale nie wiem, naprawdę, jak się z takim chorym człowiekiem mówi... Zresztą nie rozumieliśmy się nigdy... Nawet wtedy, jak był jeszcze zdrow i wesoły.

Nieznajomy nic nie odpowiedział, tylko zwrócił się nagle w prawo.

Weszli przez małą, żelazną furtkę, otwartą na oścież. Teraz towarzysz puścił rękę Adama.

Zaraz zrobiło się jakoś dziwnie miło i cicho. Byli w dużym, cienistym parku. Szli wąską ścieżką między trawnikami, u których czerwieniły się kwitnące krzaki róż. Nie widziało się nic, tylko łąki, drzewa i róże. I nie słyszało się nic, tak, jakby na drzewach nie było ptaków, a na ścieżkach i łąkach żadnych ludzi.

Adam nagie przestał się bać. Szedł obok towarzysza, posłusznie, bez oporu, jak w hypnozie.

I nie czuł nic, prócz dziwnej ciekawości, która ogarniała go coraz silniej. Nadsluchiwał...

Nic się nie pytał nieznajomego, choć w duszy jego było tysiąc gorących, niespokojnych pytań. Tylko rozglądał się i nadsluchiwał. Tak, jakby ta cisza i te drzewa, i róże były tylko na to, żeby coś zakryć, zasłonić. A po za zasłoną były jakieś niesłychane rzeczy, jakieś przeraźliwe zjawiska.

Był jakby wstrzymany oddech w powietrzu. Tak, jakby wszystko, co teraz stało zakłete, nieruchome, jak na obrazie, nagle miało przemienić się w ruch, w krzyk, w jakieś szalone barwy i linie, jakieś straszne postacie i twarze.

Nadsluchiwał, patrzył.

Zdaleka odsłonił się rąbek zasłony. Widać było jakieś słupy, błyszczące okna, drzwi i białe schody.

Pomyślał sobie, że to zakład. Ale nic się niepytał, tylko szedł i patrzył.

Ukazał się nagle na ścieżce stary, zgarbiony człowiek w białym fartuchu i z czapką w ręku. Szedł powoli i tak obojętnie, że nie wiedziało się, czy ich już widzi i czy przed nimi zdjął czapkę. Szedł powoli i czem bardziej się zbliżał, tem silniej bilo Adamowi serce. Bo to był pierwszy człowiek w ogrodzie. I Adam pomyślał, że skoro ten człowiek otworzy nagle usta, to usłyszy się pierwszy głos z po za zasłony, I że natychmiast za tym głosem

odezwą się imie. I zrobi się hafas, cały tłum, cała burza głosów.

Ale stary człowiek zbliżył się, milcząc. Dał tylko nieznajomemu jakiś papier i klucze, a potem mówili z sobą tak cicho, że Adam nic nie słyszał.

Kiedy tak szeptali, zaczerwienił się Adam nagle . gniewu. Wpadło mu na myśl, że ten stary człowiek nie zwraca na niego wcale uwagi, a przedtem nawet się nie przywitał.

— Przyszedłem zwiedzić zakład — powiedział naraz bardzo głośno i dumnie.

Starzec podniósł wzrok do góry. Miał zblakłe, niebieskie oczy.

— Zwiedzimy wszystko — odpowiedział spokojnie.

— Tylko trochę cierpliwości—rzekł półgłosem niezuap)my.

Wziął Adama silnie za rękę i odsunął go na bok.

Fśeisnął go tak mocno, że Adam o mało nie krzyknął z gniewu.

— Potem z sobą pomówimy —szepnął ze strasznym uśmiechem.

Ale nieznajomy rozmawia! już znowu ze starcem w białym fartuchu.

Mówiłem, że w czwartej sali trzeba dać inne klamki przy drzwiach. Czy już zrobione;

Stary potrząsnął głową.

— Pan dyrektor powiedział, że niema pieniędzy.

— Dobrze, dobrze — mruknął nieznajomy iro

nicznie — jak się ktoś powiesi na kłamce, to pan dyrektor każe zmienić.

— Aha — myślał Adam — chce mnie drażnić.... Mówi dlatego o wieszaniu się na kłamce, bo mu ktos opowiedział to, co zrobiłem przed dwoma tygodniami. Czekaj, mój kochanku, czekaj... Potem z sobą pomówimy.

Od tej chwili tego człowieka nienawidził. Postanowił sobie, że przy pierwszej lepszej sposobności pokaże mu, jak strasznie nim pogardza.

— Zkąd ja go znam? — wpadło mu znowu na myśl—i dlaczego tak go słucham?..,

Szli przez wazki korytarz. Pod jednym oknem siedziała mała kobieta w koszuli. Trzymała w reku różaniec. Po jej żółtej twarzy płynęły łzy.

— Wypędzić tego człowieka i konia, i psa— prosiła monotonna i cicho.

Nieznajomy zapalił papierosa.

— Ten pan ma tutaj przyjaciela—zwrócił się do starca w białym fartuchu, głośno i jowialnie.

— Ma przyjaciela—powtórzył starzec i skrzywił się przytem z trudem, jakby chciał się uśmiechnąć, ale już miał za stare usta i nie mógł.

Adam pomyślał, że byłoby przyjemnie wziąć coś ciężkiego i rzucić na tych dwóch sympatycznych ludzi. Przysięgł sobie także, że od tej chwili nie będzie już mówił do nieznajomego ani słowa i nie odpowie na żadne pytania.

Kiedy otworzyli już drzwi na końcu korytarza, to Adam jeszcze słyszał, jak pod oknem płacze mała kobieta z różańcem i prosi:

— Wypędzie tego człowieka i psa, i konia. Weszli potem do bardzo dusznej sali, w której czuć było pot i karbol.

Na jednym łóżku siedziała młoda dziewczyna, i bawiła się dużymi kulami. Jej szyja i piersi były nagie.

— Jak się masz, Małgosiu! — zawołał nieznajomy.

— Nie patrzyć! Nie patrzeć!—krzyknęła dziewczyna ze złością i zasłoniła sobie piersi.

Miała tak śliczne, czarne oczy, że Adam aż stanął. Ale zaraz się odwrócił, bo przecież dziewczyna nie chciała, żeby na nią patrzeć,

Nieznajomy nie odwrócił się, tylko powtórzył ze śmiechem:

— Jak się masz, Małgosiu?

Na to Adam zbladł z gniewu i powiedział do nieznajomego cicho:

— Nie patrzeć się, do stu dyabłów!

I w tej samej chwili dziewczyna rzuciła kule w tę stronę, gdzie stali. Nie trafiła nieznajomego, ale Adam przecież miał pewną radość.

Zaśmiał się głośno i kiwnął do dziewczyny przyjaźnie głową, A ona uśmiechnęła się także i również głową kiwnęła.

Przeszli na korytarz, gdzie byli mężczyźni. Ale Adam myślał jeszcze o ślicznych, czarnych oczach dziewczyny i o tem, jak się uśmiechnęła do niego.

Przystąpił do niego piegowaty człowiek z oku

larami. Przy twarzy trzymał chustkę, tak, jakby go bolały zęby.

— Dobry wieczór ekscelencyi — rzeki trochę niewyraźnie, ale z szacunkiem.

— Dobry wieczór—odpowiedział Adam. Nieznajomy gniewał się na starca w białym fartuchu:

— Dlaczego tej dziewczynie nie odebrano kul?

— Pan dyrektor pozwolił — tłumaczył się starzec.

— Jak dziewczyna rozbije komuś łeb, to pan dyrektor każe odebrać.

Wody, mam pragnienie, wody! — słyhać było nagle jakiś głos z sąsiedniego pokoju.

Adam drgnął. A potem rzucił się jak szalony do drzwi.

— Co to? Co to znaczy?—spytał nieznajomy. Ale Adam był już w drugiej sali. W pośrodku

pokoju stał chudy blondyn z długimi włosami, jak malarz albo poeta i wołał dźwięcznym głosem: ,

— Wody, wody!... Słyszycie? Adam chwycił go za rękę.

— Leon?... Nie poznajesz mnie? To ja... blondyn przestał wołać. Spojrzał na Adama

długo i milcząc. A w końcu się roześmiał...

Na to zaczęli się śmiać wszyscy mężczyźni w sali. Starzy i młodzi, ci, którzy leżeli w łóżkach i inni, którzy siedzieli przy dużym, okrągłym stole,

Adamowi stanęła przed oczami młodość. Ten śmiejący się człowiek, chudy i żółty, z niebieskie

mi oczami i z długimi włosami przypomniał mu naraz dawne, bardzo dawne czasy, które leżały jak w mroku.

Przypomniał mu czasy, w których był szczęśliwy, spokojny i lekkomyślny. Matkę, siostry, szkołę... wieś...

— Słuchaj — szeptał, a łzy cisnęły mu się do oczu—słuchaj, to ja... Adam, to ja... Adam... Łabędzki.

Blondyn spojrział na niego jakby ze strachem. Cofnął się i powtórzył:

— Adam Łabędzki.

A potem przystąpił znowu do niego, zaczął go bardzo delikatnie, ostożnie głaskać po głowie i szeptał:

— Adam... Adam... Adam Łabędzki... \*

Było całkiem cicho w sali, chociaż znajdowało się w niej dwudziestu mężczyzn. I zrobiło się wielkie koło, a oni stali pośrodku. I słyhać było każdy oddech, każde bicie serca...

— Przyszedłem, bo pisała do mnie twoja siostra.

— Moja siostra umarła.

Ale Adam tego nie słyszał. Zaczął przyjaciela ścisnąć i całować i nagle się rozplakał. Wtedy nie tylko przyjaciel, ale i wszyscy inni zaczęli płakać, tak, jak przedtem wszyscy się śmieli.

Adam wstał i mówił ze łzami, dziwnym, złamanym ze wzruszenia głosem:

— U, jak wy ze mną czujecie, jacy wy dobrzy? Nie tak, jak inni. Nie tak, jak ei, którzy mnie ciągle męczą, wyśmiewają i prześladują. Leo

nie, mój bracie... Niegdyś nie mogliśmy się zrozumieć. Nazywano nas przyjaciółmi, ale tale nie było. Serca nasze nie mogły do siebie trafić. Ale teraz ja czuję twą duszę, a ty czujesz moją. Jesteś pierwszym człowiekiem, w którego oczach widzę siebie, Leonie, mój bracie.

było cicho. I tylko było słycać jakieś straszne, stłumione szlochy czy szepty.

— Leonie, moje życie jest ciągłym bólem i płaczem. Moje życie jest nieszczęściem. Tam po za ogrodem waszym niema dla mnie ani słońca, ani kwiatów. A tu, u was, jest spokój. Bo czuję, że wy ze mną czujecie. Tu jest szczęście. Było cicho. Tylko jakiś umierający powiedział radośnie:

— Tu jest szczęście. Leon się zaśmiał.

— Zostań z nami!—zawołał wesoło.

i z różnych stron i kątów odezwały się różne stare i młode, jasne i chrapliwe głosy:

— Zostań... zostań z nami!

Wyszedł jednak na środek pokoju piegowaty pan z okularami i chustką przy twarzy, który rzekł łagodnie ale stanowczo:

— Szanowni panowie, to się nie da. Wyratowałem z wody dwunastu hrabiów i dostałem order złotego runa... Znam się na ludziach i wiem, że nasz olbrzym jego ztąd wypędzi. Wiercie mi, panowie...

— Ho, ho! — wrzasnęło naraz kilka głosów — niech olbrzym spróbuje!... My mu pokazemy.

— Jak] olbrzym? — pytał Adam podniecony i czerwony.

— Ten co z tobą przyszedł.

— Ten? — zawołał Adam. — Jak ja tej bestyi nienawidzę!

— I my!... I my... wszyscy! — krzyczeli mężczyźni—on jest nasz doktor, hasz kat.

— My go zabijemy!—krzyczeli inni. — Niech spróbuje! Musimy nareszcie łajdaka zabić...

Jak na komendę pobiegli wszyscy do swych łózek i jęli wrywać z nich z niehumaną siłą grube, żelazne pręty.

Podniósł się piekielny wrzask. A ze wszystkich najbardziej pijany był Adam. Stał na stole, potrząsając żelazem i raczył:

— Bracia, ja się nie dam, ja go zabiję... Niech poważy się mnie wypędzić...

Rozerwano nagle drzwi.

Do sali wpadł olbrzym, a za nim dwóch dozorców w fartuchach... Adam zaśmiał się strasznym głosem i cisnął żelazny pręt na nieznanomego...

Wtedy rzucili się na niego dozorczy, ściągnęli go na ziemię i zaczęli pętać mu ręce i nogi.

— On zostanie z nami—krzyczeli mężczyźni. I został z nimi na zawsze.

AKCYA RATUNKOWA.



— Ile pan ma lat? — spytała mnie dzisiaj pani kasyerowa. A kiedy jej powiedziałem, że dwadzieścia trzy, bardzo się zdziwiła. Nie wchodzi w kwestyę, czy ona ma mniej, czy więcej. Ale zrobiła takie oczy, jakby dotychczas nie wiedziała, że można wogóle być tak młodym.

Jest nas trzech oprócz gospodarstwa. Ja mam najmniejszy pokój, ale za to mieszkam sam. Obok mnie jest pokój z dwoma oknami i z fortepianem, na którym na szczęście nikt nie gra.

Wczoraj spotkałem w przedpokoju bardzo wysokiego człowieka z wąsami, który stał na jednej nodze gwiżdżąc i czyścił sobie trzewik.

Otworzyły się drzwi z jadalni i głos kobiecy zawołał: „Konradzie"! Na to wysoki człowiek mruknął: „zaraz", a, zobaczywszy mnie, trochę się zmieszał. Zauważył, że zapewne dopiero od wczoraj tu mieszkam. Odpowiedziałem, że tak.

On zajmuje właśnie ten pokój koło mnie, z dwoma oknami, z fortepianem. Za to nie jest

sarn. Ciągłe się kłóci z drugą osobą A ja słyszę każde słowo przez ścianę.

Wieczorem zeszedliśmy się wszyscy trzej na schodach. Druga osoba to bardzo jasny blondyn, garbaty i cokolwiek niedbale ubrany. Jego towarzysz mówi do niego „Guzik", ale myślę, że on się onaczej nazywa. Guzik jest niby skromny, a niby ironiczny, zresztą źle wygląda i mówi tak cicho, że go ledwie można zrozumieć. Wysoki nazywa się Kowalewski,

— Czy pan już zna kasyera? — spytał mnie i Kowalewski.

— Nie znam.

Na to Guzik uśmiechnął się i szepnął coś, czego nie dosłyszałem. Ale Kowalewski chyba zrozumiał. bo, oburzył się na garbusa.

Wziął mnie pod ramię.

— Kasyer jest bardzo miły człowiek, zobaczy pan. Jest strasznie dowcipny. Nikt z nas nie jest bez błędów. Guzik kłamie i jest wogóle złośliwy, zobaczy pan...

Po chwili dodał:

— A to, że biedaczysko trochę pije... Mój Boże!... Nikt z nas nie jest bez błędów...

Czul widoczną sympatyę dla kasyera.

Przy stole siedzieliśmy w takim porządku: na górze ona, z prawej strony Kowalewski, z lewej ja a na dole Guzik i kasyer.

Była pieczeń barania z sałatą, a potem przynieśli bardzo ładną, różową leguminę.

— To nie należy do pensyi! — powiedział kasyer — to jest niejako za darmo. Proszę panów. Możecie wziąć, ile wam się spodoba.

Także chleb z masłem nie należał do pensyi.

Pani kasyerowa zachowywała się tak, jakby była na wizycie i pensya nic jej nie obchodziła. Mówiła nawet o „Aphrodite” Pierre Louys'a.

— Panie Konradzie—prosiła Kowalewskiego— proszę mi podać gorgonzolę i kawałek chleba.

Kasyer był w doskonałym humorze.

— ...Jechało raz dwóch Żydów z Przeworska do Lwowa. Jeden był gruby i wesół i palił fajkę. Drugi był chudy, smutny i zły. Na stacyi chudy zawołał: Panie konduktor, co to za porządek? To jest wagon dla niepalących, a ten gruby...

— „Aphrodite” jest cudna — rzekła pani kasyerowa.

Guzik się skrzywił i odpowiedział:

— Szkoda, że pieczeń była przypalona.

Tym razem powiedział tak wyraźnie, że wszyscy zrozumieli. A potem już milczał.

Po leguminie kazał kasyer przynieść flaszczykę wina.

— Antek — powiedziała pani kasyerowa, poczem spojrzała na Guzika i na Kowalewskiego.

— My nie będziemy pili — zastrzegł się Kowalewski.

Kasyer nie dosłyszał. A kiedy przyniesiono

wino, to pili wszyscy. Także kasyerowa. Zresztą nazywa się Aniela.

Wino było stare i słodkie. Smakowało mi tak, że wypilem cztery kieliszki, a potem pytałem się w duszy z troską, czy też i wino należy do pensyi.

Pokazało się, że i wino za darmo. Trzeba mieć szczęście.

Po kolacyi zaprzyjaźniłem się nagle z Kowalewskim, który mówił, idąc ze mną na górę do naszych pokoi:

— Co za ludzie! Prawda? Myślą więcej o drugich, niż o swoim interesie. Wie pan, ile kosztuje taka jedna flaszczyka?

Więcej, niż, to co płacimy dziennie za całe utrzymanie.

Trafiłem rzeczywiście nadzwyczajnie.

Bzdąc sam w pokoju, pomyślałem nagle, że między panią kasyerowa a Kowalewskim cos jest. Nie wiem, z kąd mi to wpadło do głowy.

Patrzałem przez okno, jak pan kasyer idzie przez ulicę. Bo pokojówka, która właśnie sprzątała u mnie, zwróciła na to moją uwagę.

— O, idzie właśnie nasz pan...

Oparła się o szczytkę i patrzyła przez okno jak na przedstawienie. Uśmiechała się pobłaźliwie.

Kasyer był mały, rudy i miał takie futro, jak włosy. Figura tego rodzaju, że ludzie stają na ulicy. A ja mam szczęście znać go osobiście i mieszkać z nim w jednym domu.

— Trochę się kiwa—zauważyła pokojówka. Szedł rzeczywiście cokolwiek niepewnie. Po mimo, że była dopiero ósma rano.

— Rób swoją powinność—rzekłem zimno do pokojówki.

Na co roześmiała mi się w uos i jęła ścierać kurz z mego biurka.

Potem powiedziała od niechcenia:

— Przypominam sobie dobrze, jak pana wieźli do aresztu.

Zmierzyłem ją wzrokiem.

— No, tak... Nasz pan był przed dwoma laty w areszcie. A wie pan, za co?

Powiedziałem, że wiem. Ale nie wiem.

Wpadło mi na myśl, że może kasyer tylko dlatego pije. Zresztą weszła właśnie do pokoju pani Aniela.

Czy czego nie potrzebuję? Nie, rączki całuję. Czy wszystko w porządku. Dziękuję, wszystko. Pokojówka sobie poszła.

— Nigdy nie myślałabym, że pan ma dopiero dwadzieścia trzy lat.

Uśmiechnąłem się. Tak samo jak wówczas, gdy mi mówią, że dobrze wyglądam, albo jestem podobny do ojca.

Ona ma takie oczy, jak te czarnobiałe rozkosze z haremu. Usta popękane i trzy złote plomby. Przytem pachnie.

Pokazało się, że wszystko jest „na jej głowie”. Mówiła ze mną pół godziny takim tonem, jak się

mówi o szarej godzinie do blizkich przyjaciół domu. Bardzo ją lubię,

Przytem pachnie.

Kuję do ostatniego egzaminu. Bardzo niestosowna pora, bo jednocześnie się kocham.

Z kasyerem mówimy sobie „ty”. Zauważyłem, że on nigdy nie patrzy ludziom w oczy. Jest zawsze pijany, a wystarcza mu czasem jeden kieliszek. Robi już o ósmej rano dowcipy. Przeważnie w kuchni; sługi biorą się za boki.

Pokazuje się, że nie znałem dotychczas une celebre. Mianowicie jego znają w całym mieście.

Mówiłem o nim z Guzikiem. Uśmiechnął się znacząco i mruknął coś bardzo ważnego, czego... nie dosłyszałem,

— Co pan mówi? Guzik powtórzył:

— Niech pan się spyta jego żony, czy on dawniej także pił?

Naturalnie, że się nie pytani. Zapewne dawniej nie pił. A więc niby ona wszystkiemu winna. Bon. Guzik „nienawidzi kobiet”. To znaczy!... Jest garbaty.

Ona jest tak mądra kobieta, że z pewnością nic nie ma między nią a Kowalewskim.

Między nią a Kowalewskim coś jest, Ale to przecież mądra kobieta.  
Dowiedziałem się dokładnie, jak to było z owym więzieniem.  
Kasyer był niegdyś naprawdę kasyerem. Na kolei. Coś w rok po ślubie trafiło mu się jednak nieszczęście. Zaczął za dużo wydawać na żonę.  
Ona go o to nie prosiła — broni ją Kowalewski.  
Mniejsza o to. Dostyc, że pożyczył sobie coś z kasy. A ona dostała bajeczne brylanty.  
Te brylanty ma i dzisiaj. Inny człowiek, opuściwszy więzienie, nie wiedziałby „co daicy”? Ale kasyer dostał posadę dyurnisty i żyje.  
Bo ma mądra żonę.  
To wszystko opowiedział mi Kowalewski.  
Jeszcze coś: każdy inny człowiek traci po więzieniu dobry humor. A kasyer robi już o ósmej rano dowcipy. Przeważnie w kuchuni sługi biorą się za boki.  
Była burza. Kasyerowa i Kowalewski...  
Nie mogę powiedzieć, żeby kasyer nie był dziś w dobrym humorze. Ale wczoraj popołudniu wrócił niespodzianie wcześniej do domu i... potem coś się działo. Słyszałem przez ścianę jego głos. Tak jakby się przeraźliwie śmiał... ale zapewne się nie śmiał.  
Wpadł do mnie Kowalewski, całkiem blady

i chociaż przyszedł niby poprosić u papierosa, to jednak odgadłem, że coś się stało.  
Kasyerowa ma zapłakane oczy i chodzi na palcach. A o trzeciej w nocy zbudziłem się, gdy zajechała dorożka i wnieśli na górę śpiewającego kasyera. była kolacyjka poza domem.  
Słyszałem piskliwy głos Guzika.  
— Do diabła, czy w tym domu nawet w nocy nie można mieć spokoju?  
Widać, że Guzik mówi także wyraźnie, gdy zechce.  
Zajmuje mię nadzwyczaj człowiek, który jest zawsze w dobrym humorze.  
Jestem z kasyerem na „ty”, muszę więc zbliżyć się do niego, aby poznać jego „życie wewnętrzne z  
Wczoraj przeszedł bez wątpienia coś przykrego. Więc dzisiaj rano spotkałem się z nim „przypadkiem” w bramie, żeby trochę pogadać. Spytałem, czy moge odprowadzić go do biura.  
— Chodź, darmozjadzie! — odrzekł uprzejmie i gwizdnął na psa, który jest także rudy.  
— Wczoraj wróciłeś późne do domu — zacząłem konwersację.  
— A tak — zaśmiał się—tak... Byłem z księciem orleańskim w Dżokejklubie!  
Spojrzałem mu w maskę. Bo on nie ma twarzy, tylko czerwoną maskę z rudym zarostem i z szklannymi oczami.  
— Tobie coś jest—rzekłem poważnie.  
Przez sekundę spojrział na mnie ze strachem.

A potem powiedział spokojnie, patrząc przed siebie:

— Dwóch Węgrów założyło się z sobą który z nich potrafi wyżej skoczyć. Otoż idą razę pewnego przez most, przez ten duży most w Peszcie... no, jakże się nazywa...

Siedzieliśmy wczoraj, jak zwykle, przy kolacyi, w następującym porządku: na górze ona, z prawej strony Kowalewski, z lewej ja, a na dole kasyer i Guzik.

Hyla wieprzowina z kapustą, a potem przynieśli bardzo ładną, kremową leguminę.

— To nie należy do pensyl — powiedział kasyer — to jest niejako za darmo. Możecie wziąć, ile wam się podoba.

Po leguminie kazał kasyer przynieść flaszkę wina.

— Autek! — powiedziała pani kasyerowa, a potem spojrzała ua Guzika i ua Kowalewskiego.

— My nie będziemy pili — zastrzegł się Kowalewski.

— To znamy — pomyślałem sobie i czułem już w ustach doskonały smaczek.

Ale... wino nie przyszło.

Kasyer uśmiechnął się, jak chore dziecko.

— Co to znaczy! — krzyknął potem na sługę. Sługa spójrzała na panią i wzruszyła ramionami.

. — Jakiś nowy porządek — pomyślałem z nie

dowierzaniem — codzień było wino, a teraz... nagie.,.

— Strasznie lubię Bourgeta — rzekła pani kasyerowa.

Kasyer zaśmiał się głośno i ostro.

— Anielciu — zauważył — teraz jest mowa o winie.

— Nie ma wina — szepnęła słodko Anielcia. Naraz odezwał się Guzik;

— Ja miałbym ochotę — powiedział całkiem wyraźnie.

Głos jego miał coś wyzywającego, tak jak u fanatyków chorych ua płuca.

— Na co? — spytał Kowalewski z indygnacją.

— Na wino — odrzekł Guzik tak stanowczo, jakby grał w karty i mówił „rekontra”.

— Nie ma wina — powtórzyła Anielcia.

Na to wstał kasyer, przystąpił do Guzika i pocałował go w czoło.

Zarumieniłem się ze wstydu, a w dodatku panowało milczenie.

— Ja także lubię Bourgeta — bąknął nieśmiało Kowalewski.

Kasyer poszedł do swego pokoju.

W nocy był znowu hałas. Zbudził się nawet Guzik i życzył domownikom całkiem wyraźnie i głośno różnych niemiłych rzeczy.

Kano wytlómaczyła mi wszystko pokojówka. Pan chciał wykraść się w nocy do restauracji. Bo w domu nie dostał wina. Ale „nasza pani i pan Kowalewski” nie chcieli go puścić. I ztąd hałas i bójka. Pan o mało drzwi nie wywalił, bo klucz schowano. W końcu zmęczył się i został.

Kowalewski krząta się po domu, gada, rozkazuje. Ma taką twarz, jak komitetowy w dzień wielkiego festynu z fajerwerkami.

Był także u mnie.

— Proszę kochanego pana o słowo honoru, że pan nie pożyczysz kasyerowi pieniędzy.

— Owszem. Chciałbym tylko wiedzieć...

— Rzecz jest taka...

Kzecz jest taka, że chodzi o egzystycję „biednej, niewinnej kobiety”. Nie mówiąc o tem, że kasyerowi grozi niechybnie delirium tremens. Otoż był u pani Anieli urzędnik i powiedział, że kasyer straci posadę, o ile nie pozbędzie się brzydkiego nałogu picia.

— ...Aha.

Pani Aniela i Kowalewski są uroczyście podnieceni. Bo chodzi o dobrą sprawę. Mówią sobie nawet z roztargnienia „ty” przy obcych ludziach. Konfiskują wspólnie różne ukryte flaszki, przeszukują kieszenie kasyerowskich spodni. Słowem... dzieją się rzeczy. Chodzi o to, żeby nie było w domu żadnych alkoholicznych pierwiastków, a w posiadaniu pana kasyera ani centa.

. Rozumiem i jestem sam podniecony.

Pani kasyerowa i Kowalewski trzymają się za ręce, jak owa anioły.

Guzik siedzi w salonie ua kanapie, uśmiecha się złowrogo i myśli.

— Panie, panie—mówię do Kowalewskiego — Guzik mu pożyczysz.

Kowalewski klepie mnie uspakajająco po plecach.

— Guzik dzisiaj wyjeżdża!

— Tak?

— Na wakacje. ...Aha. Doskonale.

Guzik wyjechał. Teraz jesteśmy niejako entre nous,

Kasyer pisze w swoim biurze.

Jestem ciekaw jednego; jak on będzie wyglądał w stanie trzeźwym? Bo dotychczas nikt go w tym stanie nie widział.

Patrzałem, jak pan kasyer idzie przez ulicę.

Bo pokojówka, która właśnie sprzątała u mnie, zwróciła na to moją uwagę.

— O, idzie właśnie nasz pan. Po chwili zaś dodała:

— Ale... znowu się kiwa.

Rzeczywiście, szedł cokolwiek niepewnie. Pomimo, że przecież nie mógł mieć przy sobie pieniędzy

— To długo nie potrwa — uspokoił mnie Kowalewski — teraz dają mu jeszcze wino na kredyt. Ale to długo nie potrwa.

Tylko kolacje są przykre.

Kasyer opowiada anegdoty z niemiłym roztargnieniem. Przytem spogląda na żonę i na Kowalewskiego, którzy z roztargnienia patrzą sobie w oczy.

Ja sam tęsknię za winem.

Jest druga w nocy, a ja nie mogę spać ze strachu, W całym domu czuć karbolem. Przeżyłem dziś takie rzeczy. zmroku wszedł do mego pokoju człowiek. Zerwałem się z krzesła.

— Pożycz mi piątkę... Dopiero go poznałem.

— Mogłeś co prawda zapukać — powiedziałem z wyrzutem.

— Przepraszam—szepnął kasyer.

— Do diabła — pomyślałem—on mówi „przepraszam”?

I drżącymi rękami jąłem zapalać lampę.

— Daj pokój, po co? — wstrzymał mnie kasyer, i czułem, że ma zimną rękę.

Staliśmy naprzeciw siebie, ale twarzy jego nie widziałem.

— Nie mogę ci pożyczyć—powiedziałem z trudnością.

— Nie?

— Nie mogę. Dałem słowo, że ei nie pozyczę.

Potem chciałem znowu prędko zapalić lampę. Ale on mnie znowu wziął za rękę.

— Daj pokój. Łepiej tak, po ciemku... Bo zdaje mi się, że mam jakąś inną twarz.

— Co?

— Nic... Żartowałem. Chciałem ci tylko powiedzieć, że to będzie trudno.

— Co będzie... trudno?

— Tak żyć, bez niczego...

— On jest trzeźwy — pomyślałem. Zaczął mówić głośno, z niepokojem:

— Słuchaj... jak to było z tymi Węgrami... wiesz., zacząłeś raz opowiadać... o tych dwóch Węgrach, którzy się założyli...

Milczał.

Powtarzałem nerwowo:

— Jak to było z tymi Węgrami?... no!.. Jak tu było?

Myślałem: on jest trzeźwy. Minęło kilkanaście sekund. On milczał. Nagle ogarnął mnie strach i wstałem:

— Chcesz wina? — spytałem wesoło, dzwoniąc zębami.

A potem poszedłem do drzwi.

— Poczekaj tutaj—mówiłem prędko—ja zaraz przyjdę. Chcesz wina? Popatrzę, czy nie ma w jadalnym pokoju. Zapytam sługi

Wyszedłem prędko. Szukałem po całym domu Aniela i Kowalewskiego.

Nagle się spostrzegłem, że chodzę ciągle po schodach tam i napowrót.

Potem usłyszałem głosy. Po co ja chodzę i szukam... kiedy oni są w moim pokoju?

Jak we śnie.

Wracam do mego pokoju, bo słyszę ztamtąd głosy. W pokoju jest dużo ludzi. Aniela, Kowalewski, sługi... Wszędzie krew, krew...

Na ziemi leży kasyer. Aha... Brzytwą! Jak można! Brzytwą?

Jest druga w nocy, i trupa dawno nie ma. A ja nie mogę przecież spać.

To nieznośne, że w całym domu czuć karbolem.

KONIEC.